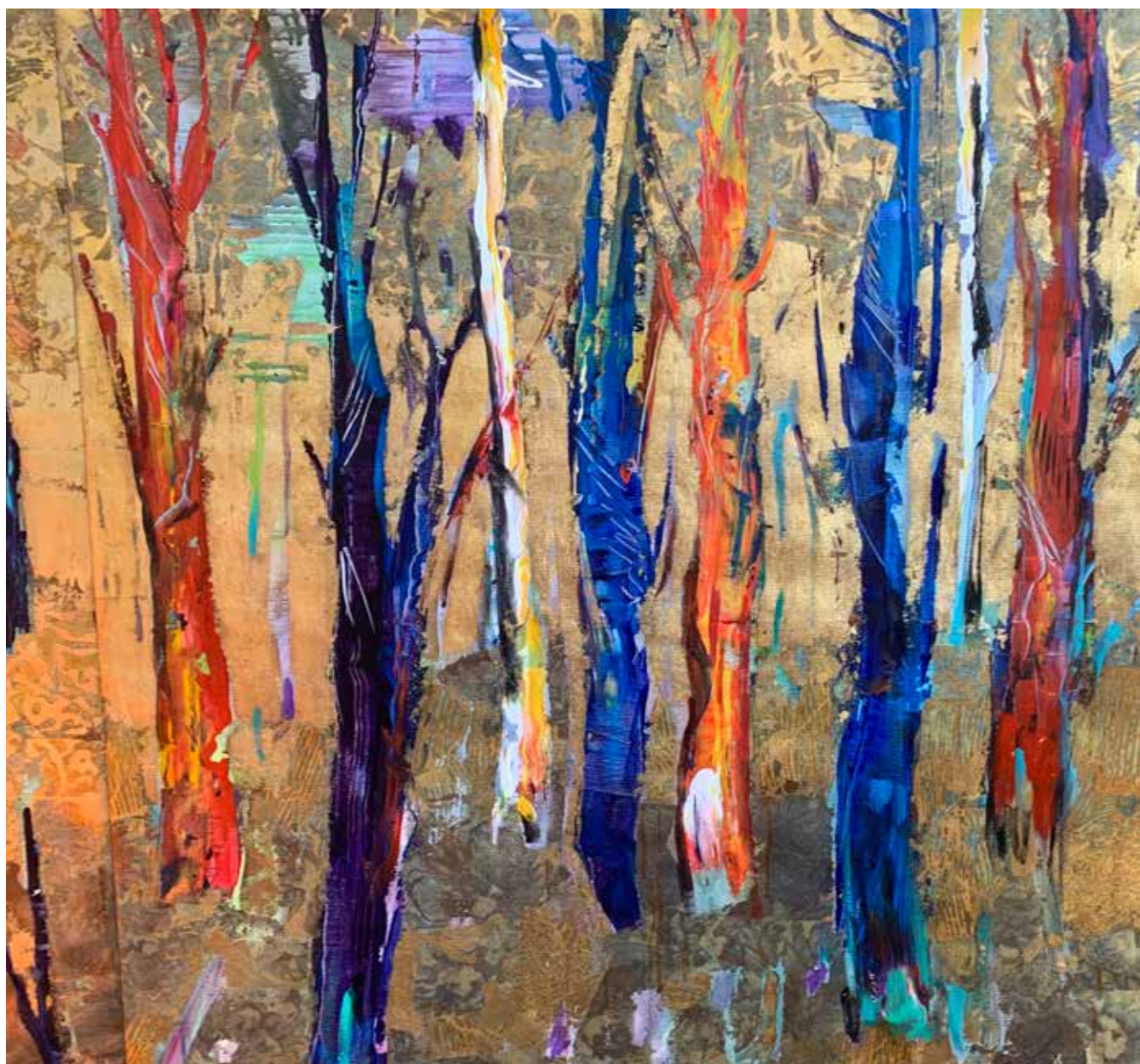


MIESIĘCZNIK  
SPOŁECZNO-  
KULTURALNY

# SLASK

CENA 7 ZŁ (w tym 5% VAT) ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X [www.slaskgtl.pl](http://www.slaskgtl.pl) Nr 9 (324) • ROK XXVIII • WRZESIEŃ 2022



ZNÓW  
OPADAJĄ LIŚCIE

ISSN 1425-3917



9 77 1425 39 1707



Dwie wielkie rywalki: medycyna i sztuka walczyły przez całe życie o jego względy – tak o Profesorze Tadeuszu Ginko, prorektorze Śląskiej Akademii Medycznej (przed stanem wojennym) pisze jego żona, Wanda. Z opóźnieniem dowiadujemy się o bohaterskiej postawie tego lekarza w AK, o wywózce do łagru w Kałudze, a także o licznych talentach artystycznych i pogodzie ducha, emanującej z jego rysowanych i rzeźbionych... karykatur.

Szczegóły str. 9



Stylowo ubrane fanki muzyki country z różnych zakątków Polski pojawiły się w sierpniu w Wiśle. Beskidzki festiwal „Wiślaczek-2022” zgromadził – jak co roku – spore grono wielbicieli gatunku inspirowanego amerykańskimi balladami kowbojskimi. W dwudniowej imprezie wakacyjnej wzięli udział wykonawcy z Bielska-Białej, Gliwic, Krakowa, Ostrołęki, Pszowa i Warszawy.

Szczegóły str. 34



Stojące w beskidzkich lasach lub wśród pól, mijane przy szlakach turystycznych betonowe bunkry to często polskie fortyfikacje, mające zabezpieczyć od południa przemysłowy rejon Górnego Śląska. Wznoszone je ogromnym kosztem tuż przed samą wojną. Ich późniejsze losy potoczyły się różne – jedne są dziś siedzibami prywatnych muzeów wojskowych, inne wysadzono w powietrze i porzucono zdewastowane. Na zdjęciu polski schron bojowy „Danuta” w Cieszynie.

Szczegóły str. 48



Tegoroczne lato dla zespołu bytomskiej Opery Śląskiej upłynęło pod znakiem udziału w prestiżowym festiwalu Saaremaa Opera Festival, który od 1999 roku odbywa się na estońskiej wyspie Saaremaa. Choć cieszy się dużą popularnością przede wszystkim w krajach bałtyckich, prezentuje koncerty i spektakle w wykonaniu najlepszych teatrów operowych z całej Europy i ze świata. Opera Śląska zaprezentowała na festiwalu siedem swoich produkcji, a wśród oklaskujących je gości na widowni był m.in. prezydent Estonii Alar Karis z małżonką. Na zdjęciu prezydent Estonii podczas pamiątkowej fotografii z aktorami ze spektaklu Romeo i Julia.

Szczegóły str. 80

WYDAWCA  
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERACKIE  
W KATOWICACH

WSPÓŁWYDAWCA

TADEUSZ SIERNY  
Redaktor naczelnyANDRZEJ JARCZEWSKI  
Zastępca naczelnego redaktoraMARIAN KISIEL  
Zastępca naczelnego redaktoraTOMASZ BIENEK  
Sekretarz redakcjiMARIA KORUSIEWICZ  
Kultura, sztuka

Stali współpracownicy:

EWA BARTOS  
MAGDALENA DZIADEK  
MARIAN G. GERLICH  
PIOTR GRELLA-MOŻEJKO  
JAROSŁAW KAPSA  
WIEŚLAWA KONOPELSKA  
WOJCIECH LIPOWSKI  
ZBIGNIEW LUBOWSKI  
PAWEŁ MAJERSKI  
JAN MALICKI  
JAN MIODEK  
KATARZYNA NIESPOREK  
JERZY PASZEK  
KS. HENRYK PYKA  
BOGNA SKWARA  
HENRYK SZCZEPAŃSKI  
GRZEGORZ SZTOLER  
JOANNA WAROŃSKA  
AGNIESZKA ZIELIŃSKAADRES REDAKCJI  
40-036 Katowice, ul. J. Ligonia 7  
zarzad@slaskwn.com.plDTP: Tomasz Kowalski  
tomekk1959@tlen.plDruk: Zakład Poligraficzny Moś i Łuczak Sp. z o.o.  
ul. Piwna 1, 61-065 Poznań tel. 61 633 71 65Materiałów niezamówionych nie zwracamy.  
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian tytułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracanie korespondencji. Wydawca nie przewiduje honorariów za publikowane materiały prasowe.Warunki prenumeraty:  
poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU”  
na terenie całego kraju. Bezpośrednio  
w Wydawnictwie Naukowym „Śląsk”  
40-036 Katowice, ul. Ligonia 7, p. 120.  
Wpłaty należy dokonywać na konto:  
GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”  
Santander Bank Polska S.A.  
35 1090 1186 0000 0001 3487 3929Prenumerata roczna – 84 zł, półroczna – 42 zł, kwartalna  
– 21 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod  
wskazany adres bez dodatkowych opłat.Prenumerata zagraniczna: poprzez Dział RUCH SA  
Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31  
www.ruch.com.plCena egzemplarza – 7 zł (w tym 5% VAT)  
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328XEgzemplarze archiwalne  
handel@slaskwn.com.pl; tel. 32 258-07-56Czasopismo  
„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”  
dostępne w wersji elektronicznej na www.sbc.org.pl  
oraz na www.slaskgtl.pl  
Nakład: 1500 egzemplarzy

## W NUMERZE

## PUBLICYSTYKA

- 2 SPIS AKTYWNYCH CZŁONKÓW GÓRNOŚLĄSKIEGO TOWARZYSTWA LITERACKIEGO, UPRAWNIONYCH DO GŁOSOWANIA W WALNYM ZGROMADZENIU  
4 LISTY CZĘSTOCHOWSKIE *Jarosław Kapsa* KRWAWY PONIEDZIAŁEK  
6 *Antoni Wilgusiewicz* PASTERZE NIEZŁOMNI. LOSY KAPŁANÓW ARCHIDIECEZJI LWOWSKIEJ W CZASIE I PO II WOJNIE ŚWIATOWEJ  
9 *Aniela Kaczanowska z d. Ginko Jan Rauch Wojciech Ginko* PROF. TADEUSZ GINKO – CZŁOWIEK WIELU PASJI  
18 *Krystyna Heska-Kwaśniewicz* IN MEMORIAM JACEK KOLBUSZEWSKI 10 MAJA 1938 – 10 WRZEŚNIA 2022  
22 *Wilhelm Szewczyk* PAMIĘTNIK (7) Z rękopisu opracował *Marian Kisiel*  
27 *Ryszard Twardoń* MIĘDZYŚASIEDZKA RZECZYWISTOŚĆ  
31 *Mirosław Klimkiewicz* ZE STAREJ ZAŁĘSKIEJ SKRZYNI  
32 *Małgorzata Lichecka* ZWYCIĘSTWA DÓ ZMIANY  
34 *Zbigniew Lubowski* COUNTRY NA SZCZYCIE  
38 *Andrzej Perepeczko* MARYNARZ GÓRNIKIEM  
42 *Wojciech Lipowski* NIEWOLNICZY ROZPACZY I TRWOGI  
46 *Michał Spurgiasz* ZWYCZAJE ZWIĄZANE ZE ŚWIĘTAMI ZBIORÓW W DAWNEJ EUROPIE  
48 *Tomasz Bienek* BESKIDZKIE REDUTY WRZEŚNIA 1939  
52 *Zbigniew Lubowski* OPERETKA W OGRODZIE  
56 PO-GWARKI PROFESORA *Jerzy Paszek* MYŚLIWICE, MYŚLIWICE KRZYSZTOFA BARTNICKIEGO  
68 *Aleksander Nawarecki* LUCJAN KOWALEWSKI (1950–2022) JASNOŚĆ I TAJEMNICA  
80 *Wiesława Konopelska* / *Opera Śląska SAAREMAA OPERA FESTIVAL 2022*

## PLASTYKA, MALARSTWO, FOTOGRAFIA

69 GALERIA: LUCJAN KOWALEWSKI – MALARSTWO

## POEZJA I PROZA

- 3 WIERSZ NA OTWARCIE *Rena Marciniak-Kosmowska* STARA FOTOGRAFIA  
12 *Rena Marciniak-Kosmowska* WIERSZE  
14 *Anna Gurbicz, Witold Turant* DZIENNIK ZDRUZGOTANEGO ŻYCIA (2)  
20 *Adam A. Zych* WIERSZE DLA UCHODźCÓW  
44 *Lesław Nowara* WIERSZE  
54 *Konfucjusz* MYŚLI spolszczył *Marian Kisiel*  
65 *Paulina Klimańska-Nowak* BLIZNY  
73 *Jacek Okoń* ARESZTOWANIE KSIĘDZA KORCZOKA (FRAGMENT POWIEŚCI)

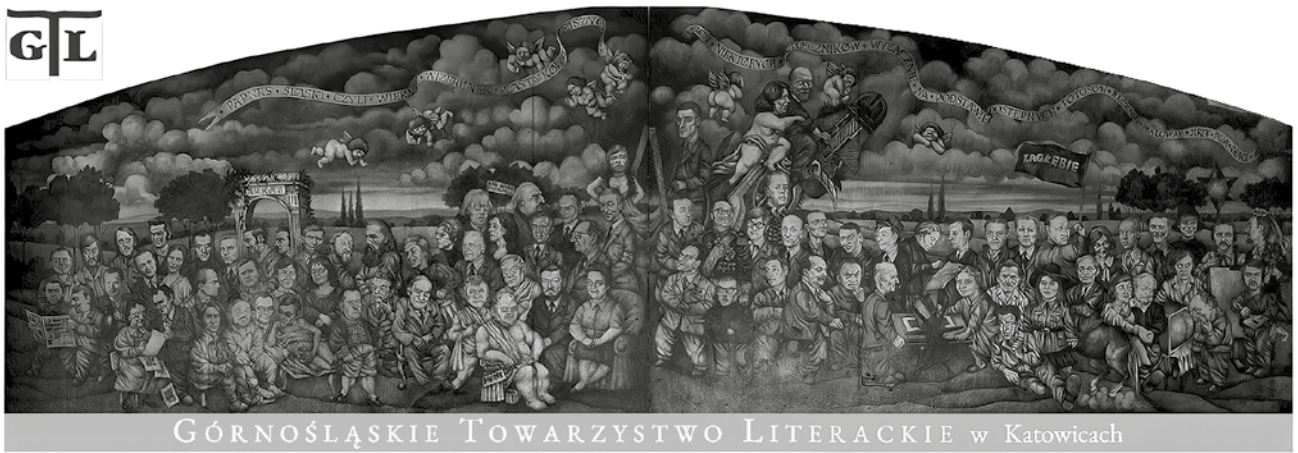
## FELIETONY

- 36 ŚLĄSKA OJCZYŻNA POLSZCZYŻNA. *Jan Miodek* W JAKIEJ KRAINIE LEŻY WROCŁAW?  
37 MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM *Marian Gerlich* „TAM NA TYJ UKRAINIE DJOBĘŁ DURCH ŁOGONEM ZAMIATO...”  
41 JĘZYK W STRUNACH *Piotr Grella-Możejko* MIĘDZY ORKIESTRĄ A SPADOCHRONEM  
78 BIAŁE KRUKI *Jan Malicki* STAROPOLSKIE SKANDALE RODOWE. LIBER CHAMORUM

## KSIĄŻKI

- 58 *Marian Kisiel* NIE ODEJŚĆ W NICOŚĆ  
59 *Adam A. Zych* GDY ŚWIAT PRZYMYKA OCZY  
60 *Weronika Górka* NIEDOCZYTANE KSIĄŻKI I ZAMARŁE LICZNIKI  
61 *Piotr Skowronek* ŚLĄSK WEDŁUG GOŁBY  
62 *Jan Cofalka* TYTAŃ PRACY  
64 *Grzegorz Sztoler* ŚLADAMI JACKISCHA  
64 KSIĄŻKI NADEŚLANE

Na okładce: Bartosz Frączek, *Złoty Las 1* (fragment).Tylne strony okładek: Bartosz Frączek, *Złoty Las 2*.



GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERACKIE w Katowicach

## Spis aktualnych członków GTL

Babuchowski Andrzej	Hajduk-Nijkowska Janina	Martinek Libor	Sarna Paweł
Bajorowicz Karol	Heska-Kwaśniewicz Krystyna	Matusz Sławomir	Sierny Tadeusz
Barański Paweł	Horzyk Piotr	Melecki Maciej	Sikora Jacek
Bednarczyk Ryszard	Jakubowska-Fijałkowska Genowefa	Miodek Jan	Siwczyk Krzysztof
Bednarek Marian	Jarczewski Andrzej	Młynarczyk Katarzyna	Skopowski Romuald
Boczkowska Magdalena	Jaworski Kazimierz	Mołęda Jacek	Sojka Maria
Bojda Dariusz	Jegor Roma	Moliński Rudolf	Sokołowska Janina Barbara
Borkowska Krystyna	Jóźwiak Marek	Musiół Józef	Solarska Barbara
Borzemski Edmund	Judycki Marek Waclaw	Nastulczyk Franciszek	Stadnicki Jerzy
Brzoska Wojciech	Kadlubiec Daniel	Nęcka Agnieszka	Stasikowska-Woźniak Dorota
Buchowski Marian	Kalińska Beata	Niezgoda Bolesław	Sworzeń Marian
Bugajski Leszek	Kanclerz Andrzej	Nowacki Dariusz	SzczaWiński Maciej M.
Dąbrowska-Obrodzka Danuta	Karwat Krzysztof	Nowara Lesław	Szewczyk Grażyna
Derda Zbigniew	Kaszyński Kazimierz	Nowicki Bogdan	Sztoler Grzegorz
Dęboróg-Bylczyński Maciej	Kempa Sławomir	Opacka-Walasek Danuta	Szymik Jerzy
Doniec Barbara	Kisiel Joanna	Oszelda Jerzy	Tomczok (Cuber) Marta
Duda Elżbieta	Kisiel Marian	Pańta Andrzej	Trojak Bogdan
Duda Harry	Kleinert Lucyna	Parma Ewa	Turant Witold
Dytko Zenon	Korusiewicz Maria	Paszek Jerzy	Tutajewicz Bogusława
Dziadul Jan	Korzonek Urszula Stefania	Paźniewski Włodzimierz	Waksmanski Jerzy
Fast Piotr	Kostrzewa Waclaw	Piechota Marek	Waniek Henryk
Fox Marta	Krasnodębski Jan Paweł	Pikul Jerzy	Wątroba Juliusz
Galuszka Krystian	Krzemiński Krystian	Podgórska Barbara	Węgrzyn Kazimierz
Gerlich Marian Grzegorz	Kuroczka (Bereta) Katarzyna	Polok Mirosław	Wierzchowski Leszek
Gębala Stanisław	Kusmierczyk Andrzej	Prynda Krystian	Wolny Alfred
Gierlotka Stefan	Kwiecień Ewa	Przeczek Lech	Woliński Marek
Girtler Leszek	Langowska Lucja	Przeczek Waszkowa Lucyna	Woźniak Jerzy Lucjan
Giżycka Wanda	Lekszycki Paweł	Przybyłowski Sławomir	Wroński Michał
Głogowski Tomasz	Lisak-Duda Elżbieta	Putzlacher-Buchta Renata	Zabierowski Stefan
Golonka Jacek	Lubina-Cipińska Danuta	Račlavská Jana	Zacharyasz Marek
Gruszka-Zych Barbara	Lysko Alojzy	Rokosz Beata	Zdrzałka Dariusz
Grzesiak Daniel	Majerski Paweł	Rott Dariusz	Żarczyński Piotr
Haber Franciszek	Majewski Lech	Rybicka Hanna	
Hajduk Eugeniusz	Malicki Jan	Sabath Rozmus Beata	

## Stara fotografia

ta mała dziewczynka  
z kokardą we włosach  
wypadła z albumu  
i przygląda mi się zdumiona

która z nas bardziej się dziwi  
szybkim krokom czasu  
i zmianom oblicza

co się właściwie stało  
kiedyśmy się minęły  
na jakim zakręcie

moje włosy  
przyprószyła siwizna  
oczy przygasił czas

jednak ta mała dziewczynka  
z kokardą we włosach  
chwytą mnie mocno za rękę  
i prowadzi bez lęku  
w przeszłość



# Krwawy poniedziałek

JAROSŁAW KAPSA

**P**amięć historyczna okrutnie drwi z ludzkiego rozumu. Ukazuje, że tragedie nikogo nie uczą, barbarzyństwo powtarza się, zmieniając jedynie język i narodowość ofiar i sprawców. Sceny z 4 września 1939 r. oglądane przez mieszkańców Częstochowy, powtarzają się w miastach Ukrainy. Powtarzają się łzy i ból, zrozpaczone twarze identyfikujące bliskich ekshumowanych z prowizorycznych, zbiorowych grobów; powtarza się irracjonalność umundurowanych zbirów przekonanych, że terror i strach jest receptą militarnego sukcesu.

Opowieść o zbrodni w Częstochowie powiełam korzystając z zapisków urzędnika miejskiego Bolesława Kurkowskiego, wydanych przez Muzeum Częstochowskie w 2009 r. (B. Kurkowski „Z krwawych dni Częstochowy”). Jest to relacja naocznego świadka, sekretarza Straży Obywatelskiej we wrześniu 1939 r., a pół roku później – urzędnika odpowiedzialnego za przeprowadzenie ekshumacji pomordowanych.

Wojna przysłała do Częstochowy niespodziewana, niezapowiedziana i niechciana. „Nagle w brzasku dnia 1 września 1939 r. rozgorzał ruch niesamowity, miasto się budzi pośpiesznie, z ust do ust padają słowa: „wojna, wojna”, przeciągają co chwila oddziały Wojska Polskiego, pędzą samochody wojskowe, cywilne, gonią rowerzyści, rozpoczyna się wędrówka i ucieczka. Tłumi ludzie unoszą ze sobą w ciżbie, w zamieszaniu swój dobytek, nie tylko widzi się wozy, samochody, pieszych, ale również wyładowane po brzegi wozy chłopskie, widać pędzone bydło w większych i mniejszych grupach, a tu znowu kobiecinę obładowaną na plecach tłumokiem, która zмага się z oporną krową, niechcąca pośpiesznie, w fali tłumu i ciżby wozów, uchodzić. I dalej fala płynie, wozy, ludzie i motocykle, samochody rwą na Warszawę, na Kielce i w tej masie dostrzegamy starca, który z małym zawiniątkiem pod ręką grubą różgą popędza ledwie ciągnącą się kozę. Wozy są przeładowane świniami, cielętami, a tu i ówdzie biedacy pchają na taczkach węgiel, kartofle, poza tym wszystkim zgielek nieopisany, pośpiech niewymowny, poparty malującym się przera-

żeniem. Wózki dziecinne, wyładowane dziećmi lub prowiantami, pchane pośpiesznie wśród rwącego potoka nie są w stanie dotrzymać tempa ucieczki, co chwila zawisa niebezpieczeństwo przejechania, co chwila tworzą się krótkotrwałe zatory, rozbijane napływającą falą. Wśród tego zgiełku, warkotu silników samolotowych i motorów samochodowych, wśród wrzawy, niektórzy ludzie unoszą na plecach pościel, a nawet balie do prania. Rozpoczęła się istna wędrówka narodów, szaleńcza, chaotyczna, a końca tego pochodu nie widać; ciągną ludzkie cały dzień 1 września, bez najmniejszej przerwy ciągną w pogodną noc z 1 na 2 września 1939 r. Widzi się podobne obrazy, widzi zmęczenie na twarzach uciekających, na twarzach zroszonych potem, zakurzonych?”

Częstochowa była miastem garnizonowym, stacjonowało tu dowództwo 7 dywizji piechoty. 29 sierpnia sprawnie przeprowadzono mobilizację, liczące 17 tys. żołnierzy oddziały objęły posterunki obronne: 1/3 ogółu na granicy polsko-niemieckiej, pozostali w umocnieniach bezpośrednio broniących miasta. Pierwsze strzały wojny padły w Krzepicach, o 3:30 rano; wcześniej niż na Westerplatte. Walki obronne zatrzymały agresora, sprawdziły się budowane przed wojną bunkry. Trwająca cały dzień, 2 września, bitwa na przedmieściach Częstochowy, kosztowały agresora stratę 40 czołgów i samochodów pancernych, 300 żołnierzy zabitych i rannych, 100 wziętych do niewoli. Wieczorem żołnierze polscy dostali rozkaz odwrotu, wycofywali się z miasta pieszo, kolumnami na Olsztyn i Janów, na Mstów i św. Annę, przebijając się przez tłumy cywilnych uchodźców.

Do miasta wkroczyły oddziały z niemieckiej 10 Armii dowodzonej przez gen. Waltera von Reichenau. Zadanie okupowania Częstochowy powierzono 97 pułkowi piechoty, jego dowódca Obersleutnant Oskar Döpping objął funkcję komendanta miasta. Niemiecki komendant spotkał się w południe 3 września z przedstawicielami polskiej Straży Obywatelskiej i z urzędnikami magistratu. Wyzaczył burmistrza miasta – został nim zamieszkały w Częstochowie kupiec niemiec-

kiej narodowości, Paweł Belke. Straż Obywatelska miała nadal dbać o bezpieczeństwo. Nieposłuszeństwo władzy niemieckiej oraz jakiegokolwiek formy oporu karane miało być śmiercią. Doświadczeni mieszkańcy, a do takich należał dowódca Straży Adam Plebanek, przypominali sobie podobne sceny z sierpnia 1914 r. Plebanek wtedy także dowodził Strażą Obywatelską, pamiętał, że w ślad za słowami okupantów, dla postrachu rozstrzelano kilkunastu zakładników. Zadbano więc, by w obliczu nowej okupacji, mieszkańcy zachowali spokój, by nie prowokować żołnierzy niemieckich. Niestety, poważne podejście, nie uchroniło miasta przed zbrodnią agresora. 4 września, w poniedziałek, ulice centrum Częstochowy stały się piekłem.

Nie ma racjonalnego wytłumaczenia terroru. Niemiecki oficer ppłk. Kurt Uebe w swoim raporcie pisał o ataku polskich partyzantów, przeprowadzonym w poniedziałek, ok. godz. 13, w wyniku którego zginąć miało ośmiu Niemców. Wątpliwa jest prawdziwość tego tłumaczenia; rozstrzeliwania zaczęły się przed południem, nie zidentyfikowano ofiar niemieckich, nie zatrzymano żadnego uzbrojonego partyzanta, nie znaleziono nawet jednej sztuki broni w przeszukiwanych domach. Raport Uebe przykryć miał, prawdopodobnie, inną prawdę. Masakra była świadomie zaplanowaną, kierowaną przez dowódców zemstą na ludność cywilną za opór stawiany przez polskich żołnierzy.

„Od wczesnego ranka rozpoczęły się aresztowania, siłą wyciągali żołnierze niemieccy ludzi z domów i mieszkań, odrywali od rodzin, przy tym bili nieszczęnych do nieprzytomności i po wyciągnięciu na ulice lub podwórze rozstrzeliwali. W mieście działy się istne szaleńcze orgie żołdactwa niemieckiego, trudne w swej ohydzie i beżeceństwie do opisania. (...) Popatrzmy, co się dzieje na ulicach Częstochowy i to, co ujrzymy, przewyższa wszystko, co można sobie wyobrazić: tysiące ludzi z podniesionymi do góry rękoma pędzonych jest przez ulicę, cały plac przed magistratem wypełniony jest w tej pozycji omdlewającymi z wycieńczenia ludźmi, a rąk pod karą śmierci opuścić nie wolno. Na ulicach gra-

suje żołdactwo niemieckie, rozbijanie sklepów, grabieże nieustanne (...). Do katedry Świętej Rodziny spędzili niemieccy żołnierze około 2000 mężczyzn, kobiet, nawet z dziećmi w wózkach, starców, Żydów, w ogóle na kogo tylko w pobliżu natrafili, tego wpędzili. Tak zapędzonych ludzi trzymano bez jedzenia i wody oraz bez prawa wyjścia z kościoła przez 46 godzin. (...) W czasie, gdy nieszczęśliwi ludzie przebywali uwięzieni w katedrze, przed katedrą przeszło 1500 osób leżało twarzą do ziemi. Nie uniknęło też rozstrzelania przed katedrą kilkanaście osób”.

Rozstrzeliwania trwały przez cały dzień, najwięcej osób zamordowano na ul. Narutowicza, Garncarskiej, na placu przed Katedrą i przed ratuszem. Strzały w mieście słychać było także przez całą noc z poniedziałku na wtorek. Palono także domy, z relacji Kurkowskiego wynika, że zniszczono 21 budynków, w tym kamienice przy Alei NMP 62, przy ul. Kościuszki 22, 11 domów przy ul. Warszawskiej; spalono również odległe od centrum domy na Rynku Wieluńskim, ul. Wręczyckiej i św. Rocha. Niszczono metodycznie; najpierw opróżniano dom z mieszkańców, nie pozwalając im nic z sobą zabrać. Ustawiano ich pod murem, z rękami podniesionymi do góry. Żołnierze niemieccy wchodzili do pustych mieszkań i podkładali ogień. Na ul. Warszawskiej i Garncarskiej użyli miotaczy ognia. Gdy pożar kamienicy przy Alejach zagroził sąsiadującemu domowi sióstr zakonnych, żołnierze nie pozwolili osobom postronnym uczestniczyć w akcji ratunkowej „siostry same wśród odgłosów strzałów padających na dziedzińcu magistratu, z wiadrami w rękach ratowały swój dobytek, a praca ta niełatwa była, gdyż brak było wszelkich środków strażackich do gaszenia pożarów”.

Na więzienie zmieniono nie tylko Katedrę, ale i pobliskie kościoły św. Zygmunta. Po kilku godzinach zwalniano kobiety i dzieci, mężczyzn odprowadzano do aresztu na Zawodziu. Po przepelnieniu cel, pozostałych przetrzymywano na placach: przed Katedrą, na pl. Daszyńskiego, przed Ratuszem; na ulicy Strażackiej kazano im się ułożyć twarzą do ziemi. Do pędzonej ulicą Strażacką kolumny zatrzymanych otwarto ogień z karabinów maszynowych. Do zbrodni doszło także w szpitalach. Wymordowano pacjentów w szpitalu wojennym w szkole na ul. Narutowicza, zabito kobiety w żydowskim szpitalu przy ul. Mirowskiej. Rozstrzeliwano mieszkańców zasiedlonego przez Żydów Starego Miasta; egzekucje odbywały się na ul. Garncarskiej, na podwórzu Szkoły Rzemiosł. Łapanie, zatrzymania, mordy trwały także po 4 września; doświadczali one mieszkańców dzielnic pery-



*Obelisk przed częstochowską archikatedrą, upamiętniający wydarzenia „krwawego poniedziałku”*

feryjnych: Rakowa, Stradomia, Zacisza. Zatrzymanych tam ludzi umieszczano w koszarach na Stradomiu.

W centrum zaprzestano orgii zbrodni 5 września rano. Komendant Döpping wezwał biskupa pomocniczego Antoniego Ziemiaka (biskup Teodor Kubina zatrzymany został w areszcie domowym), przeora Jasnej Góry Norberta Motylewskiego i proboszcza ks. Wojciecha Mondrego. Wymuszono na nich wydanie odezwy wzywającej mieszkańców do zachowania spokoju i podporządkowania się niemieckim rozporządzeniom. Na placu przed Ratuszem, na katafalku ustawiono trumnę (prawdopodobnie pustą), pokazującą oficera niemieckiego, rzekomo zabitego przez polskich partyzantów. Stała ona przez kilka dni...

W lutym 1940 r. ulegając prośbie nowego, polskiego burmistrza Stanisława Rybickiego, Stadthauptmann dr. Wender udzielił zgody na przeprowadzenie prac ekshumacyjnych. Przeprowadzono je na terenie szkoły przy ul. Narutowicza, żydowskiej Szkoły Rzemiosł i na podwórzu Ratusza. Ekshumację wykonywano w godzinach nocnych, bo niemiecki komendant nie zgodził się na ujawnianie, w biały dzień, dowodów bestialskiej zbrodni. W marcu wydobyto także zwłoki ofiar z ul. Warszawskiej, z placu przed Katedrą i kilku innych miejsc. Pogrzeb ofiar odbył się na cmentarzu Kule 27 kwietnia 1940 r. Mimo zakazu zgromadzenia, przybyło ponad 200 osób, mszę św. za dusze pomordowanych odprawił ks. Franciszek Mirecki.

Z placu przy szkole na ul. Narutowicza wydobyto 54 zwłoki. Ustalono tożsamość 26 mężczyzn. O pozostałych czytamy, w protokole ekshumacji, informacje pozwalające w przyszłości identyfikować ofiarę. Wśród

zapisków znajdujemy: „kobieta w zielonym płaszczu (...) przy kobiecie zwłoki noworodka urodzonego po śmierci”. Dziedziniec za Ratuszem, wydobyto 48 zwłok, rozpoznano 23 osoby, wśród ofiar sami mężczyźni... Rzemieślnicza Szkoła na ul. Garncarskiej, wydobyto 41 zwłok, 25 zidentyfikowano; jedna kobieta Sura Fiszhalter... Ogółem ekshumowano 227 zwłok ofiar.

Czy był to pełny bilans zbrodni?

Zdaniem Kurkowskiego zamordowanych było znacznie więcej. Nie znaleziono zwłok w miejscach wskazanych przez świadków; być może Niemcy zacierali ślady, przenosząc w inne miejsca, lub wrzucając do Warty. Ekshumacja nie obejmowała kilkuset ofiar pochowanych wcześniej przez drużyny sanitarne. Nie odnaleziono zwłok ofiar zastrzelonych na ul. Strażackiej. Raport ppłk Uebe mówił jedynie o 99 zabitych i 125 rannych. Jan Pietrzykowski, pracujący po wojnie w charakterze prokuratora ścigającego zbrodnie niemieckie, liczbę ofiar określał na 500. Autor wstępu do relacji Kurkowskiego dr. Wiesław Paszkowski szacuje, że zamordowanych było 671, a być może liczba ta, po wliczeniu zmarłych od ran, zbliża się do tysiąca.

Była to jedna z największych zbrodni popełnionych przez Wehrmacht w pierwszych dniach kampanii wrześniowej. Mordercy nie zostali ukarani, sprawiedliwość nie została przywrócona. Bolesna jest świadomość, że to wojenne barbarzyństwo pojawia się nadal na naszych oczach, w bliskim nas kraju, popełniane przez żołnierzy służących państwu, które chce uchodzić za cywilizowane. Dlatego nigdy nie możemy zapomnieć, dlatego żadnej zbrodni wojennej nie można relatywizować ani tym bardziej usprawiedliwić.

Polaków zamieszkujących tereny Kresów Południowo-Wschodnich II RP (co nie jest oczywiście tożsame z pojęciem Kresów dawnej Rzeczypospolitej, sięgających znacznie dalej na wschód) można ze względu na ich losy podczas i po II wojnie światowej podzielić na trzy grupy. Znaczna ich część nie przeżyła wojny, będąc ofiarami totalitaryzmu sowieckiego (od 17 września 1939 do czerwca 1941, a następnie od lata 1944, czyli podczas tzw. drugiej okupacji sowieckiej) i niemieckiego (1941–1944), a także działań ukraińskich nacjonalistów, spotęgowanych w 1943 roku (11 lipca 1943 to tzw. krwawa niedziela na Wołyniu). Przeważająca część tych, którzy przeżyli, opuściła zamieszkiwane od setek lat tereny, na mocy decyzji jałtańskich udając się na tzw. Ziemię Odzyskane (w wypadku ekspatriowanych z dawnych województw południowo-wschodnich – lwowskie, tarnopolskie, stanisławowskie – to przede wszystkim tereny Górnego i Dolnego Śląska oraz Ziemia Lubuska). Nieliczni zdecydowali się pozostać, zarówno we Lwowie, jak i na prowincji, z wszystkimi konsekwencjami tego faktu, którymi były warunki życia w stalinowskim ZSRR jako przymusowi jego obywatele (niektórzy z nich przybyli do Polski później, w latach tzw. odwilży po śmierci Stalina). Taki sam podział dotyczy kapłanów rzymskokatolickiej archidiecezji lwowskiej, praktycznie tożsamej z terenem Kresów Południowo-Wschodnich (jedynie południowo-wschodnia ich część należała do diecezji przemyskiej – okolice Sambora, Borysławia i Drohobycza). Niewielka tylko część archidiecezji przypadła po wojnie Polsce, z głównym ośrodkiem w Lubaczowie, gdzie znajdowała się siedziba administratury apostołskiej. Po zmianach związanych z upadkiem ZSRR, gdy odnowiono Archidiecezję Lwowską, jej dawna część w granicach Polski weszła w skład nowo powołanej Diecezji Zamojsko-Lubaczowskiej, należącej do Archidiecezji Przemyskiej.

Pierwszą pozycją książkową poświęconą losom wojennym Archidiecezji, jej kapłanów i wiernych była praca ks. bpa Wincentego Urbana, ówczesnego sufragana wrocławskiego, pod tytułem Droga krzyżowa Archidiecezji Lwowskiej w latach II wojny światowej 1939–1945. Ks. bp Wincenty Urban (1911–1983) został wyświęcony na kapłana w katedrze lwowskiej w 1936 roku przez arcybiskupa Bolesława Twardowskiego, pracował głównie w parafii Biłka Szlachecka, skąd został ekspatriowany poprzez diecezję przemyską na Dolny Śląsk. Aż do śmierci zajmował się pracą naukową (uzyskał stopień profesora zwyczajnego Akademii Teologii Katolickiej); pełnił także różne funkcje w administracji kościelnej Dolnego Śląska – od 1960 roku miał tytuł biskupa. Praca ks. bpa Urbana napisana w 1971 roku i wydana (teoretycznie) w 1983, do rąk czytelników trafiła dopiero w 1991, staraniem Fundacji im. św. Andrzeja Boboli. W książce zostały przedstawione sylwetki kapłanów, począwszy od abpa Twardowskiego, który zmarł jeszcze we Lwowie w 1944 roku i jego następcy abpa Euge-

# Pasterze niezłomni

## Losy kapłanów archidiecezji lwowskiej w czasie i po II wojnie światowej

ANTONI WILGUSIEWICZ



fol. Autor

Kościół św. Stanisława w Czortkowie

niusz Baziaka, któremu przypadł w udziale smutny los opuszczenia Lwowa – jako jednemu z ostatnich, w kwietniu 1946 roku – wraz z księżmi i wiernymi (osiadł w Lubaczowie, a potem w Krakowie). W pierwszej kolejności wymieniono kapłanów ekspatriowanych, przede wszystkim tych, którzy zajmowali się pracą naukową, jak sam autor, a także Rektor Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego ks. prof. dr Marian Rechowicz. Tragiczne losy księży autor dzieli na zamordowanych (48), zmarłych w więzieniach (17) oraz zaginionych bez wieści (dalszych kilkunastu). Wśród zamordowanych warto wymienić ks. dra Władysława Komornickiego, który zginął jako jeden z ofiar zbrodni na profesorach lwowskich na Wzgórzach Wuleckich 4 lipca 1941 roku, a także ojca Ludwika Wrodarczyka (rodem z Radzionkowa, proboszcza parafii Okopy na Wołyniu), wobec którego jako jedynego duchownego zamordowanego przez ukraińskich nacjonalistów toczy się proces beatyfikacyjny.

Zasadniczą część książki jest jednak poświęcona tragicznym losom wiernych (w podziale na dekanaty), z których większość zginęła z rąk nacjonalistów ukraińskich. Autor uznał za swój obowiązek dokumentację losów zarówno księży, jak i polskiej (bo w przeważającej większości wiernymi Kościoła Rzymskokatolickiego na Kresach byli Polacy) ludności tych terenów w czasach, kiedy wydawało się, że sprawa ich tragedii ulega nieuchronnemu zapomnieniu. Czasy jednak się zmie-

niły i problem podjęty przez ks. bpa Urbana można było opracować dogłębnie w sposób stricte naukowy. Podjął się tego ks. Józef Krętosz wraz z prof. Marią Pawłowiczową (oboje już od kilku lat nieżyjący, bardzo zasłużeni dla tematyki kresowej) wraz z zespołem autorów haseł biograficznych, głównie osób duchownych. Powstał w ten sposób Słownik biograficzny duchowieństwa metropolii lwowskiej obrządku łacińskiego ofiar II wojny światowej 1939–1945, wydany przez Wydawnictwo i drukarnię Świętego Krzyża w Opolu w 2007 roku. Słownik obejmuje duchownych z metropolii (a nie tylko archidiecezji lwowskiej, a więc także z diecezji przemyskiej i łuckiej (wołyńskiej) w podziale na księży diecezjalnych, zakonników, jak również kapelanów wojskowych. Autorzy doliczyli się ogółem 255 ofiar wśród nich, z czego 167 księży diecezjalnych, 59 zakonników oraz 29 kapelanów. Najwięcej księży straciła archidiecezja lwowska – 90, czyli ponad połowę stanu z 1939 roku (oraz 43 zakonników). Jeśli chodzi o sprawców ich śmierci, to niemal po równo byli nimi Sowietci (75) i ukraińscy nacjonałiści (74), nieco mniej Niemcy (66). 32 duchownych straciło życie podczas działań frontowych, a 8 – w nieznanych okolicznościach.

Okoliczności śmierci kapłanów opisane w Słowniku stanowią przerażającą panoramę losów polskiej ludności Kresów, a zwłaszcza inteligencji, której byli oni przedstawicielami.



Stosunkowo dobrze znana jest zbrodnia dokonana przez Sowietów na 8 dominikanach czortkowskich; byli nimi przeor ojciec Justyn Spyrlak i towarzysze, zastrzeleni przez NKWD nad rzeką Seret w nocy z 1 na 2 lipca 1941 roku, a więc tuż przed wkroczeniem wojsk niemieckich. Pogrzebu doczekali się dopiero po upadku ZSRR, w 1991 roku, a w 2006 rozpoczął się ich proces beatyfikacyjny jako męczenników za wiarę. Z kolei z rąk niemieckich kapłani ginęli w obozach koncentracyjnych, więzieniach, a także egzekucjach, jak w Czarnym Lesie koło Stanisławowa, gdzie zamordowano ponad 300 osób spośród polskiej inteligencji. Był wśród nich ks. Lucjan Tokarski, katecheta szkół stanisławowskich, wymieniony na tablicy pamiątkowej ustawionej tu po ustaleniu miejsca zbrodni w 1988 roku.

Wielu kapłanów, szczególnie parafii wiejskich, straciło życie wskutek ludobójczej akcji ukraińskich nacjonalistów. Typowym przykładem może być los proboszcza parafii Bybło w woj. stanisławowskim, ks. Antoniego Wierzbowskiego. Wraz z miejscowym naczyniem został on uprowadzony w dniu 12 X 1943 roku i zamordowany w pobliskim lesie, gdzie po kilku dniach znaleziono ciała obu ofiar.

Swego rodzaju uzupełnieniem Słownika jest opracowane przez siostrę Agnieszkę Michnę zestawienie pod tytułem Siostry zakonne – ofiary zbrodni nacjonalistów ukraińskich na terenie metropolii lwowskiej obrządku łacińskiego w latach 1939–1947 wydane przez IPN w 2010 roku. Autorka udokumentowała tam śmierć z rąk nacjonalistów 21 siostr zakonnych.

Dla Polaków opuszczających Kresy zamknięcie kościołów i przymusowe wysiedlenie księży oraz zakonników było oznaką tego, że kończy się tutaj Polska. Jak pisał w swych Notatkach lwowskich 1944–1946 profesor Ryszard Gansiniec w końcu maja 1946 roku: „Konieczność wyjazdu jest oczywista: 3 VI zamykają wszystkie kościoły, prócz jednej katedry, w niedzielę odbędzie się w innych ostatnie nabożeństwo: księża muszą wyjechać. Głowa mnie boli od tego wszystkiego; leżałem po powrocie z pracy, od jutra zabiorę się do pa-



Grób ks. Emila Kobierzyckiego w Bytomiu.

kowania...”. Jak się okazało, zezwolono także na działalność kościoła św. Antoniego na Łyczakowie; generalnie jednak niemal wszystkie kościoły zostały zamknięte i przeznaczone na cele świeckie wyznaczone przez władzę sowiecką. Spośród księży pozostały nieliczne jednostki, które bez cienia wątpliwości możemy nazwać pasterzami niezłomnymi. W wydanym w 2021 roku przez IPN Słowniku inteligencji polskiej w ZSRS 1945–1991. Został na Wschodzie (tom I) pod redakcją naukową Adama Hlebowicza znajdujemy sylwetki niektórych spośród nich, choć oczywiście nie wszystkich. Nie ma tu (z pewnością znajdują się w następnym tomie!) tak ważnych duszpasterzy, jak franciszkanin o. Rafał Kiernicki, późniejszy biskup, żołnierz AK i więzień łagrów, w latach 1949–1958 i 1965 aż do śmierci w 1995 roku proboszcz parafii katedralnej czy też Serafin Kaszuba – Czcigodny Sługa Boży, zakonnik, kapucyn, nazywany Włóczęgą Bożym, przemierzał w ZSRR wbrew szyskanom i panującemu tam terrorowi tysiące kilometrów, docierając z posługą kapłańską do odległych zakątków rozległego imperium – zmarł w 1977 roku. Jest natomiast w Słowniku biografia ks. Henryka Mosinga, doktora medycyny, który działał jako tajny kapłan katolicki. Był uczniem prof. Rudolfa Weigla, po którym przejął kierowanie jego laboratorium produkującym szczepionki przeciw tyfusowi plamistemu. W roli badacza tyfusu plamistego działał w czasach ZSRR, przyczyniając się do zlikwidowania epidemii tej choroby na Ukrainie. Myślał jednocześnie o kapłaństwie i w 1961 roku otrzymał święcenia z rąk kardynała Stefana Wyszyńskiego w podwarszawskich Laskach. Odtąd łączył pracę lekarza z potajną działalnością duszpasterską, także poza Lwowem; podróżował nie tylko po Podolu, gdzie pełnił tajną posługę w soboty i niedziele, również po rozległych terenach ówczesnego ZSRR. Prowadził także Instytut Pomocników Kościoła pw. św. Wawrzyńca, rodzaj tajnego seminarium duchownego. Zmarł w 1999 roku; jego

postać jest znana i otoczona szacunkiem, zarówno w Polsce, jak i na Ukrainie (np. w Zielonej Górze działa Fundacja Charytatywna Pomoc Polakom na Kresach im. Księdza Doktora Mosinga). Innym kapłanem godnym przypomnienia jest ks. Bronisław Mirecki, działający pod koniec życia w Hałuszczynie nad Podolem, gdzie zmarł i został pochowany w 1986 r. Jego siostrą była znana działaczka narodowa, po wojnie na emigracji w USA Maria Mirecka Loryś. W czasie wojny pracował jako proboszcz parafii w Podwołoczyskach nad Zbruczem; mimo zagrożenia ze strony nacjonalistów ukraińskich i szykan władzy sowieckiej postanowił pozostać na swojej parafii. Za swoją niepokorną postawę został pozbawiony prawa wykonywania posługi religijnej na przeszło 15 lat – w tym czasie wykonywał ją w sposób tajny, ale dzięki pomocy wiernych nigdy nie został schwytyany podczas sprawowania sakramentów. Obsługiwał jednocześnie nawet 15 parafii na Podolu, ze swoją posługą dotarł nawet do Moskwy. Dopiero w 1974 roku otrzymał zgodę na prowadzenie parafii w Hałuszczynie, przez kilka lat będąc jedynym kapłanem rzymskokatolickim w obwodzie tarnopolskim. Od czasu swojej beatyfikacji w 2016 roku postacią szerzej znaną w Polsce stał się ks. Władysław Bukowiński, urodzony w Żytomierzu, w czasie wojny proboszcz katedry w Łucku. Cudem uniknął śmierci z rąk NKWD w sierpniu 1941 roku. Aresztowany ponownie w 1945 roku wraz z innymi księżmi, przez 10 lat przebywał w różnych obozach pracy, wciąż kontynuując potajną posługę. Po zwolnieniu pracował jako stróż nocny, sprawując sakramenty w domach wiernych; ponownie skazany na 3 lata obozu pracy, łącznie przebywał w więzieniach i obozach 13 i pół roku. Mimo propozycji wyjazdu do Polski odmówił, argumentując, że jako kapłan jest bardziej potrzebny na Wschodzie. Od 1956 roku związał się z Karagandą w Kazachstanie, gdzie pracował mimo zrujnowanego w sowieckich łagrach zdrowia; zmarł w 1974 roku. W 1984 roku znalazł ostatecz-



Grób ks. Adolfa Podoleckiego w Zabrze

ne miejsce spoczynku przy kościele św. Józefa w Karagandzie.

Exodus ludności Kresów na zachód, czyli na propagandowo tak nazywane Ziemie Odzyskane, trwał przez kilka lat z głównym nężeniem w latach 1945–1947. Repatrianci (nazwa również propagandowa, dziś określamy ich jako ekspatriantów, czyli nie powracających, a usuniętych z Ojczyzny) zwłaszcza pochodzący z terenów wiejskich osiedlali się zazwyczaj w grupach wywodzących się z tej samej lub kilku pobliskich miejscowości. Więź ich łącząca była też więzią parafialną – nie mogąc zabrać ze sobą kościoła i cmentarza jako symbol tej więzi zabierali obraz lokalnej Madonny, której depozytariuszem był proboszcz parafii (ewentualnie wspólnota zakonna). Przykładem tego rodzaju działaniom dał wspomniany arcybiskup Eugeniusz Baziak, zabierając ze sobą obraz Matki Boskiej Łaskawej z katedry lwowskiej. Okoliczności wywiezienia tego obrazu – w tajemnicy przed władzą sowiecką – oraz jego dalsze losy mogą być tematem filmu sensacyjnego; wspomnieć w tym miejscu można jedynie, że obraz dziś znajdujący się w ołtarzu głównym katedry jest kopią ukoronowaną przez Jana Pawła II podczas pielgrzymki do Lwowa w 2001 roku. Na terenie Górnego Śląska przykładem takiego obrazu, czczonego powszechnie przez kilka wieków jest obraz Matki Boskiej z Kochawiny, zwanej Matką Dobrej Drogi. W 1931 roku opiekę nad sanktuarium w Kochawinie i obrazem przejęli jezuita, którzy zabrali go ze sobą do Polski w nowych granicach. Ostatecznie znalazł się w Gliwicach, najpierw w parafii św. Bartłomieja, a następnie w nowej parafii i sanktuarium w Gliwicach na Osiedlu Kopernika. Do dziś pojawiają się tu osoby (lub ich potomkowie) wspominające sanktuarium w Kochawinie i pielgrzymki do niego, nawet z dalekich stron. Tradycję tych pielgrzymek ojcowie jezuita kontynuują w 2 niedziele maja.

Kapłani rzymskokatolicki, którzy przeżyli wojnę na Kresach i nie zdecydowali się na pozostanie na nich pod sowieckimi rządami, na ogół osiedlili się – tak jak ich parafianie – na ziemiach włączonych do Polski jako „rekompensata” za utracone tereny na wschodzie. W ostatnim czasie zyskał znakomite źródło do poznania ich biografii dzięki benedyktyńskiej pracy ks. Mariusza Leszczyńskiego, biskupa pomocniczego diecezji zamojsko-lubaczowskiej, wydanej przez IPN w roku 2020 pod tytułem Księża diecezjalni ekspatrianci archidiecezji lwowskiej obrządku łacińskiego. Słownik biograficzny. Autor zawarł tu 636 biogramów kapłanów, poczynając od arcybiskupa Eugeniusza Baziaka. Obok kapłanów stosunkowo dobrze znanych na naszym terenie (jak ks. Michał Rękas, twórca lwowskiego Apostolstwa Chorych, które prowadził po wojnie w Katowicach) znajdziemy tu tych, o których pamięć niemal całkowicie zaginęła. Dla przykładu – ze Słownika dowiedziałem się o ks. Alfredzie Dobieckim, który w listopadzie 1918 roku pełnił posługę kapelana w szpitalu dla rannych



Sanktuarium MB Kochawińskiej, Gliwice

w walkach w budynku Politechniki. O jego postawie w tym czasie niewiele wiemy, ale świadczyć o niej mogą odznaczenia: Krzyż Walecznych oraz dwukrotnie Krzyż Obrony Lwowa. Działalność aktywną na polu charytatywnym podczas II wojny światowej. Po niej osiadł w klasztorze ojców bonifratrów najpierw w Krakowie, a potem w Katowicach-Bogucicach, gdzie zmarł w 1951 roku i został pochowany na cmentarzu zakonnym we wspólnym grobie bonifratrów (być może jego postać zostanie upamiętniona na skutek pisma, które skierowałem w tej sprawie do Oddziału IPN i władz miasta Katowic). Księża z Kresów najczęściej pełnili posługę w parafiach, które opuścili poprzedni mieszkańcy i ich niemieccy duszpasterze. Pracowali też w szkołach – dopóki dozwolona tam była katecheza, w szpitalach jako kapelani, w seminariach duchownych i urzędach kurialnych. Takim kapłanem był do dziś pamiętany w Bytomiu ks. Emil Kobierzycki, urodzony w 1892 roku we Lwowie. W latach 1937–1944 był proboszczem i dziekanem dekanatu Brody. Po wojnie znalazł się na Śląsku i pracował w administracji apostolskiej w Opolu; był m.in. referentem do spraw repatriantów. Wobec usunięcia przez władze ks. Bolesława Kominka z funkcji administratora apostolskiego w Opolu zastępował go jako „wikariusz kapitulny”, a od 1958 do śmierci w 1963 roku był proboszczem parafii Trójcy Świętej w Bytomiu (został pochowany na cmentarzu Mater Dolorosa). W Zabrze z kolei na cmentarzu parafii św. Anny znajdziemy pochówki kapłanów z Kresów, z których najbardziej reprezentacyjny jest nagro-

bek ks. Adolfa Podoleckiego. W 1926 roku uzyskał on stopień doktora teologii w Uniwersytecie Jana Kazimierza; podczas okupacji niemieckiej brał udział w tajnym nauczaniu we Lwowie. Po ekspatriacji znalazł się w Zabrze; był katechetą, a następnie kapłanem Państwowego Szpitala Klinicznego. Zmarł w 1962 roku. Nie wszystkich tych kapłanów można nazwać niezłomnymi; czasy stalinowskie, a wcześniej ciężkie przeżycia wojenne spowodowały u niektórych konformizm wobec władz. Jeden z księży gliwickich na przykład (nazwiska nie przytoczę) przystąpił do tzw. ruchu księży patriotów i został na dowód zaufania radnym miejscowym. Warto natomiast wymienić ciekawy przypadek księdza Walentego Opalińskiego. W młodości, jako student Politechniki Lwowskiej przybył na Górny Śląsk i został adiutantem w 4 Gliwicko-Toszeckim Pułku Piechoty im. Stefana Batorego. Ponownie znalazł się tu jako kapłan w 1945 roku; niestety, w 1957 uległ wypadkowi i przeszedł w stan spoczynku, który przebywał w rodzinnych stronach koło Rzeszowa.

Nieubłagany upływ czasu spowodował, że nikt z wymienionych w artykule, a także przywołanych słownikach biograficznych już nie żyje. Ich miejsca pochówku bywają nieznanne, jak w wypadku większości zamordowanych przez nacjonalistów ukraińskich, zapomniane lub niemal zapomniane, w niektórych tylko przypadkach otoczone należną opieką i szacunkiem. Warto o nich jednak pamiętać; stanowią dowód na ścisły związek Kościoła Katolickiego i jego kapłanów z historią naszego narodu.

# Prof. Tadeusz Ginko – człowiek wielu pasji

ANIELA KACZANOWSKA z d. GINKO  
JAN RAUCH  
WOJCIECH GINKO



Tadeusz Ginko w łagrze. Kaługa, 1944

Długo szukał Tadeusz Ginko swego miejsca w życiu, zanim dotarł na Śląsk. Rozpoczął tę wędrówkę na Kresach północno-wschodnich, przemierzając wielkie obszary ziem, nie tylko polskich i nie zawsze zgodnie z własnymi planami.

Urodził się 2 kwietnia 1917 roku we wsi Kiejminy, pow. Muśniki na Wileńszczyźnie, w rodzinie rzemieślniczej. Ojciec, Hieronim, był kuchmistrem i cukiernikiem, matka – Filomena z d. Smolska – zajmowała się domem i dorywczo szyła, wspomagając budżet domowy. Miał starszą o 4 lata siostrę Władysławę.

W Wilnie ukończył szkołę powszechną i humanistyczne Gimnazjum Męskie im. Króla Zygmunta Augusta. Wspaniałym profesorem, wśród nich malarzowi Stanisławowi Jareckiemu, zawdzięczał, poza ogólnym gruntownym wykształceniem, biegłą znajomość języka niemieckiego, historii sztuki oraz opanowanie artystycznego warsztatu rysownika. Już w gimnazjum rysował karykatury profesorów i kolegów, ozdobił nimi pisany wówczas dziennik.

W roku 1935 zdał egzamin konkursowy na Wydział Lekarski Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie. W dwa lata później utracił ojca i od tego czasu utrzymywał się sam, zarabiając korepetycjami, rysowaniem karykatur i portretów oraz pracą fizyczną. Już podczas III roku studiów zatrudniony został na stanowisku zastępcy asystenta przy Zakładzie Histologii i Embriologii, którym kierował prof. Stanisław Hiller.

Życie studenckie w Wilnie dawało możliwość uczestniczenia w działalności licznych organizacji studenckich. Tadeusz Ginko należał do dwóch, jakże różnych, ale jednakowo silnie formujących wewnętrznie. Pierwsza to Stowarzyszenie Katolickie Młodzieży Akademickiej „Juventus Christiana”, którego celem było poznawanie Ewangelii i wprowadzanie jej zasad w życie osobiste i społeczne. Jego członkowie – studenci – uczestniczyli w dyskusjach, rekonstrukcjach, ale także obozach i spotkaniach kulturalno-artystycznych. Duchowymi przewodnikami młodzieży studenckiej byli: ks. rektor prof. Czesław Falkowski i ks. prof. Antoni Pawłowski (podczas okupacji zwany przez młodzież studenc-

ką „Chrząszczem”). Drugą organizacją był Akademicki Klub Włóczęgów Wileńskich, założony przez znanego podróżnika Wacława Korabiewicza, dający możliwość przeżycia przygody intelektualnej, pobudzającej do kształtowania postaw życiowych, i przygody-włóczęgi pieszej, kajakowej i narciarskiej. Największą wyprawę pieszo-kajakową z Nowogródziny na Pojezierze Augustowskie, którą odbył w 1936 roku z przyjacielem, Stachem Wasilewskim, opisał 13-zgłoskowcem na kilkudziesięciu stronach i zilustrował żartobliwymi rysunkami.

Swoją pasję społecznikowską członkowie Klubu realizowali, prowadząc dla ubogich chłopców założony przez siebie Klub Ulicznika. Włóczędzy wyróżniali się dużymi, czarnymi beretami z chwostami, a zamiast sztandaru mieli potężną drewnianą łagę, noszoną podczas uroczystości. Wielu z nich zapamiętało Tadeusza (pseudonim klubowy „Wałkoń”) jako organizatora słynnych balów Klubu Włóczęgów, autora tekstów, wykonawcę humorystycznych szopek i występów artystycznych, mówiącego i śpiewającego. Odznaka Akademickiego Klubu Włóczęgów Wileńskich była jedną z najcenniejszych Jego pamiątek.

Kończył studia, kiedy wybuchła wojna. 15 grudnia 1939 roku władze litewskie zamknęły Uniwersytet. Uroczystą mszą św. w akademickim kościele św. Jana i ostatnim wykładem Senat uczelni i młodzież studencka żegnali się z uczelnią.

Po zamknięciu Uniwersytetu rozpoczęło się przejmowanie bibliotek i wyposażenia Zakładów. Prof. Hiller polecił pracownikom zabezpieczenie mikroskopu i preparatów, jak gdyby w przecz-



Odznaka Akademickiego Klubu Włóczęgów Wileńskich

ciu, że zajęcia dydaktyczne będą prowadzone nadal. Tajne nauczanie medycyny, którym kierował prof. Michał Reichert, rozpoczęto w styczniu 1940. Przez kilka miesięcy Tadeusz Ginko prznosił w kolejne miejsca mikroskop i preparaty, prowadząc z niewielkimi grupkami studentów ćwiczenia z histologii (czasem w mieszkaniu matki).

Kiedy władze litewskie postanowiły zlikwidować w większych miastach skupiska młodzieży polskiej, Polska Sekcja Pomocy Ofiarom Wojny, utworzona przez prof. Kazimierza Pelczara, organizowała dla niej „studenckie gospodarstwa rolne”. Pracował w takim gospodarstwie w Wace k. Landwarowa, później przy budowie nasypu kolejowego w Trokach.

Za radą swoich dawnych profesorów, z grupą ok. 100 studentów ostatnich lat postanowili skorzystać z możliwości ukończenia studiów medycznych w Kownie. Pokonując ogromne trudności językowe i ciężko pracując fizycznie, jako jeden z pierwszych z tej grupy zdał ostatnie egzaminy w Uniwersytecie Kowieńskim, uzyskując w listopadzie 1941 r. dyplom lekarza. W trakcie stażu podyplomowego w szpitalach wileńskich powrócił do tajnego nauczania medycyny. W tym samym czasie w tajnym nauczaniu dzieci szkół podstawowych uczestniczyła jego narzeczona, Wanda Dziewulska, córka profesora astronomii USB, studentka pedagogiki, przerwanej wojną po I roku studiów. Ślub ich odbył się w kościele św. Jana w Wilnie 15 lutego 1942 r.

Młodych lekarzy kierowano do pracy na prowincji, więc wkrótce po ślubie opuścili Wilno. O wyborze miejsca zdecydowały związki z pracą konspiracyjną.



Wanda Dziewulska i Tadeusz Ginko w okresie narzeczeństwa

Pracując oficjalnie w Ośrodkach Zdrowia i Szpitalach Powiatowych w Świrze i Szemietowie, niedaleko jeziora Narocz, jako „Doktor Jan” organizował i sprawował opiekę medyczną nad partyzantami z oddziałów AK, rozmieszczonych w okolicznych, głębokich lasach. Poza obowiązkami zawodowymi drukował, wspólnie z żoną, pisemko „Partyzant” przeznaczone dla walczących oddziałów. Wspólnie włączyli się w organizowanie pomocy dla wileńskich księży, więzionych w obozie pracy w głębi Litwy. Było wśród nich wielu profesorów seminarium duchownego.

W kwietniu 1944, wobec zbliżającego się frontu, Tadeusz Ginko został odwołany do Wilna i mianowany Szefem Służby Zdrowia 2. Zgrupowania AK Ziemi Wileńskiej, którym dowodził mjr Mieczysław Potocki, „Węgieln”. Organizował szpital polowy i szkolił personel pielęgniarstwa. W czasie walk z Niemcami ratował życie partyzantów m.in. w największej z bitew 2. Zgrupowania pod Krawczunami, gdzie kierował zaopatrzeniem i ewakuacją rannych. Mjr Potocki napisał w swoich wspomnieniach: „*rannych – na miejscu, pod ogniem z aut pancernych, operował lekarz Tadeusz Ginko, odznaczony za ten czyn Krzyżem Walecznych*”.

W lipcu 1944 r. należał do oddziałów AK, które wspólnie z Armią Czerwoną walczyły o oswobodzenie Wilna, a następnie – po odmowie złożenia przysięgi na wierność ZSRR – podzielił los tysięcy partyzantów, podstępnie otoczonych, rozbrojonych i internowanych w Miednikach. Nie skorzystał z możliwości ucieczki, przedkładając powinność wobec Ojczyzny, wierność przysiędze żołnierskiej i odpowiedzialność lekarza nad życie rodzinne. Przed wywiezieniem w głąb Rosji sowieckiej, do Kaługi, zdołał jedynie przez moment zobaczyć żonę i kilkudniową córeczkę, by rozstać się z nimi na półtora roku.

Pobyt w Kałudze i Sieredniakach opisał we wspomnieniach lekarza zesłańca. Powtarzają się w nich doświadczenia tysięcy – praca ponad siły przy wyrębie lasów, nieludzkie normy, zimno, głód, karcer... Ale równocześnie życzliwość ludziom, głębokie przyjaźnie, wiara w odmianę losów

Ratują Go kolejny raz uzdolnienia artystyczne. Rysuje portreciki strażników i nawet w ten sposób zarabia. Unika poważnej kary za rysunki przedstawiające życie obozowe, kiedy udawania, że wysłał żonie (z obozu!) zarobione na rysowaniu pieniądze. Kiedy udaje się uzyskać zgodę na zorganizowanie zespołu artystycznego, jest scenografem i tancerzem. Z kory, puszek po konserwach, ścinków materiału wyczarowuje stroje tancerzy, w śpiewie współzawodniczy z Bernardem Ładyszem. Muzyka, śpiew, występy taneczne podtrzymują na duchu uwięzionych, zdumiewają artystów Teatru Stanisławskiego, odwiedzających obóz z występami.

Powstają w tym czasie pierwsze, niewielkie rzeźby wykonane szczyrzykiem dla żony i córeczki – okładka albumika ozdobiona wyrzeźbionymi scenami z Wilna i z lasu, smutna małpka, drewniana puderniczka (bez lusterka), ryngraf z Matką Boską Ostrobramską i na-



Smutna małpka

pisem na rewersie: „Z trudu naszego i znoju Polska powstanie by żyć”.

W styczniu 1946 wraca do Polski, z adnotacją w papierach „zwolniony”, bez ujawniania miejsca i powodu uwięzienia. Jeszcze wówczas nie wiedział, że będzie to trwała plama na życiorysie.

Tadeusz Ginko odnajduje rodzinę w Toruniu (ojciec żony, prof. Władysław Dziewulski współorganizuje tam uniwersytet), poznaje swoją 1,5 roczną córeczkę – Anielkę. Z trudem znajduje uczelnię, na której przeprowadzi nstryfikację litewskiego dyplomu. Marzy o pracy na uczelni medycznej, najchętniej w Gdańsku, gdzie osiadło grono wileńskich profesorów, ale nie uzyskuje zgody władz. Próbuje w innych miastach, bezskutecznie. Rozpoczyna więc wędrówkę po Polsce.

W Pile na Ziemach Odzyskanych pracuje w Warsztatach Naprawczych Taboru Kolejowego, później w Szpitalu Powiatowym w Płońsku na Mazowszu i w Toruniu w Wojskowym Szpitalu Okręgowym, gdzie zdobywa specjalizację w dziedzinie chirurgii.

W 1950 roku otworzyła się przed Tadeuszem Ginką perspektywa pracy naukowej; na Śląsku powstawała uczelnia

medyczna, a władze udzieliły zgody na podjęcie w niej pracy. Współorganizował Śląską Akademię Medyczną, wówczas z siedzibą w Rokitnicy k. Zabrza, a następnie pracował w niej ponad 30 lat. Pracę naukową rozpoczął w Katedrze Anatomii Prawidłowej, kontynuował w wybranej przez siebie dziedzinie medycyny – chirurgii. Do roku 1962 pracował w I Klinice Chirurgicznej w Zabrzu, kierowanej przez prof. Gasińskiego, którego był doktorantem. Dysertację doktorską obronił w roku 1951.

Pracował bardzo ciężko. Trudne warunki życia w tamtych czasach i powiększająca się rodzina (w latach 1947, 1952, 1955 urodzili się synowie: Wojciech, Tomasz i Tadeusz) zmuszały do podejmowania dodatkowej pracy: dyżurów nocnych w klinice i popołudniowej pracy w Przychodni Akademickiej, którą kierował. Władze Akademii często wykorzystywały jego talenty plastyczne, angażując go do przygotowywania wystaw, uroczystości, jubileuszy. Zdarzało się, że dzieci nie widywały Go przez kilka dni albo spędzały czas co prawda wspólnie, ale nie na zabawie, lecz na wycinaniu liter, malowaniu i klejeniu plansz. W późniejszych latach, kiedy dzieci dorastały, a rodzina zamieszkała w Katowicach, wspólne spędzanie czasu było nadal czymś wyjątkowym. Domownicy byli przyzwyczajeni do codziennego dwukrotnego wychodzenia ojca i męża z domu – przedpołudniami po to, by pracować w klinice i przychodni przyklinicznej, wieczorami, by mieć spokojny czas dla każdego chorego. A jeszcze praca naukowa i absorbująca funkcja konsultanta w zakresie chirurgii dla woj. częstochowskiego, związana z nieoczekiwanymi wyjazdami poza godzinami pracy w klinice.

Plama na życiorysie co jakiś czas dawała znać o sobie. Nie wstąpił do PZPR, nie brał udziału w życiu politycznym uczelni, więc zatwierdzenie pracy habilitacyjnej trwało aż 7 lat. Po tylu latach oczekiwania, wyprowadzony z równowagi postanowił zadzwonić z władz i wystąpił do Ambasady Rosyjskiej z prośbą o poświadczenie służby w Armii Czerwonej (wileńskie oddziały partyzanckie, pracujące w nieludzkich warunkach obozowych, zostały po internowaniu formalnie do niej włączone).

Uzyskane zaświadczenie błyskawicznie załatwiło sprawę, o czym opowiadał rozbawiony, a jednak po habilitacji przez 17 lat czekał w macierzystej uczelni na samodzielne stanowisko, wyręczając szefów w pracach różnej miary, począwszy od szkoleń specjalizacyjnych młodych lekarzy, a skończywszy na remoncie starego budynku i przenoszeniu Kliniki Chirurgii Ogólnej do Szpitala im. Mieleckiego w Katowicach. Przeprowadził się z rodziną do Katowic. Dopiero w roku 1982 doczekał się mianowania

na kierownika I Katedry i Kliniki Chirurgii Ogólnej. Przez ostatnie dwa lata życia dane Mu było wykorzystać swoje talenty, by samodzielnie ją prowadzić. O tym, jakim był szefem dla współpracowników-lekarzy, rodzina nie zawsze wiedziała, o tym, jakim był dla pielęgniarek – przekonała się, kiedy przegrywał walkę z nieuleczalną chorobą. Przez ostatni miesiąc, każdej nocy jedna z siostr opiekowała się Nim w domu i żadna z nich nie przyjęła od rodziny wynagrodzenia.

Wielką wagę przywiązywał do dydaktyki, wprowadzania w zawód lekarza studentów i szkolenia młodych lekarzy w zakresie specjalizacji 1 i 2 stopnia. Był promotorem pięciu przewodów doktorskich. Swoją postawą starał się zaszczepić młodym adeptom medycyny wrażliwość na ból i cierpienie, szacunek dla pacjentów. Był lubiany i ceniony przez studentów, w dużej mierze ich głosami został wybrany w roku 1980 na stanowisko prorektora do spraw młodzieży. Pełnił tę zaszczytną funkcję krótko, w stanie wojennym został z niej usunięty, a w nekrologu, jakim żegnała Go uczelnia w roku 1984, nawet o niej nie wspomniano.

Poza pracą na uczelni angażował się w liczne inicjatywy społeczne, które po latach owocowały medalami, odznaczeniami, orderami, również państwowymi, m.in. Krzyżem Walecznych, Krzyżem Armii Krajowej, Krzyżem Partyzanckim, Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotym Krzyżem Zasługi, Medalem Komisji Edukacji Narodowej i wieloma innymi. Pośmiertnie nadano Mu tytuł członka honorowego Towarzystwa Chirurgicznego i Medal „Gloria Medicinae”. Dwukrotnie otrzymał nagrodę I stopnia Ministra Zdrowia i Opieki Społecznej.

Tadeusz Ginko jest autorem lub współautorem około 100 prac naukowych (w tym 2 skrypty dla studentów), autorem opracowania nt. tajnego nauczania medycyny w USB w Wilnie w okresie wojny. Na stypendium w Moskwie poznał doświadczenia prof. Demichowa nad przeszczepami serca i innych narządów. Po powrocie prowadził prace doświadczalne z chirurgii narządu krążenia, potrzebne materiały sprowadzał na własny koszt dzięki dalekiej rodzinie w USA.

W roku 1980 włączył się w nurt przemian demokratycznych, działał w uczelnianej Solidarności w gronie 24 samodzielnych pracowników naukowych domagających się zmian na Uczelni. Podpisał list otwarty do Dziekanów wszystkich wydziałów ŚIAM. Z tego okresu pochodzi rzeźba, którą nazwał „Tytuł oczywisty” oraz kilka okolicznościowych karykatur.

Zmarł 28 października 1984 roku, pozostawiając po sobie nie tylko wielu wykształconych specjalistów, oddział przeszczepów nerek, pamięć wybitne-



Rzeźba: 1981–1983 „Tytuł oczywisty”

go chirurga i rzesze do dziś wspominających go pacjentów, ale także liczne dzieła artysty-amatora.

Uzdolniony był wszechstronnie, śpiewał, grał bez przygotowania na każdym instrumencie, który brał do ręki, tworzył scenografię i teksty (często wspólnie z żoną) przedstawień dla dzieci mieszkających na terenie Akademii w Rokitnicy, był autorem amatorskich, humorystycznych szopek dla dorosłych.

Jednak dwie największe pasje to rysunek i rzeźba. Zawsze miał przy sobie notatnik i ołówek, „na gorąco” utrwalając twarze i sylwetki spotykanych osób, wiele z nich otrzymywało od razu na pamiątkę swoje podobizny. Rysował również wiele osób znanych jedynie z ekranu telewizora.



Podczas szopki sylwestrowej z przyjacielem, Zygmuntem Winnickim

Zbiór ok. 1200 karykatur ludzi znanych i nieznanymi, zgodnie z wolą Autora, rodzina przekazała w darze Muzeum Karykatury w Warszawie. Brał udział w wielu wystawach lekarzy-artystów m.in. w Warszawie, Krakowie,

Wrocławiu, Katowicach, Turynie. Zwykle któraś z prac nie wracała z wystawy.

Obdarował także własną Uczelnię – projektem exlibrisu dla Biblioteki Głównej i łańcucha dziekańskiego dla Wydziału Farmaceutycznego, popiersiem dra Mielęckiego, dwoma albumami karykatur, wydanymi z okazji jubileuszy



Projekt exlibrisu dla Biblioteki Głównej ŚIAM

5- i 15-lecia uczelni, licznymi karykaturami zbiorowymi, z których część podobno nadal zdobi ściany sal Uczelni.

Od czasów pobytu w Kałudze rzeźbił w drzewie. Na balkonach suszyły się klocki drzewa lipowego, na urloпах najlepiej wypoczywał tworząc kolejne rzeźby albo całe cykle rzeźb: gnomy, fryzy, maski, charakterystyczne postacie, bawiące, wzruszające albo skłaniające do refleksji. Nazywał je strugadłami, wiele rozdał znajomym i rodzinie, z wieloma nie umiał się rozstać.



Najmilszy urlop Profesora Ginko

Zakończeniem wspomnienia sylwetki Tadeusza Ginki niech będą słowa żony Wandy: *Dwie wielkie rywalki: medycyna i sztuka walczyły przez całe życie o jego względy. Obie głęboko ukochał i jestem pewna, że rozdzielał pomiędzy nie to wszystko, co miał najlepszego. Pozwalały mu sprawdzać samego siebie, zużytkować własne uzdolnienia i dążyć do pełnego rozwoju.*

Artykuł stanowi zmienioną wersję rozdziału wstępnego do książki: *Tadeusz Ginko „Wspomnienia 1939–1946”, Biblioteka Wileńskich Rozmaitości, Bydgoszcz 2009.*

**Powroty II**

wracam do domu dziadków  
przycupniętego na wzgórzu  
za parawanem bujnych drzew

dotykam czołem  
rozłożystej wierzby przy furtce  
uformowanej misternie  
przez dziadka czułe dłonie  
i jego szczyryk pamiętający  
jeszcze cesarza franza josepha

z przyzwyczajenia zrywam cierpkie  
jak dziadkowa wieloletnia emigracja  
owoce białej i czarnej morwy  
przy płocie już trochę pochylonym  
i zzieleniałym z tęsknoty

potem czuję na języku gruszkę  
małgorzatkę o figowym smaku  
której zaszczepkę przywiózł mu  
przyjaciel z bałkanów  
a ona wzięła i się przyjęła  
w tym kapryśnym klimacie  
i co roku rodziła obficie  
wielkie okrągłe owoce

stara aza idzie za mną  
krok w krok  
wreszcie zmęczona przystaje  
nad sadzawką  
w zdziczałym odrobinę sadzie  
i zachłannie chłepcze wodę

siadam obok na brzegu  
i zrywam zielone szable tataraku

ich intensywny aromat aż kręci  
w nosie i przywołuje zapomniane  
zapachy z przeszłości  
oraz śpiewny troskliwy głos  
babci anieli zza światów  
która rozsypywała je  
na podłodze  
w zielone światki  
żeby przywoływały  
szczęście i dobrobyt

**Opowieści dziadka**

dziadek był poetą  
choć nie opublikował  
ani jednej linijki

ale jak on stopniował  
grozę w peszcie  
kiedy snuł opowieść  
o pierwszej światowej  
i wspominał gorące  
dyszące z pragnienia dotyku  
kształty dziewcząt w budzie  
czy oszronione nugatem bądź chałwą  
łapczywe wargi bośniaczek  
które wabiły żołnierzy  
w dojrzałe łany kukurydzy  
lub za gęste parawany krzewów

kiedy opowiadał  
czułam zimne ostrze  
serbskiej nienawiści  
w plecach jego dowódcy  
i strach kiedy oddział  
zabłądził w nieoswojonych górach  
i głód jaki doskwierał żołnierzom

nikt mnie tak nie prowadził  
po piaskach saharu  
w czasie drugiej światowej  
nawet najciekawsza powieść  
pamiętnik reportaży  
czy najgłośniejszy film

nikt nie przemykał się tak  
chyttrze jak kot dachowiec  
pod ostrzałem  
tyłu głodnych oczu  
złaknionych piersi  
i niecierpliwych pośladek  
w kobiecym oddziale

słowa dziadka sączące się  
jak krople lepkiego potu  
zatrzymane na chwilę  
to znów zdysane od  
afrykańskiego żaru  
czy sypiące w oczy  
znieca pustyński piasek  
cofały wskazówki czasu

tuż przed swoim odejściem  
szepnął matce do ucha  
śniłem tak wyraźnie  
że stacjonujemy na bałkanach  
a potem maskujemy się  
na rozpalonej do białości  
pustyni w afryce

i znów ścigały mnie  
jak wygłodniałe psy  
łakome oczy kobiet  
którym wojna  
ta największa dziwka  
uwiodła mężczyzn

foto. Tomasz Bieneniek



## Przylaszczki

*Pamięci Ani, mojej siostry stryjecznej*

kiedy powiedział  
oczy masz jak przylaszczki  
w promieniach marcowego słońca  
podała mu dłoń  
i poszła z nim  
w otwarte na oścież życie

jego słowa uznała  
za znak z zaświatów  
bo podobnymi przed laty  
oblaskawiała ją babcia

zgrali swoje kroki  
ze spokojnym rytmem oddechów  
i pochylali się z czułością  
nad swoimi dniami i nocami

aż do poranka  
w którym zabrakło jej tlenu  
i covidowa karetka pognała  
z nią do szpitala  
w którym się urodziła pięćdziesiąt  
sześć lat temu

po trzech dniach  
jej płuca to była już  
tylko galareta  
oznajmił lekarz

ten którego wybrała  
przed laty na godziny dobre i złe  
wrócił ze zgaszonymi żrenicami  
do osieroconego mieszkania  
i zapalił świeczkę  
która zapłonęła błękitno-fioletowo  
jak rozkwitające  
na wiosnę przylaszczki

12.4.2021

\*\*\*

*Pamięci Jerzego Kosmowskiego*

znikąd nie dobiegały  
dźwięki trąb ani chóry anielskie  
nie rozstąpiły się obłoki  
błyskawice nie rozerwały  
nieboskłonu

kiedy opuszczales ciało  
towarzyszyła ci tylko  
muzyka obcych  
świszczących oddechów  
na szpitalnej sali

zbudziłyśmy się  
wtedy w środku nocy  
i usiedliśmy niemal  
jednocześnie na łóżku  
jak lunatycy

miałem koszmarne sen  
odezwał się andrzej  
zapalając nocną lampkę  
śniło mi się że umarłem  
i byłem na własnym pogrzebie

rano telefon zapłakany  
głosem jego siostry oznajmił  
w nocy odszedł tato

a my pod kluczem wirusa  
nie mogliśmy nawet  
odprowadzić cię na cmentarz

kiedy przymkam powieki  
ciągle widzę jak się krzątasz  
po mieszkaniu jak opisujesz  
starannym piśmem kartografa  
produkty i układasz je w lodówce  
tłumacząc że mama dostrzeże  
już tylko kontury mebli  
więc ty teraz dowodzisz w kuchni

jak potem siadasz w fotelu  
i przeglądasz książkę o powojennej  
warszawie którą ci przynieśliśmy  
o tu mieszkałem w czasie studiów  
pokazujesz budynek na zdjęciu  
tu było moje okno

tak trudno uwierzyć  
że twój uśmiech już nigdy  
nie otworzy nam drzwi  
mieszkania na ochocie

30.1.2021

## Senne wojaże

tęsknię za podniebnymi podróżami  
za warkotem zdyszanych samolotów  
za gwarem i pośpiechem lotnisk

ale brak mi też kilkudniowych  
wypadów do kazimierza czy nałęczowa  
wędrówek labiryntami wąwozów  
i kawy parzącej usta  
w galerii mietki łazerek  
na kazimierzowskim rynku

ciastek w nałęczowskiej  
ewelinie gdzie nie tylko  
duch bolesława prusa snuje  
się nocami ale  
rysunki i obrazy znajomych  
karmię oczy

brak mi rozmów z przyjaciółmi  
którzy wpadali z gorącymi wierszami  
czy jeszcze pachnącymi farbą  
książkami  
kiedy tu przyjeżdżałam

rodzi się nowa filozofia rzeczywistości  
powiedziałyby pewnie  
marysia szyszkowska  
podpisując kolejną książkę  
w swojej ulubionej kawiarni

dziś w nocy  
sen przeniósł mnie na filipiny  
gdzie jak przed laty  
przechodziłam wysoko w górach  
wolniuteńko  
krok po kroku  
przez wiszący most  
a w pobliżu pociły się ze strachu  
gorące siarkowe źródła

14.2.2021

# Dziennik zdruzgotanego życia (2)

ANNA GURBICZ, WITOLD TURANT

W niektórych epokach historii zamiar życia w spokoju staje się programem wywrotowym.  
*Paweł Jasienica: „Rozważania o wojnie domowej”*

Wojna trwa i zapewne nieprędko się skończy. Mnożą się akty okrucieństwa na froncie i poza nim. Patriotyzm, determinacja Ukraińców i solidarność dużej części świata – to piękne, ale z drugiej strony abstrakcyjne zjawiska w konfrontacji z codziennym życiem. Nowe sankcje, dostawy nowoczesnej i skutecznej broni, humanitarne wsparcie – jak to zrównoważyć z niepokojem towarzyszącym każdemu wyjściu z domu, z niemal codziennym szokiem cenowym, z troską o najbliższych? Na to nie ma jednej recepty. Anna także tworzy swój system odporności oparty na woli przetrwania.

Anna zadaje sobie także pytanie, jak odbudować życie, bo wojna przecież kiedyś się skończy. Takie pytanie zadają sobie miliony Ukraińców i wiedzą, że odbudowa życia, to także odbudowa miast; miasta cierpią najbardziej. Jak i kiedy je

odbudować? Odpowiedź na to pytanie na razie ukryta jest w mglistej przyszłości, ale silna nuta optymizmu zawarta jest w tym, że gdy tylko ustają ostrzały i działania wojenne, zaczyna się odgruzowanie i przywracanie właściwych funkcji budynkom. Pamiętajmy, że Ukraina to nie tylko opiewany przez Mickiewicza bezkresny step Akermanu, ale także wielomilionowe miasta. Co o tym myśli Anna?

*Co do odbudowy naszych miast, to oczywiście nie mogę przytoczyć żadnych liczb ani konkretnych danych. Wiem tylko, że pierwsze lata po zakończeniu wojny będą najtrudniejsze. Jestem jednak przekonana, że damy sobie radę. To będzie nasz nowy początek, bez łez i krwi. I wierzymy, że Bóg i cały cywilizowany świat będą z nami.*

Słoneczna i upalna niedziela. Rano sms:

Anna, 26 czerwca 2022. Z Kijowa tragiczne wieści. Zmasowany atak raketowy, także na jedno z osiedli. Są zabici i ranni.

*Ukraińskie lato 2022 po rosyjskim ostrzale. Fot. Anna Gurbicz*





*W jednym ze szpitali toczy się walka o życie siedmioletniej dziewczynki, wydobytej spod gruzów mieszkalnego bloku.*

Wczesnym popołudniem Anna przesłała mi filmik z uderzenia rakiety w centrum handlowe w Krzemieńczuku. Makabra. Ogromna hala w ogniu i ruinie. Tłum ludzi robił zakupy. Dalej pisze, że natychmiast ujawniły się rosyjskie trolle oskarżające o spowodowanie tej tragedii.... Ukraińców, którzy, według nich sami ostrzeliwiają swoich żołnierzy i cywilne obiekty.

27.06. *Widziałeś kiedyś większy idiotyzm? Jak można tak ogłupić naród? Wiem, że tam wiele osób wierzy w te bzdury. No dobrze, masz rację. Każdy naród można, wystarczy trochę się postarać. A oni starają się od dawna.*

Pod wieczór sms i zdjęcie, a na nim widoczny spoza drzew pióropusz dymu.

*W złą godzinę pochwaliłam spokojny dzień. Właśnie w sąsiedztwie było wielkie bum! Spakowałam swoje rzeczy i rzeczy dzieci. Jeśli się powtórzy, zejdziemy do schronu albo pójdziemy do sąsiada do piwnicy. Nie martw się. Staram się być rozsądna i nie ulegać panice ani brawurze. Gdyby coś się działo, mam nadzieję, że zdążę dać ci znać.*

29.06. *Nie wiem, czy powinnam ci o tym pisać, ale o 10.00 rano dwie rakiety spadły na miasto. Dlaczego nie powinnam? Bo ty się zawsze denerwujesz i martwisz.*

1.07. *Coś niebywałego. Tylko jeden raz zawyły syreny w nocy i spałam tak dobrze, jak mi się dawno już nie udało. Oczywiście, mogłabym przespać jeszcze sto godzin, ale i tak nie jest źle. Jeszcze to, o czym pewnie już wiesz, że nasi odzyskali Wyspę Węży. Stąd poszło w świat słynne już zawołanie „ruskiej wojenny korabl, idi...” i tak dalej.*

3.07. *Dziś kolejna dobra wiadomość: w naszej okolicy odepchnęliśmy orków o jakieś 50 kilometrów. Jeśli chodzi o zagrożenie atakiem raketowym niewiele to zmienia, ale mimo wszystko mam nadzieję, że będzie spokojniej. No i nie musimy się bać, że w każdej chwili mogą wejść do miasta. W komunikatach mówi się o drobnym sukcesie, ale takie drobne sukcesy to rezultat wielkiego wysiłku naszych żołnierzy, a poza tym podnoszą nasze morale, a to wcale nie jest drobiazgi.*

7.07. *Kolejny spokojny dzień. Aż trudno uwierzyć. Gdyby nie problemy z niemal wszystkim, co się wiąże z codziennym życiem, byłoby całkiem niezłe.*

Nasza nocna rozmowa. Z przerwami, chwilami dość dramatycznymi.

12.07. *Chciałam ci dziś opowiedzieć o rozmowach telefonicznych żołnierzy agresora, rozmowach przechwyconych przez nasz wywiad. Jakiś żołnierz chwali się matce, że zabija naszych bez litości. A co na to matka? „Zabijaj ich wszystkich, synku. Przecież to nie ludzie”. Nie będą tego komentować.*

*O mój Boże! Syreny. Alarm. Oczywiście, pójdę do schronu, ale na razie nic się nie dzieje. Myślę, że jeszcze chwilę możemy porozmawiać. Ostatnio najczęściej ostrzeliwiają nas nocą. To wzmacnia efekt psychologiczny. Nocą czujemy się najmniej pewnie. Wyrwani ze snu, pozbawieni....*

Nasza rozmowa urywa się. Zapewne Anna udała się do schronu. Po kwadransie jest jednak ponownie „on-line”.

*Nie, nie byliśmy w schronie. Zastosowaliśmy zasadę „podwójnej ściany”. Najgorzej na te nocne alarmy i ostrzały re-*

*aguja dzieci. Tym mniejszym można opowiadać jakieś bajki, ale te starsze już bardzo dobrze rozumieją, co się dzieje. Bardziej się boją, to oczywiste. Ale i te małe już nie bardzo dają się nabierać na opowieści o tupiących zwierzakach czy wielkoludach. Koszmarne doświadczenie dzieciństwa. Czym sobie na to zasłużyły?*

14.07. *Pracuję dziś w nocy i chciałam przespać cały dzień. Jednak na wiadomość o tym, co zdarzyło się w Winnicy, nie mogłam zmrzyć oka. Prawdziwy horror.*

Na centrum tego niemal czterystutysięcznego miasta spadły w godzinach południowego szczytu cztery rakiety. Zginęło kilkudziesięciu cywilów, w tym dziecko; wiele osób zostało rannych. Rakiety uderzyły wyłącznie w cele cywilne.

*Zawsze się uśmiecham, kiedy piszę do ciebie. Świadomość twojej obecności, nawet gdzieś tam, daleko, dobrze na mnie działa. Ale dziś, wybacz, nie mogę zdobyć się na uśmiech. To, co wydarzyło się w Winnicy, a także Mikołajowie... no, nie mogę.*

Kilkanaście dni przerwy. Jadę na od dawna zaplanowane wakacje, ale nie mam całkiem czystego sumienia. Wojna nie daje urlopu. Anna pisze.

16.07. *Cieszę się na myśl, że będziesz oglądał tyle pięknych miejsc. My tu jakoś sobie poradzimy. Ale..., jakby to powiedzieć?... No cóż, trochę ci zazdroszczę. Może jakieś zdjęcia? Nie, nie będzie mi przykro. Przeciwnie. Chcę widzieć, jak wygląda normalny, cywilizowany świat.*

Posyłam zatem kilka zdjęć z różnych etapów mojej podróży. Annie podoba się Praga, panorama miast i miasteczek, pełne kwiatów parkowe założenia, i wreszcie tablica poświęcona Giacomo Casanovie w miasteczku Duchcov.

22.07. *No popatrz, a ja byłam przekonana, że on całe życie spędził we Włoszech. Zawsze sądziłam, że był tylko strasznym kobieciarzem i uwodzicielem, a ty pokazujesz mi go, jako humanistę i światowca. Muszę przeczytać jego pamiętniki. Dobrze choć na chwilę oderwać się od dzisiejszej rzeczywistości, alarmów, braku wszystkiego i braku pieniędzy na wszystko. Świat jest taki piękny na twoich zdjęciach.*

Zdjęć ze Slavkova-Austerlitz nie wysyłam.

24.07. *Dobrze wiedzieć, że jesteś już w domu. Spokojnie, nic złego się nie wydarzyło. Jesteśmy wszyscy cali i zdrowi, ale wesoło nie jest.*

26.07. *Dziś cały dzień alarmy. Jest też komunikat o zagrożeniu ostrzałem artyleryjskim. Nie, na razie nie ma potrzeby schodzenia do schronu. Ostrzeliwiają głównie Nikopol – to 100 kilometrów od nas. Bardzo często jest tak, że najpierw ogłaszają alarm, a zaraz potem go odwołują. Prawdę mówiąc, sama już nie wiem, czy cieszyć się, że odwołali, czy złościć, że wyciągają z łóżka kilka razy w ciągu nocy. Trudno żyć w takiej huśtawce. Ostatnio takich alarmów bywa nawet dwadzieścia w ciągu dnia. Wyobrażasz sobie? Bardzo często strzelają byle gdzie, po prostu żeby nas złamać.*

Dziś nie ma połączenia internetowego i sms-y nie dochodzą. Wielki niepokój.

28.07. *Nic się nie dzieje. Względny spokój. Wiem, że śledzisz newsy, więc mniej więcej wiesz co i gdzie się dzieje.*

Z przyjemnością wysłuchałam piosenki Stasiuka i Haydamaków, do której link mi wysłałeś. Mickiewicz po ukraińsku

bardzo dobrze brzmi. O „Marii” Malczewskiego nie słyszałam, ale wynika z tego, że Ukrainki od dawna miały „branie” u Polaków. No weź choćby „Ogniem i mieczem”; Helena poślubiła Skrzetuskiego, a kozak Bohun został z niczym. Stupka (Chmielnicki) to u nas wielka postać, Domogorow pije, od zawsze pił, i biega za kobietami. Żebrowski ładny, ale ciekawe, jak teraz wygląda.

Jakoś udało nam się na chwilę oderwać od wojennego nastroju. Dzięki ci, panie S.

30.07. *Dziś cała Ukraina płacze. Oplakujemy bestialsko zamordowanych w rosyjskiej niewoli żołnierzy „Azowa”. Najmłodszy miał dwadzieścia lat. I jeszcze ten skandaliczny wpis rosyjskiej ambasady – że nie byli żołnierzami, że należało ich upokorzyć, powiesić. To ma być cywilizowany naród? A my ich jeńców traktujemy zgodnie ze wszystkimi konwencjami. Gdzie tu sprawiedliwość? Masz rację, ale jestem zrozpaczona i wściekła. Nie możemy robić tego, co oni. Bylibyśmy wtedy tacy sami. Świat by się od nas odwrócił, ale nawet nie o to chodzi. Musielibyśmy żyć, nie mogąc spojrzeć nikomu w oczy. Czy oni mogą? Nie wiem i zgadzam się, że nie powinno mnie to obchodzić.*

Wymuszona przerwa w naszej konwersacji. Annie ukradzono telefon.

4.08. (e-mail). *Coś okropnego, bez telefonu. Jutro porozmawiam z operatorem mojej sieci, żeby zachował mi dotychczasowy numer. Przywykłam do niego i nie chcę zmieniać. Jeśli to się uda, to tylko kupić telefon. Drobiazg? Nie bardzo. Komputer, e-mail – tak, ale to tylko w domu. Jeśli jest internet. Telefon działa wszędzie. Tutaj jest niezwykle użyteczny.*

8.08. *Dziś w miarę spokojnie, ale ostrzeliwany jest Nikopol. Niepokoi nas wszystkich to, że krążą pogłoski o planowanym ataku na Dnipro. Oby nie okazało się to prawdą. Cieszy mnie, że wierzysz w wartość bojową i determinację naszych chłopców, ale wiesz... Wojna, to wojna. Różnie może być. Nie mam jeszcze planu C ani nawet A. Wiem, wiem. W przypadku planu P mogę liczyć na twoją pomoc i to dodaje mi otuchy, ale będę działać w zależności od rozwoju wydarzeń tak, abyśmy byli bezpieczni.*

12.08. *Mam nowy telefon. Oczywiście używany. Nawet nie pyta ile kosztował. W naszej sytuacji to nie jest zabawka, gadżet. To urządzenie jest po prostu niezbędne.*

Bardzo niepokojąca sytuacja w elektrowni atomowej w Enerhodarze w pobliżu Zaporozża. Pytam Annę, czy czuje się bardzo zagrożona.

14.08. *Jesteśmy przerażeni. To bardzo blisko nas. Ostrzeliwiają tę elektrownię, ponieważ zrozumieli, że w uczciwej walce nigdy nas nie pokonają. Są na terenie tej elektrowni i ostrzeliwiają jej urządzenia. To rodzaj szantażu w ich gównianym stylu. Mają nadzieję, że Ukraina zaakceptuje ich warunki rozmów.*

Piszę, że rano czytałem wystąpienie ambasadora Rosji przy ONZ, który zrzuca winę za ostrzał na Ukrainę i Europę, jako że Ukraina, mówiąc w skrócie, nie chce płacić za prąd z zagarniętej przez Rosję elektrowni.

No wiesz, to tak jakby ktoś ci ukradł zegarek i kazał ci płacić za podanie godziny, a w razie odmowy spuścić ci łomot. To może byłoby śmieszne, gdyby nie było tak straszne i groźne. 15.08.: *Dzień dobry. To znaczy oby dla ciebie był dobry, bo tu raczej źle wieści. Od samego rana częste alarmy lotnicze. Jasne, że pójdę do schronu, jeśli będzie trzeba. Ale ty się tak*

*bardzo tym nie przejmuj. Jestem twarda ukraińska baba, a jak ty się roztkliwiasz nade mną, mięknę. Tak nie można.*

No dobrze, ale co na to poradzę, że niepokoję się?

*Pozdrowienia z okazji podwójnego święta. To, co zrobiliście w 1920 roku było wspaniałe. My też trochę przyłożyliśmy się wtedy.*

Kilkudniowa przerwa związana z moim wyjazdem do Niemiec. Piszę do Anny o wyrazach poparcia dla Ukrainy w tamtejszych mediach, a przede wszystkim w postaciach zwykłych ludzi, którzy obawiają się nadchodzącej zimy i skutków tej wojny, a jednocześnie doceniają wysiłek jej kraju, uczestnicząc we wszelkiego rodzaju akcjach pomocowych. Na wielu budynkach publicznych powiewają ukraińskie flagi.

19.08. *Głęboki ukłon wdzięczności dla tych ludzi. W chwili, kiedy piszę do ciebie, okropny huk. Nigdy się do tego nie przyzwyczaję. Ręce mi drżą. No cóż, trzeba to wytrzymać.*

20.08. *Cholera jasna! Dopiero 11 rano, a już mieliśmy osiem alarmów. Dzięki Bogu, obrona powietrzna działa sprawnie. Jesteśmy przerażeni tym, co może nas czekać 24 sierpnia. To nasze Święto Niepodległości i obawiamy się, że te gnojki przysła nam jakieś specjalne „pozdrowienia”.*

22.08. *Mam dziś wolny dzień i pojechałam do rodziców, żeby zawieźć im trochę żywności. Nie chcę, żeby przez kilka dni wychodzili z domu. Media ostrzegają przed niepotrzebnym ryzykiem.*

Gwałtowna burza i zanik połączenia internetowego. Wysłałam kilka zdjęć z mojej podróży, ale widzę, że zawisły gdzieś pomiędzy moim komputerem a Dnipro.

23.08. *Dziś Narodowy Dzień Flagi. Rano w okolicy już były cztery eksplozje. Czuję, że tak uczczą nasze święto. A to dopiero początek, bo Dzień Niepodległości jutro. Powinam wieczorem pójść do pracy, ale nie wiem, czy pójdę, jeśli nadal będzie tak głośno. Dam ci jeszcze znać, żebyś się nie denerwował.*

Wiadomość otrzymałem późnym wieczorem,

23/24.08. *Jestem w pracy. Wygląda na to, że będzie spokojnie. Dobrej nocy.*

Krótko przed północą odzywa się sygnał sms.

*Niech to cholera. Dwa wybuchy w pobliżu. A teraz cała seria. W Zaporozżu podobno prawdziwe piekło. No to zaczęli nam „gratulować”. To nasze święto działa na nich jak płachta na byka. Nie mogą sobie darować, że zgodzili się przyznać nam niezawisłość. Wybuchy, całe serie, coraz bliżej. Wydaje się, że ostrzeliwiają obrzeża nasze i kilku sąsiednich miast. Wiesz co? Rozłączę się na jakiś czas i poszukam jednak schronienia. Wybuchy są coraz bliższe.*

*Teraz siedzimy z koleżankami na korytarzu. Pamiętasz – zasada dwóch ścian? Tak jest trochę bezpieczniej. A oni nie przestają nawet na chwilę. To trwa już chyba ponad godzinę. Całe miasto na nogach. Po prostu panika. A my tutaj modlimy się. Cóż innego nam pozostało?*

Telefon milknie. Po dłuższym czasie kolejny sms.

*O mój Boże. Eksplozje coraz bliższe. Już dawno tak się nie bałam. Boję się, cała się trzęsę, a potem mi przechodzi i je-*

stem wściekła. Wiem, że obawiasz się, bym nie zrobiła jakiegoś głupstwa, ale bądź spokojny: stosuję twoją zasadę – lepiej być wściekłym i żywym, niż... no, wiadomo, co. Ale teraz drżą mi ręce i kolana. Tak trudno nad tym zapanować.

Oho, znowu zaczynają.

Tym razem telefon Anny milknie na dobre. Na szczęście rano nowy sms. Później, w ciągu dnia, filmik z wystąpieniem naszego prezydenta, i krótki komentarz.

Kochamy go za te słowa wsparcia.

I jeszcze sms po południu.

Sukinsyny nie odpuszczają. „Gratulacje” całymi wiązaniami, mniej więcej 50 kilometrów od nas. Muszę się położyć i spróbować odespać tę bezsenność. Mam nadzieję, że będzie już spokojniej. Jutro muszę być przytomna w pracy.

25.08. Nie jestem w stanie przesłać ci bilansu wczorajszego dnia. Znajdziesz może w mediach. Mogę tylko wysłać ci te zdjęcia i to, że w jednej z wiosek naszego obwodu zginęły 22 osoby. Ruiny domów, zniszczony pociąg osobowy i spalone cywilne samochody niech mówią same za siebie.

Mam nadzieję, że kiedyś nadejdzie dzień, gdy nowa Norimberga będzie możliwa i na ławie oskarżonych zasiądą wszyscy odpowiedzialni za ten horror.

Czytam w mediach o różnych prognozach dotyczących zakończenia tej wojny, ale jednocześnie zadaję sobie pytanie, co one wszystkie znaczą dla ludzi takich jak Anna w porównaniu z rzeczywistą sytuacją.

26.08. Pamiętasz może, że wspominałam ci o przyjacielu naszej rodziny, który jest na froncie w okolicach Charkowa? Tak, tym od polskich słodczy, które mu posłaliśmy. No więc posłano ich w rejon Donbasu, do Bachmutu. Wczoraj jego oddział znalazł się pod ostrzałem. Nie, na szczęście nie zginął, ale został poważnie ranny w nogę, poparzony, ma uszkodzony bębenek w jednym uchu i coś z okiem. Jutro mają go przewieźć do szpitala w Dnipro, gdzie będzie operowany. Jest nadzieja, że oko da się uratować. Mój Boże, jak ja się o niego martwię. Był dla mnie jak brat. Zawsze mogłam liczyć na jego pomoc w trudnych chwilach. Najważniejsze, że przeżył. Współczuję jednak jego mamie. To musi być dla niej straszne przeżycie. Mam nadzieję, że uda mi się go odwiedzić w szpi-

talu. Ja także mam zaufanie do naszych lekarzy, ale i tak jestem tym podłamana.

Jest jeszcze inny poziom tej wojny. Od pewnego czasu otrzymuję na społecznościowym portalu, na moje konto, korespondencję dziwnej treści. Na przykład ktoś dla mnie anonimowo zapytuje mnie, czy przespałam się już z jakimś rosyjskim żołnierzem, by wyciągnąć od niego tajemnice wojskowe, ktoś inny nazywa mnie wprost banderowską kurwą. Jak się dowiedziałam od znajomych, nie tylko ja jestem przedmiotem takiej kurtuazji. Najzabawniejsze są jednak listy do Bandery, pisane na naszych portalach, ewidentnie przez Rosjan, nie mających pojęcia, że Bandera dawno nie żyje. Widział świat takich cymbałów? Takich niedouków?

Wieczorem Anna w kuchni. Rozmawiamy sobie przyjemnie o nazwach potraw, żartujemy. Cieszę się, że jest dla niej jakaś alternatywa dla wojennego smutku.

28.08. Naszego przyjaciela, o którym ci wspominałam, wypuścili na weekend ze szpitala. Wczoraj był u swojej mamy, a dziś wieczorem będzie u nas. Chyba się z tej okazji upiję. Nie musisz się niepokoić; nie wypiję dużo. Jestem tak wyczerpana, że chyba jeden kieliszek mi wystarczy. Jeśli zauważysz wieczorem, że piszę bzdury, to będzie właśnie to. Oczywiście, opowiem ci o naszym spotkaniu.

Wieczorem sms.

Nie jestem całkiem trzeźwa, ale wszystko pod kontrolą. Ciężko mi opowiadać o spotkaniu z Aleksiejem. Wydaje mi się, że jego mózg nie funkcjonuje, jak należy. To skutek wielkiego stresu, jaki przeżył. Na pewno wciąż jest pod wpływem tych przeżyć. Ma też takie nagłe napady agresji. Sądzę, że masz rację; przez długi czas jego umysł nastawiony był na agresywne zachowania. Przecież to wojna, ludzie walczą o swoje życie. Poza tym widział takie rzeczy, których ani ty, ani ja nie chcielibyśmy za żadne skarby oglądać. Wyparcie takiego nastawienia także wymaga czasu, oby jak najkrótszego. To był naprawdę trudny wieczór dla mnie. Dla niego pewnie także, ale jestem taka szczęśliwa, że wrócił.

29.08. (rano). Alkohol to zło. Miłego dnia.

Jasne, że jest zły. Zwłaszcza na drugi dzień. Radzę Annie, żeby wypila małą szklanekę piwa. Mam nadzieję, że może sobie zrobić dzisiaj wolne. ■



Ukraińskie lato 2022 po rosyjskim ostrzale. Fot. Anna Gurbicz

# In memoriam

Jacek Kolbuszewski 10 maja 1938 – 10 września 2022

KRYSTYNA HESKA-KWAŚNIEWICZ

Zaczął się bardzo nietypowo, dwa lub trzy tygodnie przed terminem kolokwium habilitacyjnego w słuchawce telefonu odezwał się męski głos: „Jacek Kolbuszewski – czy rozmawiam z panią doktor?” Następnie padło pytanie „Czy kojarzy Pani z czymś Pawła Łyska” – oszołomiona najpierw zaniemówiłam, potem kilka słów wydukałam. Na szczęście „coś kojarzyłam” – a to coś dotyczyło oczywiście gór, Beskidu Śląskiego i Istebnej. Potem była długa, pewnie godzinna rozmowa, a w miarę jej trwania atmosfera zaczęła się coraz bardziej ocieplać.

„Góry nie dzielą, lecz łączą” – napisała Zofia Kossak i tak było tym razem, połączyły na zawsze. Myślę o profesorze Jacku Kolbuszewskim z ogromnym smutkiem i wielką wdzięcznością. Pomógł przełamać opory psychiczne, wprowadził w świat „Wierchów” i do Wrocławia, zachęcił do recenzowania doktoratów i habilitacji, na każde zaproszenie przyjeżdżał do Katowic, pisząc świetne recenzje „moich” doktoratów i hojnie wspierał swą rozległą, gruntowną wiedzą.

Autor *Gór takich kamiennych* był uczynnym wszechstronnym, znawcą literatury polskiej, ale też literatur zachodniosłowiańskich i literatury łotewskiej, w orbicie jego zainteresowań znalazł się Śląsk, i Kresy, tanatologia i przyroda. Książka o *Wierszach z cmentarza* stała się wzorem pisania o kulturze spraw ostatecznych. Jednak najważniejsze były góry. Młodzieńcza przygoda taternicka przerodziła się w wielką pasję badawczą, temat życia. Wiesław A. Wójcik, redaktor naczelny „Wierchów” napisał o Uczonym: „odbył szereg pięknych wycieczek tatrzańskich, przeszedł grań Długiego Giewontu, a po otwarciu pierwszej po wojnie konwencji turystycznej z Czechosłowacją zrobił Grań Baszt oraz wszedł na Lodowy”. Taka była droga do intelektualnej przygody z górami, w której realizował się naukowo i jako człowiek ze swoimi pasjami, miłościami, nawet słabościami. Wiedzę Uczonego jednak zawsze wspierało doświadczenie osobiste człowieka gór, któremu nieobce jest zmęczenie, nawet trud taternika i turysty wysokogórskiego. Nie ogarniemy więc całego dzieła profesora Kolbuszewskiego, pewnie nie uda się nam ustrzec o banału w pisaniu o Niezwykłym Człowieku, więc zostaniemy „w górach”.

Wrocławski Uczony zajmował się głównie literaturą polską, słowacką i czeską, ale

dzięki bogatym kontekstom kulturowym i historycznym tak naprawdę pisał o całej literaturze europejskiej, a czasem po prostu – o literaturze. Znakomita erudycyjność Jacka Kolbuszewskiego sprawiała, że żadne zjawisko, jak i też żaden utwór, nie istniał sam dla siebie, ale jeden tytuł natychmiast ewokował następne tytuły i kolejne nazwiska, i nieskończoną ilość skojarzeń, a całość odpowiadała na pytanie, jak istnieje przestrzeń górską w kulturze i jak ją przeżywamy w różnych odmiannach czasu; przede wszystkim w XIX wieku, w epoce romantyzmu, wszakże z wieloma „wycieczkami” w wiek XX i nawet we współczesność.

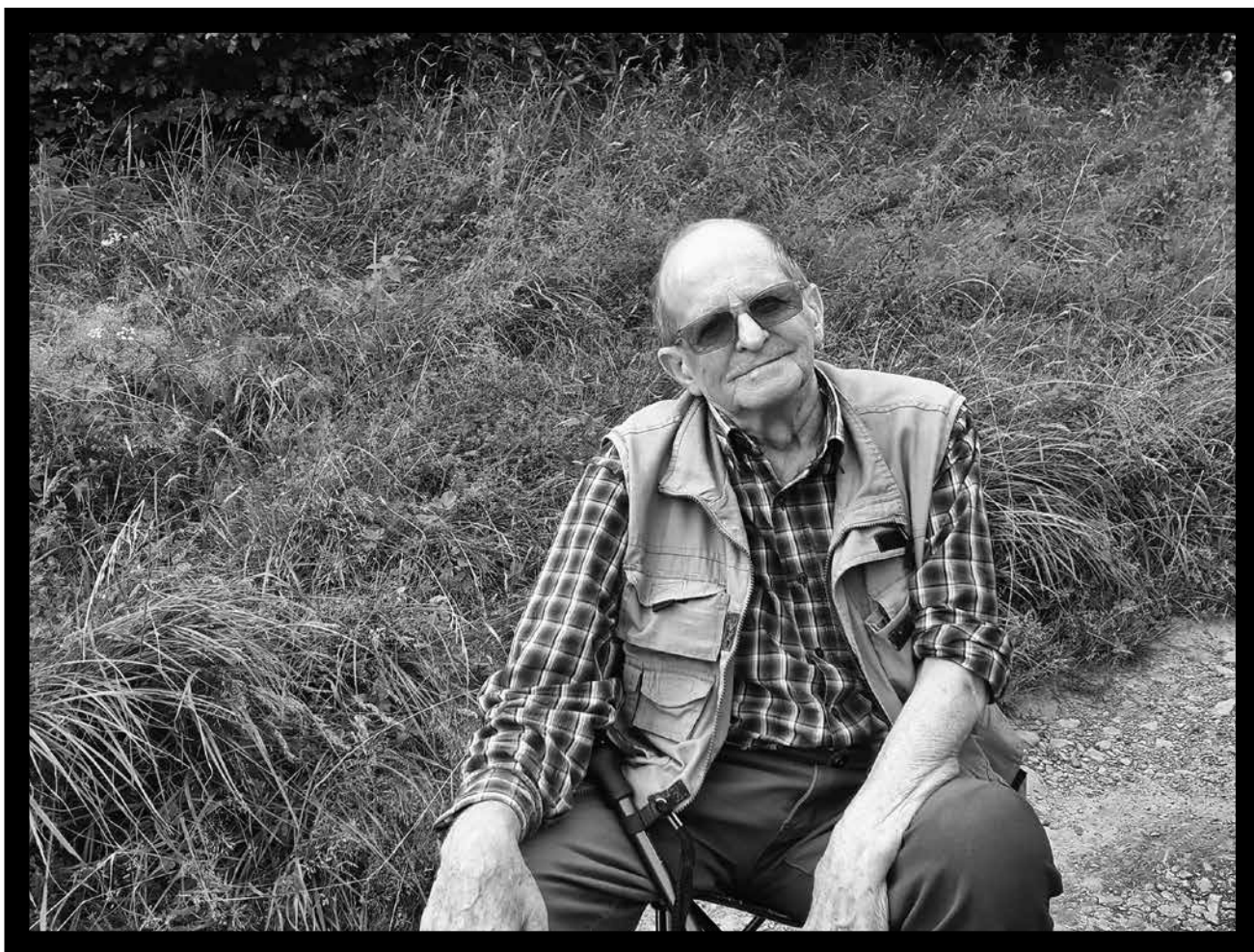
Pióro swe poświęcił profesor Kolbuszewski różnym pasmom górskim: Alpom, Karpatom, Sudetom, pojawiły się Gorce i Pieńiny, ale najwięcej napisał o Tatrach. Jego dwutomowe opracowanie *Tatry w literaturze polskiej 1805–1939* jest pozycją wyjściową dla zainteresowanych tatrzańskimi krajobrazami, inna *Góry – przestrzenie i krajobrazy. Studia z historii literatury i kultury* – pokazuje wielorakie modele odczytywania przestrzeni. Wszystkim pracom towarzyszyła refleksja nad postawą człowieka wobec górskiego świata. Interesowali go ludzie wybitni, obecni w dziejach literatury i zawsze znający góry i wielorako z nimi związani. Opisywał głęboki, istotny związek człowieka z przestrzenią górską, przeważnie tatrzańską, różnie przeżywaną i zapamiętywaną. Jego analizowanie przestrzeni górskiej jako tekstu kultury miało charakter wręcz wzorcowy, tworzył własne lekcje czytania, np. w subtelnej, niepokojącej analizie *Melodii mgieł nocnych (Nad Czarnym Stawem Gąsienicowym)* Kazimierza Przerwy Tetmajera, a czasem wyzwał w czytelniku radość i pobudzał wyobraźnię pisząc np. o Leninie w Tatrach. Oprócz krajobrazu i wpisanego weń człowieka, przestrzeni, folkloru, ważna była też przyroda oglądana zawsze z jakąś czułością i troską.

Przestrzeń i krajobraz to szczególne słowa klucze w całym dorobku naukowym prof. Jacka Kolbuszewskiego i jego widzenia świata. Świata, zarówno zewnętrznego, jak i tego wewnętrznego, w którym sposób obrazowania, a następnie odbioru, pejzażu literackiego i kulturowego stanowi wyznacznik ludzkiego przeżywania otoczenia. Od początku swego naukowego pisarstwa Wrocławski Uczony pokazywał indywidualne, ale też zbiorowe wieloaspektowe zau-

rocznie górami, głównie w perspektywie historycznej ale z wieloma odwołaniami do współczesności zwłaszcza w zakresie ekologii. Opisując poetycką wrażliwość na krajobrazy w różnych epokach, swoistą aksjologię wyznaczaną przez świat gór, ich odrębną estetykę zaznaczał zawsze wspólnotę tych, co chodzą po górach (nie dla mody, lecz z wewnętrznej potrzeby) i tych, którzy o nich różnorako piszą; jedni wiersze, inni przewodniki. Dla nich wszystkich góry były „okolicą człowieka” – jak to pięknie określiła Hanna Buczyńska-Garewicz, w której przeżywa on zachwyty, ma poczucie zadowolenia i czuje się u siebie, zejście w dolinę zawsze prowadzi do innego świata i spraw przyziemnych. To była też okolica najbliższa dla Jacka Kolbuszewskiego, jego topofilia, o których Gaston Bachelard pisał we *Wstępie do poetyki przestrzeni*, własne to *obszary szczęścia*, miejsca bliskie, bezpieczne, oswojone, przyjazne, własne. Ożywiały się w nich, nawet najbardziej zmęczony, promieniował jakąś wielką wewnętrzną energią.

Rzeczywistość górską opisywana i rozpoznawana była na wiele sposobów: od geologicznych, poprzez fauniczne aż po filozoficzno-teologiczne, całe wielkie piarstwo naukowe Jacka Kolbuszewskiego, w którym stawiał własne diagnozy literaturoznawcze i kulturoznawcze (nawet antropologiczne) w najszerszym słów tych znaczeniu tworząc własne humanistyczne „góroznawstwo”. Jacek Kolbuszewski pokazywał przemiany w sposobie pojmowania i widzenia gór, kreślił kształtujące się przez stulecia odmiany zauroczenia krajobrazem górskim, najbliższa była mu jednak perspektywa literaturo – i kulturoznawcza, bo właśnie ona jest najcenniejsza i wyznacza humanistyczny kierunek refleksji. Wszak w najpiękniejszej przestrzeni ludzkiego świata – gór, najważniejszy jest człowiek, jego wartość, uczucia i jego estetyka, wrażliwość i percepcja. To one, budując naszą świadomość zarażają decydują o trwaniu górskiego świata lub jego coraz większej degradacji.

Wspominany już redaktor „Wierchów”, Wiesław A. Wójcik napisał, że profesor Jacek Kolbuszewski jest „jedynym w dziejach polskiej humanistyki uczonym, który w tak ogromnym zakresie wzbogacił wiedzę o miejscu gór w literaturze oraz ich roli w kulturze, czyniąc to na najwyższym naukowym poziomie” i to prawda, ale dodaj-



my jeszcze, że stworzył własną „górolologiczną” szkołę badawczą we Wrocławiu i wypromował 32. doktorantów, dzisiaj już w dużej mierze profesorów. Ta szkoła rozwija się dynamicznie kontynuując dzieło Mistrza, a wymiernym efektem działań tej szkoły jest rocznik „Góry Literatura Kultura”, założony przez Jacka Kolbuszewskiego w roku 1996, a redagowany obecnie przez prof. Ewę Grzędę – uczennicę Profesora. Rocznik znakomity, wielojęzyczny, dobrze punktowany i na swój sposób elitarny. Zwykle „ozdabiały” go rozprawy Założyciela.

W roku 2017 Jacek Kolbuszewski został laureatem nagrody miasta Zakopanego, a uroczystości towarzyszyła edycja monumentalnego dzieła *Literatura i Tatry* (752 strony!) wydanego przez Tatrzański Park Narodowy, będąca celnym wyborem artykułów i rozpraw „tatrzańskich” z bogatego dorobku Uczzonego. Było to wielkie wydarzenie, którym towarzyszył „zjazd” uczniów i przyjaciół Profesora. Jedno z wielu spotkań, na które zaprosił „górolubców”, bo lubił ludzi, uroczystości i zjazdy. Trzeba więc napisać o naszych spotkaniach. Były najczęściej we Wrocławiu i w Katowicach z okazji doktoratów i habilitacji. Ale były też okazje specjalne. I tak 8 maja 2012 roku górską ekipa wrocławską zjawiała się na moim jubileuszu naukowym przywołując oryginalną i dowcipną laurkę. Najbardziej radosne miało miejsce, gdy świętowaliśmy w roku 2015 we Wrocławiu doktorat Wie-

sława A. Wójcika (z wyróżnieniem), autora monumentalnego dzieła o Sabale (Janie Krzeptowskim), a prof. Franciszek Ziejka (jeden z recenzentów) sywał jak z rękawa anegdotami krakowskimi i górskimi. Jubileusz tegoż Redaktora w Krakowie w siedzibie „Wierchów” miał dwa punkty kulminacyjne: Hucuła z trombitą, który całemu Krakowowi (a Kraków to więcej niż świat) oznajmił ważne wydarzenie. I wystąpienie profesora Jacka Kolbuszewskiego głoszącego laudację, która pięknie i ze szlachetnym umiarem, sławiła wszystkie zasługi Jubilata. Nie wiadomo więc dla kogo potem były huczne brawa, dla Jubilata czy dla Laudatora.

Jacek był recenzentem podczas odnowienia mojego doktoratu na uroczystej inauguracji roku akademickiego 2016/2017 na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu Śląskiego w Sosnowcu, a potem na obiedzie w licznym gronie katowickich „wielbicielek” cieszył się ze kolejnego spotkania nie tylko naukowego. Najpiękniejszy ze wszystkich był symposium w „Kossakowskich” Górkach Wielkich, w bardzo ciepłym sierpniu 2017 roku, gdy w sadzie po jabłonią obradowaliśmy nad sprawami tego świata: profesor Ewa Grzęda, Ewa Kolbuszewska z mężem Jackiem i pisząca te słowa z mężem Wiesławem. Dobrotliwa Czantoria „w opalowej mgiełce” pochylała się nad nami z odali, wsłuchując się ze zdumieniem w nie całkiem naukowe pogwarki. Było nadzwyczaj

radośnie i letnio, trochę poważnie, czasem wręcz odwrotnie, gdy w pewnym momencie spadło jabłko wprost na głowę Uczzonego, nie czyniąc Mu wszakże żadnej szkody. Dwie Ewy i jabłoni (prawie rajska) – nie mogło się inaczej skończyć – skwitował pogodnie Profesor.

Jacek od dawna bardzo chorował i cierpiał, nie mógł więc przyjechać na uroczystość wręczenia piszącej te słowa Nagrody Arcybiskupa katowickiego „Lux ex Silesia” w październiku 2017 roku. Piękną i mądrą laudację napisał, ale odczytała ją profesor Małgorzata Łoboz, uczennica Profesora, której doktorat o „Głosie św. Franciszka” recenzowałam przed laty. A potem były już maile, nieskończone ilości maili o wszystkim (np. piękne życzenia na „Dzień Polskiej Harcerki”), najrzadziej o cierpieniu i „niemożności”. Jednak do końca była u niego radość dawania, dzielenia się wiedzą, liczne wskazówki, ciepło przyjaźni. Jeszcze 7. kwietnia bieżącego roku napisał „Krysiu Kochana, za chwilę wychodzę na dializę, więc krótko: oczywiście, bardzo chętnie, recenzuję, a świętecznie jeszcze się odezwę. Serdecznie”. Zasmuciła go wiadomość o śmierci Moniki Bujnickiej, potem cieszył się z nagrody dr Anny Pięgoń, oglądając transmisję z Festiwalu Górskim w Łądku Zdroju, ale następnego dnia już nie było. Profesor Jacek Kolbuszewski zmarł w sobotę 10 września rano w pełni sił twórczych.

# Wiersze dla uchodźców Вірші для біженців

ADAM A. ZYCH, АДАМ А. ЗИХ,

Переклад з польської Анатолія М. Подолинного

\* \* \*

piękno cierpienia  
milionów ludzi  
wpisane w twarze  
ruskich ikon

1980

\* \* \*

краса терпіння  
мільйонів людей  
відбита на ликах  
руських ікон

1980

\* \* \*

*Żonie*

piszesz, że tęsknisz  
a czym jest tęsknota?  
to tylko przestrzeń i czas  
pomiedzy nami  
to tylko wspomnienie  
chwil dobrych i czułych  
to tylko odbicie twarzy naszej miłości  
w nurcie rzeki  
w wyblyszczonym po deszczu asfalcie  
to tylko krzyk  
pustą nocą...

1980

\* \* \*

*Дружині*

пишеш що сумуєш  
а що таке сум?  
то лише простір і час  
поміж нами  
то лише спогади  
про добрі і ніжні хвилини  
то лише відбиток образу нашого кохання  
в річковому нурті  
на блискучім після дощу асфальті  
то лише крик  
порожньої ночі...

1980

\* \* \*

wystarczy zwiedzić  
to miejsce  
w sercu Europy  
by zwątpić w Boga  
i w człowieka  
by kościom nawet  
nie uwierzyć  
i włosom ludzkim  
w szklanej ciszy

wystarczy tylko  
to muzeum zwiedzić  
by w środku gorycz pozostała  
(mocniejsza niż piołunu smak)  
na całe życie  
i na śmierć...

*Oświęcim, 1987*

\* \* \*

досить побачити  
те місце  
в серці Європи  
щоб засумніватися в Богові  
і в людині  
щоб кісткам навіть  
не повірити  
і людському волоссю  
у скляній тиші

досить лише  
той музей побачити  
щоб усередині гіркота осіла  
(міцніша від полинової)  
на ціле життя  
и на смерть...

*Освенцим, 1987*

\* \* \*

i nikt nie krzyczy: *halt!*  
nie strzela nikt  
a w uszach jeszcze brzmi  
niezrozumiała cisza  
i nikt nie bije  
na oślep między oczy  
pejczem przez plecy pochylone  
i nikt nie płacze  
nieba nie rozdziera krzyk  
choć dojeżdżamy do stacji  
o dźwięcznej nazwie  
Oświęcim...

1987

\* \* \*

i ніхто не гукає: *гальт!*  
не стріляє ніхто  
а у вухах ще бринить  
незрозуміла тиша  
і ніхто не б'є  
наосліп межі очі  
пугою по зігнутій спйсні  
і ніхто не плаче  
небо не роздирає крик  
хоча доїжджаємо до станції  
із дзвінкою назвою  
Освенцім...

1987

## Rozmowa z Ojcem

*Ojciec:* Och, synu, jaka szkoda, że nie zginąłem tam, na wrześniowych polach, gdzie było tyle śmierci, gdzie tak wielu moich przyjaciół poległo. Teraz nie byłoby męczarni, a tylko jeden wielki spokój.

*Syn:* Ojczy, jeśli się tak zdarzyło, na świecie nie byłoby mnie i córki Twojej, rodzonej mojej siostry. I wnuków Twoich, Ojczy, nie byłoby na świecie.

*Ojciec:* Kto wie, synu, co lepsze...

Winnica, 1987

## Розмова з Батьком

*Батько:* Ох, сину, як жаль, що я не загинув там на вересневих полях, де було стільки смертей, де полягло так багато моїх друзів. Тепер не було б страждань, а лише один великий спокій.

*Син:* Батьку, якби так сталося, на світі не було б мене і дочки Твоєї, рідної моєї сестри. І внків Твоїх, Батьку, не було б на світі.

*Батько:* Хто зна, сину, що краще...

Вінниця, 1987

## Czarodziejka

niespodziewanie  
chłodną nocą  
weszłaś w moje życie  
i nic się nie stało  
nie rozpadła się ziemia  
u moich stop  
tylko wargi drżą jeszcze  
jak ptaki  
przed odlotem

1980

## Чаклунка

Нежданно  
в ту холодну ніч  
вступила ти в моє життя.  
Ніщо не сталося.  
Не розсипалась земля  
у ніг моїх.  
І тільки губи ще  
тремтять,  
як перед злетом пташка.

1980

\* \* \*

*Żonie*

coraz gorzej znoszę ten pusty czas  
sam na sam z sobą samym  
w pokoju trzy metry na dwa  
w tym kraju niezmiernym

nadchodzi znów samotna noc  
ratunkiem tylko wódki szklanka  
najłatwiej przecież smutek topić w szkle  
w oczach kobiety, w wierszu

za oknem wieje chłodny wiatr  
a w sercu coraz mroźniej  
myśli pokrywa  
lodu szklisty blask

na dobrowolnym tym zesłaniu...

Winnica, 1988

\* \* \*

*Дружині*

Все гірше я виношу час розлук.  
Один і на один –  
З самим собою.  
В кімнати тій на шість  
квадратних метрів,  
в країні непомірних величин.  
Приходить одинока ніч  
спасінням для душі – вірші,  
що я топлю в очах жіночих.  
За вікнами холодний віє вітер,  
І в серце прохолодою несе,  
І не хватає слів мені,  
як і тепла твоїх долонь  
на добровільнім цьому засланні.

Вінниця, 1988

**Adam A. Zych (ur. 1945).** Psycholog, pedagog, poeta i tłumacz; profesor w Dolnośląskiej Szkole Wyższej we Wrocławiu; członek Związku Literatów Polskich (2002–2007); otrzymał Medal Miasta Oświęcimia.

**Адам А. Зих (1945 р.н.).** Психолог, педагог, поет и перекладач; професор Університета ДСВ у Вроцлаві; член спілки письменників Польщі (2002–2007); отримав медаль міста Освенцім.

**Anatol M. Podolinny (ur. 1940).** Literaturoznawca, eseista, poeta i tłumacz; profesor Uniwersytetu Pedagogicznego w Winnicy; członek Narodowego Związku Literatów Ukrainy (1999); otrzymał honorowy tytuł naukowca Ukrainy.

**Анатолій М. Подолінний (1940 р.н.).** Літературознавець, есеїст, поет и перекладач; професор педагогічного Університету у місті Вінниця; член спілки письменників України (1999); отримав почесне звання каєзнавець України.

## Pamiętnik (7)

Z rękopisu opracował *Marian Kisiel*

### **Wtorek, 8 września [1936].**

Taka bezbrzeżna melancholia, taka cholerna chandra ułożyła się mi na sercu, ułożyła się na duszy. Fojcik tłumaczył, że w poniedziałek ma ekonomię, we wtorek ekonomię, w środę to samo... A ja mu odpowiedziałem:

– Poniedziałek: melancholia; wtorek: tęsknota; środa: psia krew złość itd.

Nie warto obliczać kroków. Im bardziej i skrupulatniej oblicza się każdy krok, tym gorzej i częściej człowiek wpada. Lepiej iść w życie hurmem na ślepo.

Im szczegółowiej obliczam w każdej kwestii pro i contra, tym większa melancholia, większy smutek ogarniają mnie. Tym więcej zaczynam wątpić o możliwości jakiegokolwiek szczęścia.

A więc kochany, drogi panie Szewczyk, musisz pan w sobie znaleźć przyjaciela, tylko i jedynie w sobie. Inni – to wszystko fałszywi prorocy przyjaźni.

Powiadomiłem Helcię, że ma przyjść w poniedziałek (tj. wczoraj) na dworzec. „Będę czekał stęskniony” – napisałem. Jednak nie pojechałem. Popelnilem wprawdzie wielkie świństwo, ale mam nadzieję, że ona się obrazi i przez to zakończy się ta nasza tak mało potrzebna znajomość.

### **Sobota, 12 września.**

Na stole w pokoju jest taki straszny nieład. Stosy książek i papierów, ołówki, krawaty, kołnierze – po prostu cały mój kawalerski byt uwidocznili się kupą gratów na stole. Matka co dzień krzyczy, że to nieładnie, że mam to natychmiast uporządkować. Ja znowu tłumaczę, że to nie szkodzi, że u wszystkich poetów jest taki nieład. (Oczywiście u nich jest również nieład w głowie).

W ostatnich dniach bolały mnie znowu zęby. Nie wychodziłem nigdzie. Otuliłem się w szal i nieogolony siedziałem na sofie.

Wczoraj wpadł tu Pyzik. Za tydzień idzie do podchorążówki jako ochotnik. Wierszy jakoś obecnie nie pisze. Czeka na silniejsze wrażenia.

Władek zaniedbuje się z materiałem naturalnym. Napominam go, ale to jakoś nie skutkuje. Trzeba będzie zasugerować go schwaleniem wartości nauki<sup>[1]</sup>.

Fojcik chodzi ostatni rok do Handlówki. Uczy się dużo. Zresztą mają już nawet bardzo trudne i skomplikowane rzeczy.

W ogródku astry już opadają przez pół ku ziemi. Zielone łodygi ropieją u nasad pięknych, mieczykowatych liści.

Byłem któregoś dnia w lesie. Zdobyłem dużo wrażeń. Zamierzam je zużytkować w czymś. Marzę o czymś wielkim, o jakiejś epopei jesieni, miłości i smutku. W każdym razie to się jeszcze okaże, czy wyjdzie z tego wszystkiego epopej] a, czy też zwykły sobie romansik.

### **Niedziela, 13 września.**

Matka pojechała do Pszowa na doroczną pielgrzymkę opustową. Zostaliśmy w chałupie – sami mężczyźni. Ale mimo

to porządek jest. I łózka posłane i pokoje posprzątane. Porządek musi być.

Porządek to jest ważna rzecz. Wszędzie. Wszystko musi być uporządkowane, bo inaczej wszystko bierze [w] łeb. Nie tylko u nas. Również i w naturze. Jak np. dzisiaj. Jesień wreszcie uporządkowała swoje deszczowe zaległości i wytrącona przez słońce z równowagi, powraca powoli do swego trybu, do czynności swych – jej, polskiej, złotej jesieni.

Niedzielne popołudnie jesienne jest podobne do tamtych letnich. Tylko ten chłodny wietrzyk, który wpada do pokoju przez otwarte okno, powiewa jesienią.

Jesienią — — —

Taki będzie tytuł mojej nowej powieści. Jest prosty i dlatego chcę, aby pozostał już taki, niezmienny.

Władek urządził „bibę”<sup>[2]</sup>. Twierdził, że ostatnią w tym sezonie. Nalali mnie. Fojcik ma twardą głowę. Władek miał również dość. Humor był.

### **Poniedziałek, 14 września.**

#### **— Piątek, 18 września.**

Żyję tak z dnia na dzień. Bez celu. Nie chce mi się niczego. Nie mogę pisać porządnie. Próbowałem wierszy – nie idzie. Myślę płytko i powierzchownie. Nie wiem, czemu jestem leniwy, czemu tęsknię za czymś, z czego nie umiem zdać sobie sprawy.

Rija pisze teraz bardzo rzadko. Zdaje się, że jej zapal ochłodził. A mnie byłoby nawet to zupełnie obojętne. Przecież jest Stefa. I ona na razie może mi zupełnie zaspokoić ten głód miłości, jaki czasami odczuwam. Ona potrafi się tak ładnie przymiłać. Robi to z takim przejęciem się swą rolą, że choćby nawet udawała, nie mógłbym tego spostrzec. Stefa jest nawet ładna. A ona przede wszystkim wie, w jaki sposób należy kochać. Ona jest dzika. Och, jak mi się to podoba. Ten jej stepowy sentyment, ta jej nieokiełzana, pełna burzliwości dusza. Taki również jestem ja.

Dni są ciepłe. Ostatnie słońce świeci ostro i stwarza mocne kontrasty. W pokoju już pali się pod piecem ogień, bo wieczory są chłodne.

Zabiorę się znowu wkrótce do skryptów. Mam zaległości, a trzeba je odrobić. Władek też obecnie na serio wziął się do nauki. On zdaje maturę już w styczniu. Ma mniej czasu na próżnowanie.

Z harcerstwem mam też trochę roboty. Wprawdzie nie pracuję wzorowo, nawet nie miernie, ale mimo to zbiórki zabierają mi po kilkanaście godzin tygodniowo. Do tego dochodzą wycieczki, obecnie obowiązkowe w związku z Trzechletnim Wyścigiem Pracy<sup>[3]</sup>. *Sum[m]a sum[m]arum* — przeciętnie dwa dni w tygodniu zabiera mi harcerstwo.

Z pracą około idei słowiańskiej trzeba będzie ruszyć na przód. A więc zabrać się ostatecznie do założenia Koła. Największą przeszkodą — to brak funduszków. Można by przecież zaabonować jakieś czasopismo traktujące o kwestiach słowiańskich, ewentualnie zakupić odpowiednie książki. W każdym razie... idea słowiańska niech żyje!!! *Vivat Sla-*



via conciliata!!!<sup>[4]</sup>

### Niedziela, 20 września<sup>[5]</sup>.

Na pewno nie taka sobie zwykła niedziela. Niezwykła? Tak, słuszna racja.

To, że pojechałem ze Stefą do Łazisk, to nie było najciekawsze. Towarzyszyliśmy tylko Fojcikowi, który pojechał odwiedzić Marysię. Och, Marysiu! Zerwał z nią Fojcik. Okazało się, że ma za dużo znajomych, tych tak zwanych serdecznych. I że lubi w obcych ramionach tańczyć<sup>[6]</sup>. Tak, to nieładnie z jej strony. A Stefka też od razu chciała się bawić, chciała tańczyć<sup>[7]</sup>. Powiedziałem jej energicznie:

– Ja się nie wybieram. Zresztą idę na dworzec.

Miała szaloną ochotę się bawić, ale posłuchała mnie i poszła ze mną. Oczywiście, że nie szczędziłem jej po tym ironicznych uwag pod adresem jej niepoddawania się czyims rozkazom. Ale ja czuję, że można się w niej nawet zakochać. Chociaż zaczyna mi „przyświecać” głupia dewiza, którą wyraziłem w pewnym wierszu dla Stefki:

Ani ożenek, ani też zameżnicie<sup>[8]</sup>,  
nie stwarza rajy na pierwotny styl.  
Nie wierzę w ludzi, nie wiem, co to szczęście.  
Miłość to kwestia paru krótkich chwil.

Duszy Stefy dotychczas nie odgadłem. To jest trudna sprawa. Jeszcze nie wiem, co w niej jest udanego, sztucznego, a co naturalnego. Wiem tylko, że umie ładnie całować i że można się w niej mimo wszystko zakochać. Mimo wszystko – tj. mimo wszelkie wątpliwości co do jej stałości.

Fojcik załamał się. Widziałem nawet, że płakał. A Marysia w ogóle nie zdaje sobie z wszystkiego sprawy. Nie wie, o co poszło. Przysięga, że jest we wszystkim bez winy. Nie chcę jej brać w obronę, ale mam wrazenie, że Fojcik cośkolwiek przeholował. Zresztą, to się jeszcze okaże.

### Poniedziałek, 21 września.

Jak trudno oczom jest się odmykać,  
jak łatwo ustom ziewać (aaach), ziewać...  
Za oknem liści żółkła ulewa —  
— jak liść się trzeba z losem borykać.  
Wczoraj minęło. Wczorajsze chwile  
chciałaby dzisiaj wskrzesić tęsknota — — —  
Czemu niedziela ma ten przywilej,  
że jest za krótka, choć pełna złota?

Pełno papierów leży przede mną,  
coś trza napisać, czymś się zachwycić,  
— a, psiaakrew, tak mi jakoś ostrzymno,  
bo, psiaakrew, może my nadaremno  
szukamy szczęścia, słońcem nakryci  
z sercem płonącym jak święte wici  
radosne, żywe, którym nie wojnę  
lecz gody nasze wskrzeszać upojne.

Po cóż wspominać? Dziś poniedziałek,  
jutro jest wtorek, pojutrze środa,  
jutro już myśli będą dojrzałe,  
pojutrze będzie śliczna pogoda.  
Po cóż się smucić, że ta niedziela  
przeszła jak drgnienie, trwała za krótko —  
— gdy świat jest jeszcze pełen wesela,  
Gdy złota jesień zaprzecza smutkom?...

### Poniedziałek, 28 września.

Więc znowu tydzień, jak z bicza trzasł. Tydzień jesieni, tydzień bezczynności i nudy. Trochę się czyta (ale tylko trochę), trochę się marzy o Stefie, czasem wspomnę o Marysi, potem

idę do Władka i spacerujemy, spacerujemy...

Najważniejsze [jest] to, że nie ma „forsy”. A właśnie tak jej gorąco potrzebuję. I to nie na rzeczy blahe. Pożyczyć nie ma skąd, a może i byłoby, ale z czego później zwrócić dług. Tak, to jest trudna kwestia. I główna przeszkoda w kontynuacji pocziwego żywota.

Wczoraj wpadł mi do pokoju przez niedomknięte okno liść. Wziąłem go na rękę jak jakąś relikwię. Był żółty. Boki powyginały mu się ku środkowi. Trzymałem go w palcach. Szuszczał<sup>[9]</sup> jak krepa pogrzebowa. Tylko że był taki rdzawo-żółty. A pachniał pogrzebem.

Na ulicy leży ich pełno. Wiatr tworzy z nich barwne kałuże. Przegania je z miejsca na miejsce. Idzie się po nich miękko i cicho. Bo ich szelest to jest zrozumiała aria jesieni. Stać się po nich jak po atlasie.

Hej, liście zeszcł!

Hej, jesienne liście!

W jakiejś starej książce znalazłem śliczny wiersz Kaz. [imię] Wroczyńskiego (zm. 1903)<sup>[10]</sup>:

Cicha tęsknota późnej jesieni.

Liście pożółkłe i szeleszczące  
Wolno na ziemię spływają drżące.

Umierającej smętnej królowej  
Zgon w purpurowej złota czerwieni —  
Zgon cichy, cichy — prosty a rzewny.

Wśród złotych płatków uschniętych liści  
Widać koronkę gałęzi ciemną — — —  
Z osypujących złoto swe kiści  
Morze kolorów leży przede mną.

Jak smutnie szumi pod moja nogą  
To zeszcł morze! jak mi się mieni  
I w dal tęczową ścieli się drogą,

Na którą żółte i szeleszczące  
Liście powoli spływają drżące — — —

Cicha tęsknota późnej jesieni.

### Wtorek, 29 września.

Opycham się poezją. I piszę sam dużo. To, o czym myślę, objawia się w wierszach. A są to, niestety, najczęściej myśli bardzo pogańskie. Wczoraj napisałem wiersz *Jesienią w kościele*... Owszem, miły ale nieporadny. A dzisiaj napisałem pogański w najwyższym stopniu wiersz *Będę kochał*... W myśli zwróciłem go pod adresem Stefy. M.in. piszę w nim:

Bo ja będę księciem w zmierzch październikowy,  
bo ja umiem kochać jak prawdziwy król;  
i będę się tulił do mojej królowej,  
jak ten wiatr jesienią do zszarzałych pól.

Gdy go kończyłem, coś mi mówiło: zniszcz go. Ale nie miałem sił. Zostawiłem go jako znak przesilenia moralnego, jakie mnie ostatnio ogarnęło.

Piszę dużo, ponieważ chcę znaleźć wreszcie wyraz, jaki nadawałby specyficzne, oryginalne znamię moim wierszom. Nadal pisze również nowelki. Ostatnio – z czasów rewolucji r.[oku] 1917 na Ukrainie rzecz pt. *Krystenka* – posłałem do „Katolika”

Stefę kocham. Zaczynam się do wielu jej wad przyzwyczajając. Mógłbym nawet się z nią ożenić. Sądzę, że potrafiłaby mi dać dużo szczęścia. Na razie udaję wzorowego narzeczonego. Uważa mnie nadal za „chadziaja”, tj. za Ukraińca<sup>[11]</sup>.

Zresztą, twierdzi, [że] gdybym był Ślązakiem, to straciłbym w jej oczach wiele uroku. A więc niech jestem Ukraińcem. Step oczom i w ogóle jestem przybranym dzieckiem Ukrainy. Naprawdę — —

Marysia z Rysiem (Fojcikiem) pogodzili się. Wiedziałem, że tak będzie. Ona się w nim buja, a on też.

Aha. W niedzielę byliśmy w trójkę w Mikołowie<sup>[12]</sup>. Wczoraz siedzieliśmy w pokoiku u góry. Tu Stefa wyciągnęła stos listów i powiedziała:

— To są listy moich wielbicieli. Możesz je czytać.

— Nie chcę — odparłem. — Wyobrażam sobie, że każdemu z tamtych byłoby przykro, gdyby mnie widzieli czytającego słowo zwrócone do ciebie. Nieładnie czynisz, pozwalając na czytanie tej intymnej korespondencji.

Zawiodła się więc w swoich rachunkach. Wiem, że chciała przez to wzbudzić we mnie zazdrość. Ale ja nie byłem na szczęście tego wieczoru ani trochę ciekawy.

#### **Niedziela, 4 października.**

Przed chwilą wpadł do mnie Władek.

— Chodź na zabawę — woła.

— Nie idę.

— Czemu nie? Przecież „Lutnia”<sup>[13]</sup> śpiewa dziś twoją pieśń<sup>[14]</sup>.

— Nie szkodzi. Nie chce mi się.

— Przecież mógłbyś iść — dodaje matka.

Ale uparłem się. Władek polecał zły. A ja zostałem. Nie mam ochoty.

A więc niszczy mnie coraz bardziej gorączka pożądania. Staję się coraz częściej poganinem. Nie mogę się oprzeć brudnym myślom. Och, te myśli. Jak one mnie czasami męczą. Rozsadzają mi głowę. Jest ich dużo. Jest ich całe stado, głodnych, brudnych, zbloconych wron, dybiących nie na ochłap, nie na padlinę, ale na piękno, na myśl szlachetną. Świadomość moja jest oślizgłym murem, po którym pnie się twórcza myśl. Trudno jest się jej dostać na szczyt. A przecież tam dopiero zdobędzie pełnię swej świadomości, tam dopiero może zacząć pracować wzwyż.

Credo! — —

— Wierzę w Boga. Pomimo to nie jestem jego robotnikiem. Jestem usunięty poza nawias tego idealnego społeczeństwa. Jestem człowiekiem wśród nocy objającym się po manowcach i bezdrożach. I chociaż widzę właściwą ścieżkę, nie mam sił wstąpić na nią. Wolę chodzić po manowcach, bo na nich jest wygodniej. Jest<sup>[15]</sup> inaczej. Jest weselej.

Czasem mam wrażenie, że wariuję. Że dostaję obłądu. Myśli intensywnie pracują nad pomieszaniem mojego „ja” z obcym „czymś”. I wtedy ratuje mnie myśl o Bogu. O tym dalekim i tak groźnym Bogu. Groźnym — tak. I to ciekawe, że już tylko z obawy przed jego przemocą, nie nawracam się. Że Bóg istnieje poza mną. A powinien być we mnie. Powinien być w nas. Tak, to jest prawda. Bóg musi być w nas!

W piątek miał ojciec imieniny. Rano przed wyjściem do kościoła, złożyłem mu krótkie życzenia. Widziałem, że go to wzruszyło. Bo u nas w domu nie manifestuje się jakiegokolwiek serdeczności. U nas jest to trochę krępujące. Trudno: przyzwyczajenie.

W.[itold] Zechenter zgromił dziś w „K[urierze] L[iteracko] N[aukowym]” poetów<sup>[16]</sup>. Więć, że stanowczo za dużo ludzi pisze wiersze. Tak, to jest prawda. Ale przecież większość z nich nie ma pretensyj, piszą „sobie a muzom”. Nie można im tego zabronić. Niech piszą. Jeżeli świat cały — to poezja, więc czemuż by ludzie nie mieli być poetami? Każdy ma w sobie coś z poety, ale rzadko który jest geniuszem. Niech piszą.

A ja może i mam większe pretensje i ambicje poetyckie?

Chyba. Piszę coraz lepiej, przynajmniej odnoszę takie wrażenie. Wkrótce zacznę pisać o rzeczach regionalnych o Śląsku. Bo w tym dziale mogę mieć najwięcej głosu. Kocham przecież Śląsk.

Jak to powiedział czeski mistyk Brzezina?

Aha — —

Więc to, co nam krępuje życie, to jest tajemnica: Bóg.

Tak, jest proste. Ta wielka i prosta tajemnica wisi nad nami. To jest *memento!*

*Memento, homo!*

Pamiętaj, że tam jest Bóg!

A kto to jest Bóg?! — pytam z przestrachem.

Bóg — to jest wielka tajemnica!!!

#### **Poniedziałek, 5 października.**

Wczoraj była niedzieliczka, dzisiaj smutny dzień, naboląła mnie głowiczka, na cały tydzień...

Tak śpiewają w ludowej piosence. Czy prawda? Chyba. Tylko z tą różnicą, że i wczoraj był smutny dzień. Zimno, pochmurno, deszcz, głupio, nuda, wiatr, ja, zdenerwowanie i w ogóle — —

#### **Czwartek, 8 października.**

*Wodzowie Europy* Ludwiga<sup>[17]</sup>. Pisane przez Żyda, przychylnie dla Żydów<sup>[18]</sup>. Ale mimo to podoba mu się Stalin<sup>[19]</sup>. Ten Stalin kreślący czerwonym ołówkiem po papierze tysiące liczb, arabesk<sup>[20]</sup>. W pewnej chwili autor prosi go o podpisanie jego broszurki. Stalin czuje się zakłopotany. Ten drobny fakt stawia go w zakłopotanie. Niesłychane! Albo taki Masaryk<sup>[21]</sup>, zawsze patrzący mówiącemu w oczy (w odróżnieniu od Stalina). Zawsze matematyk, szukający dróg prostych i logicznie uzasadnionych. (Inaczej Mussolini — ten postępuje w myśl hasła Nietzschego: „żyj niebezpiecznie”<sup>[22]</sup>). I prosty, krzyczący prosty w swym znaczeniu. Oto jest w Ameryce, na bankiecie, poświęconym jego osobie. W pewnej chwili podają mu depezę. Odczytuje ją i nadal prowadzi spokojne rozmowy z biesiadnikami. Dopiero po długiej chwili oznajmia, że dostał depezę, w której zawiadomiono go, iż wybrano go prezydentem nowo powstałej republiki Czechosłowacji. — Podobny fakt u Mussoliniego. W r.[oku] 1922 — marsz faszystów na Rzym. Król czuje, że musi jednak podać dłoń temu, coraz więcej popularnemu, człowiekowi<sup>[23]</sup>. Zawiadomia go o powierzeniu mu uformowania rządu. Mussoliniego zastaje ta wieść przy pracy w redakcji swego pisma w Mediolanie. Mussolini woła na zecera:

— Przygotować dodatek nadzwyczajny.

— Bo co jest?

I tu, zamiast „zwyciężyłem”, mówi po prostu:

— Nominacja.

„Wodzowie Europy”. — Ludzie, bynajmniej nie geniusze. A jednak dużo zrobili.

Oderwałem się od lektury na trochę. Deszcz ciął, to w twarz, to z tyłu. Wiatry okręcały się koło mnie dziką karuzelą. Na przystanku przenikliwe zimno. Mało pasażerów. Głośno stukaniem po cementie świeżo podzelowanymi butami. Na ławce siedziała jakaś dziewczynka. Młodziutka, może trzynastoletnia, ale już budząca się do życia. Spoglądała na mnie ciekawie (może jestem przystojny?). Ja się do niej uśmiechnąłem. Uśmiechnęła się też. Taki błąd, niewinny uśmiech wśród deszczu. Taki dobry cud dla szarpanej tysiącem myśli duszy.

We mnie nie ma chaosu. Ale jest dużo, dużo myśli. Jest wielkie społeczeństwo myśli, mające swe smutki i radości, swe kłótnie i zgody, swe wzloty i upadki. Wyglądam taki nieogolony, ogromna czupryna, łysina na przodzie, czoło wysokie,

sklepione, oczy małe, żywe i pozornie tylko zmęczone. Ale dusza we mnie łopocze mocno, odzywa się tysiącem głosów. Jestem młody. Chciałbym jakiejś rewolucji, jakiegoś przewrotu. Jestem niespokojny. Nie mogę myśleć równo i płytko. Są szczyty i przepaście. Jest nieobjęta głęb morza. Jest zapach świeżego chleba i macierzanki. Jest stara, samotna brzoza w dogasającym niebie. Jest sprężysty krok uzbrojonej armii. Jest łuna pożarów. Jest dobrotliwa twarz Chrystusa. Jest miłość. Ale jest i nienawiść. Mądrość i głupota. Dusza i ciało. We mnie jest wszystko. No, chyba to proste, zrozumiałe,

Ulica może być wąska. Może być tak wąska, że trzeba iść gęsiego. Nie szkodzi. Jest więcej terenu, którym nie drepczą karierowicze. Góra może być najwyższa. Nie szkodzi. Jest więcej pewności, że na szczyt dostaną się tylko tytani.

---

Rozłutki z *Urody życia*<sup>[24]</sup> rozczarował mnie. Przecież on stał się na końcu zupełnie podświadomie egoistą. Jestem pewny, że nie podjąłby lotu do Polski, gdyby go nie upajał orli lot, furkot śmigła, zwycięsko tnącego szybę powietrza, szum tego stalowego ptaka, który mu zwiastował swobodę ducha. Rozłutki Piotr, broniąc się przeciw hordzie oficerów w karczmie, był lepszy.

Ja jestem Rozłutki. Z przyjemnością stawiam jego nazwisko obok mego, choć właściwie nie mogę się z nim porównać. Chyba, no? Chyba ten egoizm, który nas pcha do wznoszenia się w przestwór powietrzny, po prostu tam, gdzie można być samotnym i jak samotnik myśleć. Nie podoba mi się Szewczyk mądrujący zbyt dużo, a uciekający od czynu<sup>[25]</sup>.

Czyn?

Za dużo o tym śpiewali poeci.

Aha!...

### **Piątek, 9 października.**

Ktoś, kto w przyszłości będzie chciał mój charakter określić na podstawie początkowych reminiscencji z tego zeszytu, popełni wiele błędów. Za dużo bowiem włożyłem w niektóre myśli frazesów. Niepotrzebny balast niepotrzebnych słów przykrył grubym tumanem zdrowe myśli. Zdrowe myśli, lecz – czy one obecnie w ogóle są? Mógłbym powiedzieć: tak i nie. Bo wiem, że czasem myślę za dużo. I dlatego odkryć, co w tym intensywnym myśleniu jest zdrowego, a co chorego – to jest trudna rzecz.

Żeby się stać porządnym, pewnym, całkowitym człowiekiem, trzeba mieć pewien program, według którego należy żyć. Żeby się stać nauczycielem innych – trzeba sameму mieć porządnego nauczyciela. Dotychczas miałem ich za dużo. Wszystko, co mi się podobało, brałem za przykład. Rozbierałem każdą rzecz zbyt pochopnie i takie niestrawione kęsy polykałem. Nic dziwnego, że nastąpiło schorzenie części wchłaniających wrażenia. I dlatego wzmożła się tęsknota za szczytnymi wrażeniami, za prawdziwą kulturą i filozofią wrażeń. Banalne rzeczy nie wywrą już na mnie jakiegokolwiek wrażenia. Pragnę czegoś wzniosłego, czegoś wielkiego, czegoś niedosięzłego.

I cóż?

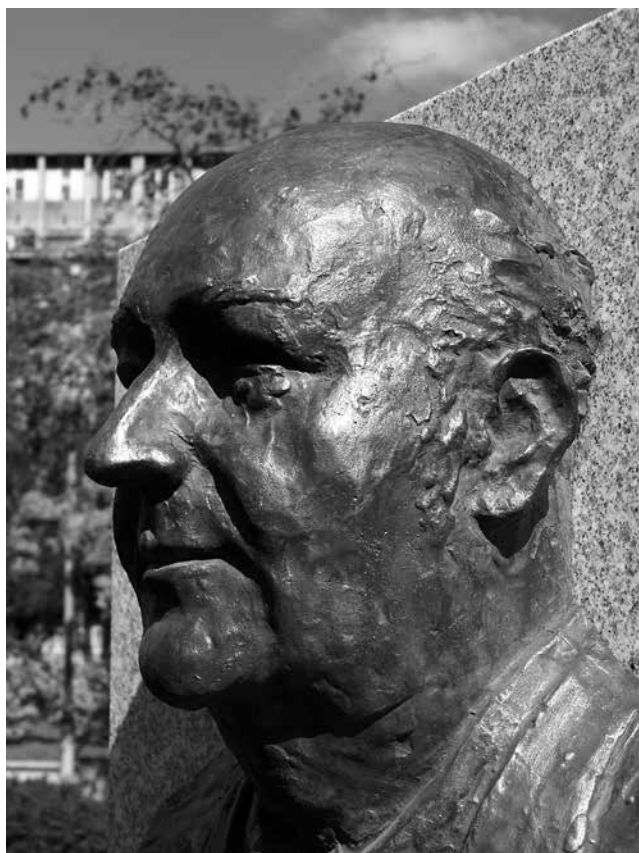
Imię: Stefan.

Nazwisko: Żeromski.

I?

– Dzieła.

Tak – Żeromski – Prometeusz, filozofia Żeromskiego, *Popioły*, *Uroda życia*, dzika walka wilka z Rafałem, podniebny lot Rozłuckiego, deklamacja *Reduty Ordona* z *Szyfowych prac*, Żeromskiego seksualizm, miłość do puszki jodłowej – to mnie w sobie rozkochało, ba – do siebie przywiązało moją duszę, według siebie rozkazało kształtować moje pragnienia, pogromy, moją duszę. Oczywiście, nie znaczy to, że bym bezkrytycznie entuzjazmował się Żeromskim. Wprost przeciwnie. Ja Go nienawidzę. Nienawidzę go za tę nędzę, która opisuje, za te jego ironię, z jaką traktuje w wielu wy-



fol. Lesław (Jan Michalik)

Popiersie Wilhelma Szewczyka na Placu Grunwaldzkim w Katowicach

padkach miłość, za te jego zarozumiałość i pewność siebie, w ogóle za wszystko, co w nim zarazem muszę uwielbiać. Gdy im więcej Go nienawidzę, tym bardziej Go Kocham. Jestem względem jego twardej filozofii bezradny. Jestem pod urokiem jego pełnych realizmu scen miłosnych i scen „bójkowych”, „walkowych”. Jestem opętany złym duchem jego opisów przyrodniczych. Jego przyroda – to Aryman<sup>[26]</sup>, który mnie, cywilnego mnicha, sprowadza na drogę pogańskiego uwielbienia. – Żeromskiego znam z niewielu książek. Ale wziął mnie wstępny bojem. I mogę śmiało powiedzieć, że *Popioły* i *Dekabryści* to najpiękniejsze książki, jakie czytałem.

---

Warto żyć. Życie ma w sobie tyle rozkoszy, tyle urody, że trudno jest z niego zrezygnować.

W południe wpadł do mnie Władek. Zastał mnie przy pracy. Zbierałem właśnie z różnych czasopism materiały do najnowszej literatury.

– Jesteś dziwak – zaczął.

– Czemu?

– Siedzisz po całym dniu w papierach. Przecież nie w tym tkwi urok życia.

– A w czym.

– Na przykład zabawy.

Uśmiechnąłem się oblesnie.

– Zabawy? Owszem. Siedzieć przy stoliku, słuchać muzyki, podpatrywać typy, obserwować bawiących się. Pewnego rodzaju sposób zabijania czasu<sup>[27]</sup>.

– Ależ, mylisz się. Tańce...

– Tańce? Pozostałość z czasów pogańskich<sup>[28]</sup> – odpowiedziałem krótko, ale dobitnie.

– Jesteś dziwak.

– Wiem.

Zagłębiłem się w papierach. Nie zwracałem na niego uwagi.

A jednak warto żyć! Warto żyć, warto, warto. Pożółkłe kartki starych książek, szum lasu, zapach pleśni osiadłej

na papierach, wibrujący śnieg, pocałunki Marysi<sup>[29]</sup>, silne wzruszenia podczas mszy św., młodość, młodość, młodość – warto żyć!!!

Niektóre ustępy z dzienniczka denerwują mnie. Na przykład sceny ze Stefą. Powiniennem ich być nie opisywać. Były większe, poważniejsze i świętsze wzruszenia<sup>[30]</sup>. Sceny z Marysią były bezwzględnie miłsze. Szkoda, że opisałem je jak urywki z jakiegoś sentymentalnego, prymitywnego romanisu. Szkoda, że jest w nich tyle niepotrzebnej frazeologii (jak i w innych miejscach). Ciekawym, czy Marysia nadal kontynuuje dzienniczek. Trzeba się ją będzie o to zapytać. Władek zaniedbał się ze wszystkim. Ani dzienniczka, ani księgi kasowej nie prowadzi, ani się w dodatku nie uczy. Przychodzi z biura i od razu wychodzi na spacer, trwający do późnej nocy. Nauczył się tańczyć i dlatego uwielbia zabawy. Fojcik na zabawach godnie mu sekunduje, ale ten się przynajmniej uczy.

Jakąś późną godziną zegar przetoczył się w ciszę  
(rozdzwonił się długim klekotem sentymentalnej godziny)  
Stała myśl — — —  
Przełała się w nic jak śmierć w życie mnisze.  
Film życia przed oczyma rozwinać  
jesiennym wieczorem  
i być widzem, reżyserem i aktorem.  
Być wszystkim  
w ciasnym pokoiku przy słabym świetle żarówki.  
Na drzwiach założyć zasuwkę,  
obejść pokój dokoła,  
otworzyć okno — — —  
może mnie ktoś zawoła?  
Być wszystkim — — —  
— Nabrać w płuca powietrza, pełnego wilgoci,  
wpatrzeć się w ciemną, szumiącą dal — — —  
— może jakiś niewidomy ugodzi mnie pocisk,  
może jakiś tajemny zatarga mną żal.  
Za mną zegar wytoczy korowód dwunastu uderzeń,  
mnie się treść całego świata pewnie zmieści,  
— po cóż słuchać banalnych, drzewnych, nocnych zwierzeń,  
to już dawno było w banalnej, starej powieści.  
Trzeba  
— wziąć na ramię tłumok różnych rzeczy,  
obejść izbę raz jeszcze dokoła  
i nie czekać, aż ktoś mnie zawoła,  
aż ktoś będzie miał czas mi zaprzeczyć,  
trzeba zaraz otworzyć pomaleńku drzwi  
i  
wyjść  
w świat...

\* \* (Pod wpływem wiersza Sołoguba<sup>[31]</sup> *Ratuj tego, kto wzywa pomocy...*).

### Przypisy

\* Bardzo dziękuję prof. Grażynie Barbarze Szewczyk za pomoc w odczytaniu niektórych fragmentów *Pamiętnika*, a także za dodatkowe uwagi, które mogłem spożytkować przy opracowaniu przypisów.

<sup>[1]</sup> *zasuggestionować* (z łac. *suggestio* – poddawanie, podkładanie), oddziaływać za pomocą sugestii, podsuwać jakąś myśl, skłaniać do czegoś, wywierać wpływ. Dzisiaj słowo archaiczne, tu użyte w znaczeniu: pokazać korzyści, wynikające z nauki.

<sup>[2]</sup> *biba* (z łac. *bibo* – pić, urządzać ucztę), pijatyka, libacja.

<sup>[3]</sup> „Trzyletni Wyścig Pracy” (1936–1939), *współzawodnictwo drużyny w ramach programu centralnie narzucone*

go przez Główną Kwaterę Harcerzy. Miało ono zaktywizować drużyny słabiej pracujące, zwłaszcza w mniejszych miejscowościach.

<sup>[4]</sup> *Vivat Slavia conciliata* (łac.) Niech żyje zjednoczona Słowiańszczyzna.

<sup>[5]</sup> Omyłkowo napisano *sierpnia* i przekreślono.

<sup>[6]</sup> W zdaniu tym, po słowie: *łubi* przekreślono słowo: *pływać*.

<sup>[7]</sup> W rękopisie: *chciała się tańczyć*.

<sup>[8]</sup> *zameźcie*, popr. *zameście* – zamążpójście.

<sup>[9]</sup> *szuszczyć* (gwar.) *szeleścić*.

<sup>[10]</sup> Omyłka Szewczyka. W lutym roku 1903 śmiercią samobójczą zmarł Jan Wroczyński (ur. 1882 lub 1883), autor *Gawot gwiazdnych* (1905), tomu poezji prozą. Kazimierz Wroczyński (1883–1957) był jego krewnym i pozostawił po sobie o wiele większe dzieło — poezje, dramaty, satyry, wspomnienia.

<sup>[11]</sup> *hadziaj* (a. *hadzaj*), 1. ktoś spoza Śląska, ze Wschodu, 2. (pogard.) szmaciarz, niechluj,

<sup>[12]</sup> Przekreślone: *Jaśkowicach*, nadpisane: *Mikołowie*.

<sup>[13]</sup> W latach 1922–1939 w Czerwonice działał chór mieszany „Lutnia”, zob. R. Hanke, *Śpiew chóralny wielkim bogactwem Śląska*, „Śpiewak śląski” 2007, nr 4, s. 5.

<sup>[14]</sup> Nie ustalono, o jaką pieśń chodzi.

<sup>[15]</sup> W rękopisie omyłkowo: *Jej*.

<sup>[16]</sup> Witold Zechenter (1904–1978), poeta, prozaik, publicysta, redaktor „Ilustrowanego Kuriera Codziennego” („Kurier Literacko-Naukowy” ukazywał się jako tygodniowy dodatek do tego dziennika). Szewczyk ma na myśli *Dwa alarmy w jednym felietonie* („Kurier Literacko-Naukowy” 1936, nr 40, s. 4), w którym znalazł się m.in. taki passus: „Zdaje się, że najstosowniejszą formą byłoby wydawać wiersze w *jednym egzemplarzu*. Miałoby to tę dobrą stronę, że nakład byłby zawsze wyczerpany. Po prostu wykupiłby go sam autor”.

<sup>[17]</sup> Emil Ludwиг, *Wodzowie Europy. Szkice z natury*, Towarzystwo Wydawnicze Rój, Warszawa 1935. — Emil Ludwиг, właśc. Emil Cohn (1881–1948), niemiecki pisarz i dziennikarz żydowskiego pochodzenia, autor licznych biografii, m.in. polityków (Napoleona, Bismarcka, Stalina) i artystów (Michała Anioła, Rembrandta Goethego).

<sup>[18]</sup> Zgodnie z ówczesną ortografią, Szewczyk pisze słowo Żyd z małej litery.

<sup>[19]</sup> Józef Stalin, właśc. Josif Dżugaszwili (1878–1953), przywódca bolszewicki, sekretarz generalny KC KPZR, dyktator i zbrodniarz komunistyczny, czasy jego rządów określa się mianem stalinizmu.

<sup>[20]</sup> *arabeska* – ornament; tu w znaczeniu: zygzak, rysunek.

<sup>[21]</sup> Tomáš Garrigue Masaryk (1850–1937), profesor filozofii i socjologii, ojciec niepodległej Czechosłowacji, pierwszy i najdłuższy urzędujący prezydent państwa (1918–1935).

<sup>[22]</sup> Friedrich Nietzsche (1844–1900), niemiecki filozof i filolog klasyczny, poeta i prozaik, krytyk chrześcijaństwa, ateista, zwolennik powrotu do wartości kultury antycznej. Twórca wpływowego systemu filozoficznego, zwanego nietzscheanizmem.

<sup>[23]</sup> W rękopisie: *człowieka*.

<sup>[24]</sup> *Uroda życia* – powieść Stefana Żeromskiego (1912).

<sup>[25]</sup> Nadpisane ukośnie, innym atramentem, więc pewnie później: „Rozłucki – kosmopolita również mi się nie podoba”.

<sup>[26]</sup> *Aryman* – zły duch, jedno z podstawowych pojęć zaratustrianizmu.

<sup>[27]</sup> Dopisane później: *tak, tak*.

<sup>[28]</sup> Skreślone: *Nie uznaję*, dopisane później: *Pozostałość z czasów pogańskich*.

<sup>[29]</sup> Słowo *Marysi* – skreślone.

<sup>[30]</sup> Skreślone w nawiasie: *(Dziś wprawdzie nie mogę)*.

<sup>[31]</sup> Fiodor Sołogub (1863–1927), rosyjski poeta, prozaik i dramaturg, przedstawiciel dekadentyzmu i symbolizmu, przeciwnik rewolucji bolszewickiej.

# Międzysąsiedzka rzeczywistość

RYSZARD TWARDOŃ

Źródła milczą, kiedy po raz pierwszy w historii zdziwienie „polską” odmiennością zastąpiono wyrazem czystej „niemieckiej” niechęci. Kiedy prawdziwa wola wzajemnego poznania i zrozumienia przeszła w lekceważenie, obojętność oraz zablokowana została przez pełne zdystansowania i lekceważenia pojęcia. Jedno wydaje się pewne: wyłaniając się w zamierzchłej przeszłości w myślach i słowach, gestach i symbolach „Polenbild” (obraz Polski) towarzyszył będzie – w różnej formie i zabarwieniu oraz intensywności – niemieckiemu życiu politycznemu, społecznemu i kulturalnemu. Chwiejąc się to w jedną, to w drugą stronę, pojęcia o Polsce i Polakach ujawniają zróżnicowane emocjonalne oblicze i zabarwienie uczuciowe: swoje podmiotowe, przedmiotowe i instrumentalne znaczenia. Myśl historiograficzna i leksykograficzna pozwala tylko w przybliżeniu określić czas, w którym ma swój początek ów charakterystyczny w Niemczech „dyskurs o Polsce”. Przeniknięte antypatią określenia i nastawienie postrzegające styl życia i myślenia sąsiada ze Wschodu już tylko jako anomalię i rozprzężenie, zacofanie i dekadencję – sprowadzające sposób polskiego gospodarowania i rządzenia do postaci semantycznie zgeneralizowanego i wzdorczego stereotypu „polnischer Reichstag” i „polnische Wirtschaft”. Stereotypy, które rozprzestrzeniając się na obszarze Rzeszy Niemieckiej, Republiki Weimarskiej i Republiki Federalnej, „zakonserwują się” w świadomości kolejnych epok i kultur, społeczeństw i pokoleń Niemców – aż po współczesność. Powołując się na badania i analizy słownikowo-etnograficzne Tomasza Szaroty, można zaryzykować tezę, iż około 250 lat temu, na początku XVIII wieku, pojawiają się na całym obszarze niemieckojęzycznym pierwsze oznaki zmiany wizerunku „Polaka”. Językowy dysfemizm zastąpi wcześniejszą neutralną, pojęciową i terminologiczną ostrożność określenia i nazywania. Przestrzeń międzysąsiedzkiego postrzegania i charakteryzowania przeobraża się stopniowo w pole moralnej i nacjonalistycznej walki. W semantyce słów „polskich” zaczynają dominować synonimiczne określenia nacechowane niechęcią i nieukrywaną wrogością. W dyskursie na oznaczenie słownikowej nazwy mieszkańca nadwielanego kraju: „Pole”, pojawiają się coraz częściej pełne wycofania i agresywności zwroty: „Polaken” i „Wasserpolaken”. Również obok nazwy geograficznej, oznaczającej leżącą na Wschodzie kraj:

„Polen”, wyłania się zabarwione pogardliwością „Polakei”. Tak jak chociażby w wierszu *Zwei Ritter* z 1851 Heinricha Heinego: wyszydzeni przez poetę polscy szlachcice, Krapulinski i Waschlapki, pochodzą już z nacechowanego pejoratywnie geograficznego wschodniego sąsiedztwa: „aus der Polakei” właśnie.

Pierwsze wyraźniejsze dookreślenie i konkretyzowanie „społecznego i gospodarczego” wizerunku Polski i jej mieszkańców pojawiło się na początku XIX wieku, w okresie wzrostu migracji zarobkowej i możliwości obserwacji przebywających na „saksach” skupisk polonijnych. Ten fakt umożliwił mieszkańcom niemieckich regionów „wyjście” z zasłyszanych i pośrednich informacji o Wschodnim Sąsiedzie. Bezpośrednie uczestnictwo Niemców w losie tych, których się sezonowo zatrudnia, których się słyszy, widzi, o których się czasem myśli i opowiada, uruchomił ciągnący się proces „przyglądania się” i „zamykania” polskiej różnorodności, subiektywności i indywidualności w stypizowanych etnicznych rysach, a także, co nieuchronnie, przypisywania ujemnych cech. Innymi słowy, to mnożące się na całym obszarze kraju doświadczenia na rynku pracobiorczej współpracy i nieporozumienia na trudnym polu porozumiewania się z poszukującymi zatrudnienia mieszkańcami Polski pchnę „polską semantykę” w stronę konkretnych narodowych znaczeń, ale i określeń etnicznych. I podobnie jak w polskich słownikach etymologicznych słowo „Niemiec” (którego przedstawiano, jak wiadomo, jako niemowę, jako kogoś nieznającego języka polskiego lub znającego ten język powierzchownie), tak i w niemieckich słownikach „Polak” kojarzyło się od początku XIX-wieku – jak przekonująco pisze Tomasz Szarota – „z niemową, obcym człowiekiem, z którym nie można się porozumieć”. Na komunikacyjne trudności w porozumiewaniu się z „Polakiem” wskazuje rozpowszechniony i odnotowany w licznych XIX-wiecznych niemieckich słownikach frazeologiczny zwrot: „das kommt mir polnisch/bolisch vor”, co można by wyjaśnić współcześnie zdaniem: „to dla mnie chińszczyzna”.

Nazwa „Polak”, jak pokazały badania Szaroty, oznacza zatem na całym obszarze niemieckojęzycznym kogoś, kogo mowa bliższa była mowie dziecka niż mowie dorosłego; reprezentować będzie osobę upośledzoną, nieuczestniczącą w życiu wspólnoty, a więc niezintegrowaną i odsuniętą ze względu na je-

zykowe deficyty poza jej nawias. Z powodu niskich kompetencji językowych „imigranci z Polski” traktowani są z dużą dozą niechęci, lekceważąco, bo albo nie znali miejscowego języka, albo posługując się nim, wyrażali się niegrammatycznie i niepoprawnie stylistycznie. Interesujące w tym kontekście stają się uwagi autorów słownika meklemburskiego dokumentującego proces przenikania znaczeń o Polakach w stronę niemieckiego społeczeństwa. Odnotują oni, iż zarezerwowany dotąd dla poszukujących pracy migrantów z Polski „gebrochenes Deutsch”, czyli mowa nieporadna stylistycznie i z wieloma gramatycznymi błędami, zostaje przeniesiony także na Niemców. Jak chociażby tych, którzy posługują się dialektem, tzw. Plattdeutsch.

Tak więc początkowe „neutralne” przedmiotowo-podmiotowe niemieckie skojarzenia i wyobrażenia o społeczności żyjącej w kraju nad Wisłą, czasem lekko pobłażliwe, w momencie wzrostu polskiej migracji zarobkowej – także politycznej, podlegają antropologicznemu uwyrażnieniu i etnicznej konotacji. Zasłyszane i „suche” informacje o polskim sąsiedzie przekształcone zostają we wcielone podmiotowe cechy i osobowe przekazy. W niemieckich słownikach regionalnych pojawiają się określenia reprezentujące sposób „polskiego” bycia: „polnische Schuhe”, „Polkahaar”, „Polkahut”. I epitety mające, jakże by inaczej, negatywne znaczenie takie jak „polskie masło” czy „polska kanapka”, oznaczająca nic innego jak chleb posypany solą.

Druga, silniejsza i nacechowana już niedwuznacznym zdystansowaniem i rezonowaniem zmiana w semantyce „Polenbild”, następuje w okresie porozbiorowym w atmosferze narastającej ekspansjonistycznej i militarystycznej polityki Prus, w tzw. „długim” stuleciu niemieckiego nacjonalizmu (1845–1945). Na scenie europejskich dziejów Polska jawiła się „niemieckim obserwatorem” jako konserwatywny, anarchistyczny i mesjanistyczny byt, już bardziej umarły niż żywy, patrzący na życie przez tragizm utraconej „wielkiej przeszłości”. To właśnie w tym okresie międzysąsiedzka przestrzeń społeczna, handlowa i komunikacyjna ożywionej wymiany, neutralnego postrzegania i wzajemnego określenia, przeobrazi się w pole etnicznej deprecjacji i zgeneralizowanej krytyki. Innymi słowy, dopiero okres porozbiorowy oraz wzmożone XIX-wieczne ruchy narodowościowe i nacjonalistyczne ustanawiają zdecydowaną cezurę w stosunkach polsko-niemieckich, przesu-

wając znaczenia w „dyskursie o Polsce” w stronę negatywnych skojarzeń i cech jednoznacznie defektywnych. Myślenie o Polsce przybierze postać, sięgając po termin Orłowskiego, „myślenia oksymoronicznego”, które nasila rozbudowywanie w stereotypie Polaka i Polski cech degradujących, antagonistycznych i wyraźnie Polakom nieprzychylnych.

Jeśli więc uwzględnimy wpływ XIX-wiecznej agresywnej, porozbiorowej, pruskiej i XX-wiecznej narodowo-nacjonalistycznej antypolskiej propagandy na świadomość obywateli niemieckich, propagandy sprowadzającej umiejętności, cechy i godność Polaków do obrazu podstępnej, zepsutej, hołdującej pijaństwu, niesubordynowanej i niestarannej, pracującej szybko, ale bez składu i ładu społeczności, jeśli do tego wizerunku – dodamy znane niemal na terenie całych Niemiec powiedzenie: „polnische Wirtschaft” – wyjaśniane w dialektach niemieckich, np. w Prusach jako „świńska gospodarka”, w Palatynacie jako „nieporządna gospodarka”, w Nadrenii i Westfalii jako „okropny bałagan” – powiedzenie, które stało się – począwszy od Wiosny Ludów – politycznym i populistycznym sloganem niemieckich nacjonalistów, dopatrujących się głównie w niedolności polskiej gospodarki przyczynę upadku państwowości – to otrzymamy trwający ponad 200 lat i oddziałujący na różnych płaszczyznach komunikacji i semantyki oraz etyki obraz międzysąsiedzkiej dyskryminacji i gospodarczej deprecjacji oraz etnicznej bezprzykładnej stygmatyzacji.

\*\*\*

Czy rozpowszechniony w XIX-wiecznych zwrotach, przysłowiach, literackich i gwarowych oraz potocznych wyrażeniach negatywny obraz Polski, reprezentowany przez splot stereotypów wyrażających się w sformułowaniu „polnische Wirtschaft” należy w Niemczech już do przeszłości? Chciałoby się powiedzieć, a może nawet krzyknąć: „Tak!”. Wizerunek ten, jednostronny i tendencyjny, nie rzadko wrogi i obraźliwy, powstał przecież w zgoła odmiennych warunkach historycznych, politycznych i społecznych i służył – przez ponad dwa stulecia – ideologii i polityce, wojnie i nacjonalizmowi? Nie może być inaczej. Pod koniec lat 80 ubiegłego stulecia, po bez mała 500 latach, kraj nad Wisłą otrzymał szansę politycznego samostanowienia i możliwość samourzeczywistnienia gospodarczego. Szansy wykorzystanej w pełni i z wielkim sukcesem. Po odważnej i wyjątkowo szybko przeprowadzonej reformie polskiej gospodarki, wbrew reformatorskim błędom oraz zaniechaniom, jak i społecznemu oporowi, który wpływał na szybkość legislacyjnego i transformacyjnego procesu i na zakres działań ekip rządowych, przeciw niekorzystnym ge-

opolitycznym realiom i przestarzałemu, zapóźnionemu i nieefektywnemu przemysłowi, szalejącej hiperinflacji i paraliżującemu widmu niewypłacalności – „kraj nasz wszedł w trwający już ponad ćwierć wieku okres nieprzerwanego wzrostu, co uczyniło nasz kraj pod tym względem wyjątkiem w skali całej Europy” – powie historyk, Antoni Dudek.

O ile ujemny gospodarczy i polityczny wizerunek Polaka i Polski, „zakonserwowany” w dziewiętnastowiecznych słownych kliszach i myśleniu, można potraktować jako przypadek specyficzny, dający się wyjaśnić i zrozumieć poprzez „historyczne” źródła, wynikające z tragicznej sytuacji obu narodów, o tyle do myślenia daje i niepokoi sytuacja aktualnej niemieckiej opinii publicznej o Polsce: kraju odbieranego nadal jako źródło niestabilnego i niezorganizowanego obszaru życia, myślenia i działania. W publikowanych co trzy lata socjologicznych, cyklicznych badaniach prestiżowej Fundacji Betelmsmanna, a dotyczących stosunków międzysąsiedzkich, jedno okazało się pewne: przeobrażenia na mapie politycznej i ekonomicznej Europy nie idą w parze z przeobrażeniami świadomości w tym. Transformacje zewnętrznych struktur gospodarczych i instytucji ustrojowych państwa nie zmieniają automatycznie uwewnętrznionych w świadomości społeczeństwa niemieckiego negatywnych emocjonalnych przesądzeń i pejoratywnych zachowań wobec Polaków i Polski. Owszem, podkreśla się wiele pozytywnych i zauważonych przez respondentów zjawisk inicjujących gospodarczy rozwój i akceptowanych cech Polaków: zamiast „lenistwa” wymienia się częściej naszą „pracowitość”, nasze pracobiorcze oddanie i zaangażowanie, bez względu na wykształcenie. Generalnie jednak nowa jakość gospodarcza i polityczna kraju nie wpłynęła na rzeczywiste polepszenie postrzegania i pogłębienie wzajemnego sąsiedzkiego poznania i zrozumienia. Kradzież samochodów, praca na czarno, nieodpowiedzialność, przestępczość, „blok wschodni”, alkoholizm i religijny konserwatyzm – to typowy repertuar wyobrażeń i skojarzeń przywoływany przez niemieckich uczestników badań wraz ze słowem „Polak” i „Polska”.

Nowy atrybutywnie, ukształtowany w warunkach rynkowych i prorozwojowy wizerunek kraju i Polaka-przedsiębiorcy nie dotarł jeszcze do szerszych kręgów społeczeństwa, w którym nadal pokutują ukształtowane w poprzednich stuleciach pejoratywne nazwy, reaktywne konstrukty i negatywne, przesyczone bądź wzgardą, bądź wielkodusznością obrazy. Stereotypowa klisza bezwolnego i zagubionego, skłóconego i niezdolnego do reform i politycznej zgody kraju, jaki utrwalił się na przestrzeni ostat-

nich dwustu lat w publicystyce niemieckiej, nie przemieniła się jeszcze w obraz dobrze funkcjonującego proeuropejskiego państwa parlamentarnego demokracji i rynkowej liberalnej gospodarki.

Tym, co łączy spojrzenia o Polsce prezentowane w niemieckich mass mediach, to koncentracja na różnego rodzaju aberracjach, odstępstwach od przyjętych norm i „polskiej egzotyce” – to skierowanie uwagi na sytuacyjne krańcowości i graniczne przestrzenie przekreślające możliwość zbudowania paradygmatycznie nowego, ześrodkowanego na gospodarczych sukcesach i pozytywnej wiedzy o naszym państwie obrazu. Wizualne desygnaty polskości to najczęściej masywne landszafty, podniszczone „poniemieckie” zagrody, z obowiązkową ponurością i krzyżem oraz furmanką w tle – wraz z obowiązkową jednozębną staruszką siedzącą na pamiętającej jeszcze czasy wojny ławeczce, naprędce skleconej przy przydrożnym straganie.

Wprawiane w medialny ruch „polskie” obrazy podkreślają do znudzenia „polską” uprzejmość, gościnność i dobrą, choć tłustą kuchnię. Tu i ówdzie podkreślając taniość rolno-spożywczych produktów czy zakupów oraz wychwalając uroki dalekich od wielkich miast urlopów. Innymi słowy, jeśli już „sięga się” w słowie czy obrazie po Polskę, to przeważnie z nostalgicznych pobudek czy potrzeb medialnej sensacyjności, a nie z rzetelnej chęci przekazu i informowania czy poszerzania o nasz kraj wiedzy. Prezentowany dyskurs o naszym państwie, nie konfrontowany z nową rzeczywistością i utrzymywany w „tradycyjnym”, mocno irytującym stylu i duchu, zamyka rodzącą się nową materialną i intelektualną, społeczną i kulturalną różnorodność w gorsecie nieszkodliwych i „uspakających” klisz oraz spauperyzowanych określeń. To, co uderza mnie „prywatnie”, jako wieloletniego mieszkańca tego kraju, to brak w niemieckim dyskursie o Polsce szerszej kultury rozpowszechniania pozytywnych osobowościowych i kulturowych, jak i gospodarczych wzorców i przykładów, które byłyby przeciwagą dla tych już funkcjonujących, „złych” i nienadających za zmianami, a przekazywanych w przestarzały sposób informacji. Niemieckim narracjom o Polsce brak czegoś zasadniczego: tego partnerskiego i autentycznego zainteresowania i podmiotowego traktowania, tej niesztampowej retoryki i nowoczesnej perspektywy, tej oryginalnie przedstawianej urbanistyki i handlowej infrastruktury zdolnej pobudzić zbiorową wyobraźnię i wskrzesić autentyczne zaciekawienie naszym państwem.

Choć składniki budujące pojęcie „polnische Wirtschaft” podlegały w języku i kulturze niemieckiej na przestrzeni ostatnich wieków rozmaitym znacze-

niowym przemianom, minimalizowaniu bądź hiperbolizacji, choć obecnie negatywny zwrot stosowany jest rzadziej – w relacjach międzysąsiedzkich dominuje do końca lat 90. ubiegłego stulecia myślenie deprecjacyjne wobec Polski, które buduje własny charakterologicznie korzystny wizerunek i pochlebne społeczne właściwości w oparciu o rozpowszechniony gospodarczy negatyw „polnische Wirtschaft”. A tak było na początku lat 80. poprzedniego stulecia – za sprawą wyznaczonej przez Solidarność strategii strajkowej i w czasie wprowadzania stanu wojennego. To wtedy dało się zauważyć – w karykaturze i publicystyce, na co zwraca uwagę Hubert Orłowski – nawijanie w Republice Federalnej Niemiec do nacjonalistycznej aksjologii i gospodarczej nieprzychylniej mitologii; do szybkiego i rygorystycznego zamykania Polaków, ich wolnościowych pragnień i działań, spraw i ludzkich dramatów, w ciasnych trumienkach idiosynkratycznych określeń. To w ten czas naprzeciwko „polnische Wirtschaft” – synonimu nieporządku, niechęci do pracy i braku organizacji – stanął dumnie jeszcze raz niemiecki „Ordnung” symbolizowany przez ład i gospodarność, pracobiorcze zdyscyplinowanie i logicznie zorganizowane instytucjonalne i socjalne struktury. Co warte odnotowania, niepochlebny zwrot „polnische Wirtschaft” przytoczony został w 1992 roku w prestiżowym, a wydanym we wszystkich niemieckojęzycznych krajach słowniku Dudena. Przywołanie zdawałoby się przebrzmiałego i anachronicznego stereotypu uzasadniono tym, że wyrażenie to stosuje się w języku potocznym i opiera się – jak pisze Tomasz Szarota – „na starym przesądzie, zgodnie z którym Polaków (podobnie jak i inne grupy narodowe) postrzega się jako ludzi niedbałych i niechlujnych”.

Ale, aby uniknąć niebezpiecznej generalizacji zjawisk dotyczących niemieckiej recepcji Polski, trzeba zaznaczyć i to, na co zwracają uwagę autorzy socjologicznych i socjometrycznych badań: iż z większą przychylnością i życzliwością o Polsce i jej gospodarczych i społecznych dokonaniach wyrażają się przedstawiciele biznesowego i polityczno-naukowego establishmentu. Grupy społeczno-zawodowe od lat współpracujące z polskimi firmami i urzędami czy instytucjami bądź na terenie naszego kraju, bądź na międzynarodowym parkiecie. Zdecydowanie pozytywniej widzi nasz kraj i jego mieszkańców otwarta, studiująca i podróżująca po kraju młodzież bądź osoby, które z racji profesji czy autentycznej chęci poznania Polski przekonały się naocznie o rozmaitych – infrastrukturalnych i urbanistycznych – dokonaniach i radykalnych przemianach. Mogły dokonać zakupów w ultranowo-

czesnych, imponujących architektonicznie handlowych galeriach i poruszać się komfortowo, bezpiecznie i szybko wewnątrz kraju: po „pachnących” rozwojem i lśniących nowiutką nawierzchnią „ekspresówkach” i autostradach – ciągle rozbudowywanej i integrującej kraj komunikacyjnej sieci.

Generalnie jednak: negatywny obraz Polski wyłania się z istniejących w społeczeństwie niemieckim silnych uprzedzeń dominatywnych, które „polską inność”, każdą zresztą sąsiedzką inność, każą postrzegać jako mniej godną zaufania, szacunku i mniej wartościową, a mieszkańców naszego kraju widzieć przez pryzmat oksymoronicznych przeciwieństw, przeszłościowych stereotypowych deficytów i upośledzeń. Choć bywają wyjątki, wyniki wspomnianych kwerend w przedstawianiu polskiej rzeczywistości ujawniły – generalnie mówiąc – zastój, by nie rzec: regres procesu rewaloryzacji nieżyczliwego obrazu Polski i Polaka – w przeważającej części nieadekwatnego do współczesnego oblicza kraju. Dyskurs w Niemczech o Polsce jest nadal dyskursem typu reaktywnego, paternalistycznego, replikującym najczęściej na pejoratywne wydarzenia, pozostawiającym pozytywne zjawiska w cieniu uwagi.

Dyskurs ten stroni na ogół od obrazów Polski współczesnej, tej nowej, zresetowanej: dynamicznie rozwijającej się i stale zmieniającej; tej dobrej, zintensyfikowanej w rozwoju i wypełnionej niezwykłymi faktami i osobami – ciekawej świata, nowoczesnie przemysłowej i planowo zorganizowanej rzeczywistości. Ten instrumentalny i uproszczony stosunek do naszej podmiotowej kulturowej, politycznej i gospodarczej inności, zwyczajnej ludzkiej i sąsiedzkiej odmienności i różnorodności jest (niestety) irytujący i widoczny po dziś dzień w niemieckim myśleniu o naszym kraju. W myśleniu tym zwykła polska pozytywna codziennosc, ta nowa, tworzona z rozmachem i zorganizowana, nowoczesna oraz wyłaniająca się z gospodarczych sukcesów, nie pojawiła się jeszcze. Inaczej mówiąc, nasze obecnie toczące się życie, z jego indywidualnymi, optymistycznymi i bogatymi dokonaniami oraz rozwojowymi możliwościami, przyszłościowymi pragnieniami i realizującymi się projektami i pomysłami, uwięzione zostało w stypizowanych obrazach zabląkanego i chwiejnego kraju, który nie panuje w pełni nad własnymi żywymi okolicznościami i państwowym losem; kraju wypełnionego problematycznymi ludźmi i to takimi, którzy nie dają sobie rady, żyją z dnia na dzień pośród trosk i biedy, konfliktów i skandali. A jeśli już sobie radzą, to głównie dzięki kombinatorstwu i złodziejstwu, w krańcowych warunkach i w okresie ciężkich prób.

Polak i Niemiec, żyjący od wieków obok siebie – pomimo trwających prób zrozumienia i zacieśniającej się politycznej, społecznej czy kulturalnej współpracy – pozostali dla siebie zagadką. Mglistym i pozbawionym wyraźnej tożsamości i semantycznej jakości, kłębiącym się epistemologicznym i socjologicznym i psychologicznym Obcym. Unosząca się ponad wiekami niemiecka opowieść o „strasznym i leniwym, brudnym Polaku” przechodzi stopniowo do lamusa. Powoli jednak i z ociąganiem. Utrwalony w niemieckojęzycznych publikacjach stereotyp Polaka jako nieporządnego gospodarza został w ostatniej dekadzie poważnie zachwiany, lecz nie zburzony przez wydarzenia ostatnich dwudziestu lat. Choć wyniki socjometrycznych badań renomowanej Fundacji Beterlsmana z roku 2019 wskazują na korzystniejsze postrzeganie Polaków przez Niemców, wzbudzając nadzieję na poprawę „Polenbild” w tym społeczeństwie, to nie powinniśmy mieć złudzeń: utrwalone w pamięci języka, oświaty i niemieckiej kultury myślowe klisze artykułowane w fantazmacie „polnische Wirtschaft”, wielowiekowe konflikty społeczno-polityczne i traumatyczne doświadczenia ostatnich dwóch wojen, nie pozwalają łatwo i bez oporów przemienić wizerunku Polaka-nieudacznika, państwowego grafomana, i nieobliczalnego romantyka-patrioty w obraz racjonalnego i zdyscyplinowanego mieszkańca i obywatela, który budzi zaufanie i wywołuje potrzebę komunikacji oraz współpracy. Tu i ówdzie narracje piętnujące i deklarykujące sąsiada ze Wschodu poprawcają, niszcząc przestrzeń koegzystencji i toczącego się dialogu oraz wzajemnego porozumiewania i akceptacji. Na chwilę groźna „opowieść z przeszłości” rozdziera wspólną przestrzeń i pokojowe wysiłki międzysąsiedzkiego rozumienia – wpędzając myśl w niepokojącą, zatruwającą lekceważeniem i wrogością, wytwarzającą dystans manichejską przestrzeń słowa „Polacken”.

Myślenie stereotypami, selektywne myślenie, poznawanie przeprowadzane w kategoriach typizacyjnych schematów i sensów – obrazuje generalną niemożność wyrażenia przez świadomości całości jawiącego się w doświadczeniu świata. Stereotypy myślowe i językowe oraz kategoryzacyjne uzmysławiają mechanizm uczenia się życia w zmieniającym się środowisku poprzez stosowanie klisz epistemologicznych służących próbie porządkowania i rozumienia drugich i doświadczonej rzeczywistości. Tak więc niechęci i dezaprobującej wiedzy o Polsce w Niemczech nie da się właściwie zrozumieć, nie uwzględniając – podkreślmy – podstawowych psychologicznych mechanizmów postrzegania

i powstawania międzysąsiedzkich poznawczych schematów. Albowiem stereotypowe przed-sądy dotyczące przygranicznych sąsiadów i sąsiedztwa szeroko rozumianego nie są wyrazem czasu terażniejszego i produktem werbalizowanego na bieżąco stosunku jednej społeczności do innej. Są przejawem o wiele starszego systemu myślenia – ksenofobicznego.

Powiedzmy tak: stereotyp – ta świadoma bądź nieświadoma rezygnacja z wysiłku przekazu wielości i różnorodności świata i ludzi – a „*polnische Wirtschaft*” nie jest tutaj wyjątkiem – to zgeneralizowane pojęcie, w którym upatruje się prawdziwego reprezentanta przedstawienia świata zobiektywizowanego w języku. Coraz częściej uważa się, że stereotyp osobowy, narodowy czy etniczny – zgodnie z najnowszymi badaniami – jest przejawem „zamkniętego myślenia”, odzwierciedlającego przed-sądy o innych i inności, które okazują się być „samo-osądami – oświeceniem samego wyrażającego się o świecie podmiotowego myślenia, a nie rzeczywistym głosem na temat tego świata, innego narodu czy grupy” – jak zauważą Jan Bernting i Christiane Villain-Gandossi.

„Odwieczny” problem stereotypowego postrzegania i przedsądzenia Polaków przez Niemców, ale i Niemców przez Polaków, związany był i jest nadal z ruchem „cywilizacyjnego zegara”, którego wskazówki przesuwają się zgodnie z postępowaniem cywilizacyjnym, kulturowym i krystalizowaniem się państwowej struktury i siły. Zegara kroczącego dumnie i patrzącego z wyższością – poczynając od południa i idąc na północ Europy, a później od zachodu na wschód – na cywilizacyjnie zapóźnione i dopiero co organizujące się społeczności i etniczne grupy. Jak wykazały badania Szaroty, przywołany negatywny wizerunek Polaka w oczach Niemców, był wcześniej obrazem Niemca w epoce Renesansu dla Włochów i później Francuzów, ucieleśniającym wizerunek barbarzyńcy, prostaka i pijaka. Nie zapomnijmy także, że określenie „*made in Germany*”, dziś gwarantujące najwyższą jakość towaru i usług – w oczach XIX-wiecznych Brytyjczyków było, odwrotnie, synonimem drugoklasowych bubli i użytkowego rynkowego chłamu, a sami Niemcy przedsięwzięci postrzegani byli jako złodzieje pomysłów i podrabiacze brytyjskich, cieszących się na świecie najwyższą renomą towarów, wyznaczających w początkach industrializacji technologiczne i estetyczne standardy.

A i dzisiaj sąsiadujące ze sobą społeczeństwa, konkurujące ze sobą i walczące – na różne sposoby – o sukces, prestiż i dominację w jakiejś dziedzinie, przypisują niezmiennie wady własnym Sąsiadom. Charakterystyczna złośliwość Francu-

zów wobec Niemców i Niemców wobec Holendrów i *vice versa* – zdaje się sugerować, iż zjawisko narodowej niechęci do innych, ksenofobii i w skrajnych formach nacjonalistycznego szowinizmu – nie zamarło. System myślenia deprecjonujący sąsiada i inną etniczną grupę funkcjonuje do dzisiaj, choć w mniej widocznych, a bardziej zniuansowanych i subtelniejszych formach i zachowaniach. Ten proces rozprzestrzeniania się i przemieszczania na Wschód narodowych klisz i uprzedzeń w stosunku do niezintegrowanych i słabszych gospodarczo narodów daje się zaobserwować aktualnie w relacjach Polaków z Białorusinami, Rosjanami i Ukraincami. Na terenach przygranicznych można było „czasach pokoju” zobaczyć „na żywo” ten proces dezawuacji statusu i wartości wschodnich sąsiadów i mniej lub bardziej widoczny ton wyższości polskich pracodawców wobec nieprzebranej rzeczy głodnych sukcesu i chleba pracobiorców z Białorusi czy Ukrainy. Polskie misjonarstwo cywilizacyjne i moralna wyższość okazywana przez polskich przedsiębiorców przemieszane były z moralnym rezonowaniem i instrumentalizowaniem wschodnich aspirantów unijnych.

Można chyba rzec, iż obydwa narody uległy w przeszłości wyrokom stereotypowego postrzegania. Narodowe myślenie o drugich jako Innych stało się ofiarą własnych poznawczych klisz redukujących społeczną i kulturową inność, różnorodność i niepowtarzalność do zgeneralizowanego i uproszczonego znaku i znaczenia, ogłaszając je za jedyny i właściwy sposób postrzegania i pojmowania sąsiedzkiej rzeczywistości. Refleksja nad polskim habitusem narodowym w Niemczech poucza, że musimy ponownie, uważnie i spokojnie przyglądać się Sąsiadowi, wsłuchiwać w niego, ale bez prób szybkiego, groźnego i automatycznego zamykania go w ciasnych trumienkach negatywnych pojęć i idiosynkratycznych określeń. Dopiero pełne uświadomienie sobie stereotypowych sposobów postrzegania oraz pułapek deprecjacyjnych i prześladowczych ksenofobicznego i ofiarniczego myślenia pozwala zrozumieć z jednej strony tło i psychologię powstawania zbiorowych wizerunków; z drugiej, pozwala uznać ich – paradoksalnie – antropologiczną i epistemologiczną konieczność. Zastępując sąsiedzkie uprzedzenia i strach przed Obcym i Nieznanym – pozwoli to podejście (po obu stronach Odry) pokazać, że międzyludzkie i międzysąsiedzkie poznanie i rozumienie nie jest wolne od wysiłku. Że – aby wzajemnie i dobrze się poznawać – trzeba krytycznej i uczciwej pracy umożliwiającej ucieczkę od łatwych i uproszczających klisz, zamykających drogę do prawdy o drugim człowieku.

Co zrobić, ażeby poprawić wzajemne polsko-niemieckie gospodarcze i polityczne relacje, uczynić współsąsiedzkie bycie i postrzeganie bardziej pozytywnym, racjonalnym i godnym zaufania? Trzeba inwestować w kontakty – jak celnie ujęła to Agnieszka Łada z Instytutu Spraw Publicznych. Potrzeba nowych wspólnych planów i celów, nowych rozwojowych i zespołowych zadań do wykonania oraz obywatelskich wspólnych przedsięwzięć. Dopiero spotkania indywidualnych osób i grup oraz nieformalne kontakty między państwami nadają, jak się zdaje, międzysąsiedzkiej przestrzeni i komunikacji znak nieideologicznego i niewyidealizowanego żywego charakteru. Albowiem im różnorodniejsze i intensywniejsze są kontakty, tym postrzeganie sąsiada i jego kraju jest lepsze i bogatsze.

Polakom i Niemcom potrzeba stałej – indywidualnej i grupowej – ożywionej wymiany i współpracy, rozjaśniającej mroki międzysąsiedzkie, pełne niedomówień i groźnych uogólnień. Słowem: potrzeba nam nowych intersąsiedzkich wyzwań i wspólnie święconych sukcesów. Tomasz Szarota, historyk, analizując genezę i losy „*polnische Wirtschaft*”, powiedział, iż od nas samych zależy, żeby to stare porzekadło jak najszybciej stało się zupełnie nieaktualne, a może nawet przekształciło się w komplement. Historyczne i prorocze to słowa. Oczywiście dotyczy to ludzi otwartych, gotowych weryfikować stare społeczne i gospodarcze stereotypy i przed-sądy. Chodzi o osoby krytyczne, gotowe myśleć pod prąd i otwierać się na „sąsiedzkich spotkaniach” na odmienną i rodzącą się podczas nich szansę zrozumienia. Sami jesteśmy odpowiedzialni i Niemcy, i Polacy, za stan posiadanej wiedzy o sąsiadach. Należy wzbudzać wszelkimi dostępnymi środkami wolę sąsiedzkiego zbliżenia i po-rozumienia.

Jak powiedział przed laty Wojciech Wrzesiński – zawsze większe znaczenie dla odmitologizowania przeszłościowych, toksycznych, międzysąsiedzkich uprzedzeń, antagonizujących i kłamliwych klisz „miały zmiany wewnętrzne po obu stronach granicy, niż wcześniejsze zmiany w stosunkach między państwowymi. Potwierdza to reguła – podkreśla historyk – znana z doświadczeń innych narodów, że demokratyczne systemy rządów tworzą warunki, dzięki którym osłabnie wpływ na życie polityczne stereotypów etnicznych, opartych na emocjach i nie zawsze racjonalnym rozumowaniu, kształtowanych w atmosferze uprzedzeń i fobii, selekcyjnych wyłącznie doświadczenia negatywne. Nowe warunki pozwalają na włączenie odmiennych mechanizmów wyboru i selekcji, czego rezultatem są inne stereotypy powstające dopiero na naszych oczach.”



# Ze starej załęskiej skrzyni

MIROŚLAW KLIMKIEWICZ

Najkrótsza droga z Gliwic do Ligoty Łąbedzkiej biegnie dawnym traktem przez Stare Łąbędy. Uważny obserwator dostrzeże po prawej stronie pradolinę Kłodnicy, która majestatycznie kształtuje kulturowy krajobraz tej części Górne-go Śląska. Dojeżdżając samochodem do Starych Łąbedz znajdziemy się w kłopotcie, ponieważ nagle dobry asfalt się urywa, czy też skręca w stronę Łąbedz przez Kanał Gliwicki, a w kierunku zachodnim zaczynają się drogi nieutwardzane, swoiste wertepy, trudne nawet dla rowerzystów, ze względu na liczne koleiny i kałuże. Miejscowi nazywają tutejsze dwie drogi, łączące Stare Łąbędy z Ligotą Łąbedzką, „Kasztanówką” oraz „Czarną Drogą”. Obydwie rozpoczynają się mniej więcej w pobliżu zrujnowanego folwarku i dawnego pałacu rodu von Welczek. Od XIII wieku na terenie Łąbedz istniało siedlisko (wieś rycerska). Świadczą o tym zachowane stanowiska archeologiczne, ukryte w labiryncie Kanału Gliwickiego, bliższy mu Kłodnicy i torów kolejowych.

Co mnie przywiodło 27 sierpnia do Ligoty Łąbedzkiej, zwanej dawniej Kradziejowską? Z pewnością urokliwość krajobrazu, dzieje wsi, ale przede wszystkim – gość spotkania zorganizowanego przez lokalne Koło Gospodyń Wiejskich oraz Klub Twórców Górnośląskich „Karasol”. W budynku dawnej wiejskiej szkoły, gdzie cze-

kały na zebranych pyszne śląskie kołoczki, odbyło się spotkanie autorskie z Gintrem Pierończykiem, emerytowanym górnikiem, mieszkańcem katwickiego Załęża, autorem książek o swojej małej ojczyźnie, by wspomnieć trylogię załęską: „Asty kasztana” (2014), „Synka z familoka” (2016) „Kleofasa w zyciorys wpisanego” (2016) oraz kolejne pozycje, w tym opracowaną wspólnie z Aleksandrą Różycką i Janem Gąsiorem „Historią Załęża cegłą pisaną”, dokumentującą pierwsze załęskie domy z cegły, ponadto – wydaną w roku 2018 książkę „Meandry załęskiego sportu” oraz „Plecionkę” (2019). Warto nadmienić, że pisarz jako pierwszy został uhonorowany tytułem „Przyjaciela Załęża”.

Spotkanie poprzedziło posadzenie przez gościa drzewa dedykowanego „Twórczym Śląsk”. Sadzenie drzew w Ligocie Łąbedzkiej zapoczątkował w 2021 roku przyjaciel autora wymienionych książek oraz współtwórca „Karasola”, Aleksander Lubina, przygotowując tym samym grunt pod obchody 725-lecia rodzinnej wsi.

Pierwsza wzmianka o Ligocie Łąbedzkiej pochodzi z roku 1297. Jak pisze Aleksander Lubina w przygotowywanej do druku monografii historycznej tej wsi „sama lokacja osady była wówczas prawną nowością, na mocy której obok starych miejscowości, lokowanych lub na nowo lokowanych na prawie pol-

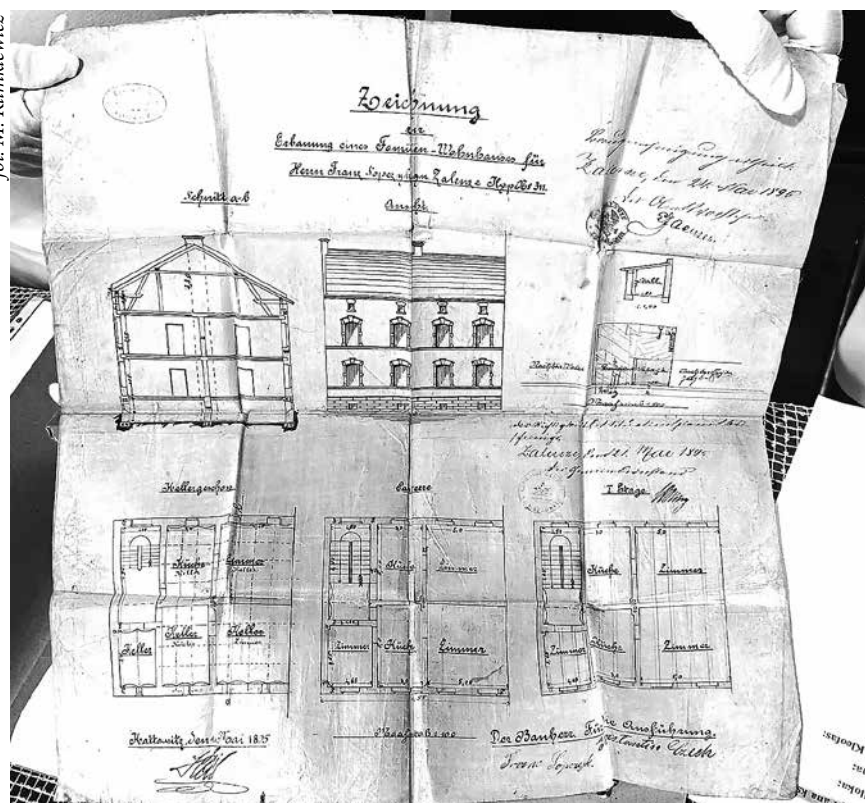
skim lub niemieckim, zakładano wioski zwolnione przez dłuższy okres z powinności dziesiętnych. W początkowym okresie lokacji wioski osadników zwalniano od opłat i czynszu na rzecz pana gruntowego. W tym też czasie mieli oni wykarczować las, osuszyć bagniste tereny i stworzyć z nich grunty rolne, a także wybudować domostwa i zabudowania gospodarcze, by w końcu osiągnąć zyski z produkcji rolnej. Wioski, w których wolnizna obowiązywała do 12, a nawet do 24 lat, nazywano „Lgotą” lub „Elgotą” (niem. Ellguth)”.

Wróćmy jednak do spotkania z autorem książek wpisanych w historię katwickiego Załęża. Jak podaje portal Silesia Progress, we wstępie do książki Michała Smolorza „Śląsk wymyślony”, Ginter Pierończyk natknął się niegdyś na zdanie „Być może wspólnymi siłami uda się poważną część Śląska – tego ‘niewymyślonego’ – z sejfów wydobyć, odhibernować i przywrócić do życia”.

Czy tylko ta myśl skłoniła emerytowanego górnika do poszukiwania śladów jego przodków? Otóż nie! Bezpośrednim impulsem do poszukiwania śląskich korzeni było odkrycie na strychu rodzinnego domu zakurzonej skrzyni, przechowywanej pamiątki rodzinne z XIX w. Na spotkaniu autor „Ast kasztana” pokazał i opowiedział zebranym o dwóch dokumentach: opracowanym ręcznie przez mistrza budowlanego w roku 1895 planie rodzinnego ceglano-ceglanego domu (o czym świadczy zachowana, na pergaminowym dokumencie, owalna pieczęć z napisem „Erich Kail, Maurer & Zimmermeister, Kattowitz O/S”) oraz o książeczce wojskowej przodka (Militair-Pak) z wpisem z 4 listopada 1872 r. Odnalezione przez przypadek archiwalia, godne spoczynku w jednym z regionalnych muzeów, stały się zaczątkiem dalszych poszukiwań i ciekawości autora trylogii załęskiej, przyczynkiem do zadawania kolejnych pytań.

Na wielu z nas czeka ukryta w zakamarkach rodzinnych archiwów, skrzyń czy starych szaf, historia o naszych przodkach. Być może wnikliwe poszukiwania doprowadzą nas do odpowiedzi na pytania, które gdzieś głęboko w nas siedzą, a ciągle nie mamy odwagi aby się z nimi zmierzyć? Dla mnie spotkanie z Gintrem Pierończykiem to kolejna okazja i motywacja do działania, aby odnajdywać, dokumentować, chronić rodzinne śląskie fotografie i dokumenty. Każda taka pamiątka niesie za sobą ciekawą historię i można wokół niej budować narracje. Czas płynie nieubłaganie. Jeśli nie my, to kto...?

fol. M. Klimkiewicz



Ginter Pierończyk pokazuje plan budowy rodzinnego domu z roku 1872

**P**restiżowa ulica miasta ma pecha: najpierw długo, i nie bez iskrzenia, uzgadniano koncepcję. Kiedy już powstała, Zarząd Dróg Miejskich w Gliwicach trzykrotnie przygotowywał przetargi na projekt budowlany, a kiedy wreszcie wybrano firmę, okazało się, że „nie spełnia oczekiwań” miasta. Projekt, konsultowany społecznie, zawieszono w grudniu 2020. W roku 2022 urzędnicy znowu deklarują chęć zmian.

### Wilhelmińska – dobry adres

Łąki rozpięte między Kłodnicą, potokiem Wiedeńskim a Kanałem Kłodnickim interesowały miejskich urzędników od dawna. Chcieli, żeby rozwijające się Gleiwitz miało coś więcej niż tylko ulicę, której daleko było do „nowoczesnych” założeń. Wizyty na łąkach i intensywne poszukiwania bezpośredniego połączenia rynku z dworcem przyniosły w latach 1875–80 decyzję o wytyczeniu nowego traktu – Wilhelmstrasse – ulicy, która w niespełną dekadę stała się głównym i najbardziej reprezentacyjnym miejscem w mieście.

W roku 1894 poprowadzono linię tramwajową, w latach 1908–10 położono nową instalację elektryczną, wodną i gazową, wprowadzono nowe nawierzchnie – kostkę granitową i kamienne płyty chodnikowe. To na Wilhelmińskiej lokowały się restauracje i hotele, tu chcieli mieszkać przemysłowcy z Wrocławia, Berlina, Bytomia czy Katowic. Śledząc historię własności poszczególnych kamienic, widać mozaikę klas społecznych, zawodów i narodowości. Wilhelmstrasse ulubili sobie fabrykanci, restauratorzy, hotelarze, bankierzy, przedsiębiorcy i mistrzowie budowlani. Zachwycała, i nadal tak jest, bogactwem stylów i tendencji artystycznych w architekturze – od historyzmu, poprzez eklektyzm, neobarok, neogotyki, modernizm do ekspresjonizmu.

### Zwycięstwa nieżywa

Jeszcze w latach 60. i 70. XX wieku jedna z najpiękniejszych dziewiętnastowiecznych ulic w Polsce miała się całkiem nieźle. Wyrugowano wprawdzie wszystko, co niemieckie, ale w dawnych sklepach, restauracjach, drogeriach, dalej były... sklepy, restauracje i drogerie, tyle że z polskimi szyldami. Cieszyły oko charakterystyczne markizy, przemysłane aranżacje witryn czy neony, zaś rytm ulicy wyznaczał tramwaj.

Powolna śmierć Zwycięstwa rozpoczęła się wraz z transformacją lat 90. Coraz mniej liczyła się spójność historyczna i architektoniczna. Coraz łapczywiej patrzono na frontony kamienic, widząc w nich przede wszystkim dobrze zarabiającą powierzchnię reklamową. Duch nowych czasów przywiął na Zwycięstwa przede wszystkim banki. Obrazu upadku dopełniła likwidacja tramwaju – uli-

# Zwycięstwa do zmiany

MAŁGORZATA LICHECKA

ca straciła charakter i z prestiżowego miejsca stała się miejscem bez wyrazu.

Przez dwie dekady miasto nie miało pomysłu na ożywienie ulicy. Społecznicy wielokrotnie podnosili kwestię koniecznych zmian. Trzeba było odczarować Zwycięstwa i zwrócić ją mieszkańcom.

### Mieszkańcy czują Zwycięstwa

I projektanci z tego skorzystali. Momentem przełomowym okazał się wrzesień 2017 r.: miasto ogłosiło wówczas przetarg na przygotowanie koncepcji zmian na Zwycięstwa, a wygrała go gliwicka pracownia architektoniczna PROJARCH, która w roku 2018 przygotowała projekt nowej Zwycięstwa. Koncepcję wypracowano ramach spotkań z mieszkańcami, Gliwicką Radą Rowerową, radą dzielnicy, liderami społecznymi, słuchając mieszkańców, którzy, jak nikt inny, czują ulicę.

### Jaka miała być Zwycięstwa?

Przynajmniej w pierwszym okresie wprowadzania zmian, nie zakładano wyłączenia jej z ruchu, przewidziano natomiast zwężenie jezdni do około siedmiu metrów (teraz ma 12 m). Po konsultacjach z Gliwicką Radą Rowerową nie wprowadzono separacji ruchu samochodowego od rowerowego. W ciągu Zwycięstwa rozplanowano zatoki autobusowe i przystanki, a dozwolona prędkością miała być 20 lub 30 km/h. Założono zmianę funkcji chodników: te po prawej stronie, w osi od rynku do dworca, zyskałyby wydzielone miejsca do rozładunku dostaw oraz pas dla kawiarnianych ogródków. Ważnym elementem traktu miały być siedziska, rozmieszczone również wokół drzew, oraz ławeczki. Drugi chodnik służyłoby do szybkiego przemieszczania się. Projektanci zaproponowali wiele oznaczeń dla osób niepełnosprawnych, na przykład pylony z napisami w języku Braille'a.

Warianty złożone w 2018 roku do Urzędu Miejskiego i Zarządu Dróg Miejskich w Gliwicach wskazywały na zachowanie dotychczasowego oświetlenia, jednak uzupełnionego o dekoracyjne, montowane w chodnikach, podświetlające elementy małej architektury, ławki, przysiadki, siedziska czy drzewa. Z obiektów kubaturowych zaplanowano wiaty przystankowe ze szklanych elementów, nieco futurystyczne, aczkolwiek dobrze współgrające z secesyjną zabudową Zwycięstwa.

Jezdnię zakomponowano z kostki granitowej z mniejszymi niż na starówce fugami, chodniki natomiast z betonu i kamienia z drobnymi elementami klinkierowymi, jako kompozycyjnymi przeryw-

nikami w nawiązaniu do charakteru ulicy. Tyle koncepcja, do dziś niezrealizowana.

### Dlaczego nie wprowadzono zmian?

Miasto tłumaczy się tak: modernizacja ul. Zwycięstwa oraz budowa Centrum Przesiadkowego to dwie niezwykle ważne inwestycje w samym centrum miasta i nie ma możliwości jednoczesnej realizacji tak dużych przedsięwzięć w jednym czasie ze względu na wiele utrudnień, które by się z tym wiązały. Budowa Centrum Przesiadkowego już wymusiła duże zmiany w poruszaniu się po mieście. Powiązanie tej inwestycji z pracami na ul. Zwycięstwa tylko by spotęgowało problemy.

Urzędnicy wskazują, że układ komunikacyjny w centrum miasta jest już zupełnie inny niż cztery lata temu: budowa wspomnianego Centrum placu przed dworcem, zmiany na placu Piastów. Ich zdaniem to właśnie teraz jest to dobry moment, by jeszcze raz przeanalizować plany i zapytać mieszkańców, jak w ich opinii powinna wyglądać ul. Zwycięstwa. Zastrzegają, iż nie chodzi o to, by istniejącą koncepcję wyrzucić do kosza i negować wcześniej przeprowadzone konsultacje, a o to, by wypracować takie rozwiązania, które najlepiej będą odpowiadały na aktualne i przyszłe potrzeby.

### Konsultacje na jesieni

Stąd konsultacje społeczne, które zaplanowano do 30 września (w oparciu o koncepcję firmy PROJARCH). Jednak nie po to, by wymyślić „na siłę” nowe rozwiązania, ale po to, aby sprawdzić co do rozwiązań zaproponowanych przez jej twórców można jeszcze dodać. Biorąc pod uwagę czas, jaki minął od wykonania koncepcji oraz zmiany jakie zaszły, chcemy poznać zdanie gliwiczian i dać szansę wypowiedzieć się mieszkańcom – mówi Łukasz Oryszczak, rzecznik prezydenta.

Konsultacyjna ankieta składa się z sześciu pytań dotyczących przyszłej nowej Zwycięstwa, na przykład częstotliwości korzystania z ulicy, tego co mieszkańcy tam robią (pracują, załatwiają sprawy urzędowe, prowadzą firmy, korzystają turystycznie), sposobu poruszania się (pieszo, samochodem, autobusem, rowerem, hulajnogą elektryczną), deficytów funkcjonalnych (czy brakuje sklepów, kawiarni, obiektów rozrywkowych, punktów rzemieślniczych), małej architektury i zamknięcia lub nie dla ruchu. Wyniki konsultacji będą znane dopiero pod koniec 2022 roku, jednak, jak wynika ze słów prezydenta Adama Neumanna na zmiany na Zwycięstwa jeszcze poczekamy i to prawdopodobnie aż do roku 2024.



*W roku 2022 gliwicka ulica Zwycięstwa skończyła 147 lat. Dziś ta prestiżowa miejska przestrzeń jest praktycznie wymarła i wciąż czeka na obiecane zmiany. Powolna śmierć Zwycięstwa rozpoczęła się wraz z transformacją lat 1990. Coraz mniej liczyła się spójność historyczna i architektoniczna, o której, z różnych względów, nie chciano pamiętać. Fot. Michał Buksa*



*Pracownia architektoniczna PROJARCH przygotowała projekt nowej Zwycięstwa (2018). Koncepcję wypracowano w ramach spotkań z radą dzielnicy, Gliwicką Radą Rowerową, liderami społecznymi, słuchając mieszkańców, którzy, jak nikt inny, czują ulicę. Tak wygląda wizualizacja zaprezentowana przez architektów.*



Halina Romaniszyn – pomysłodawczyni i główna organizatorka wiślańskiego festiwalu



Żywiolowa skrzypaczka Dominika Jurczuk-Gondek z bielskiej „Grupy Furmana”



Miłośnicy muzyki country w charakterystycznych strojach byli wszechobecni w sercu Beskidu Śląskiego

# Country na szczycie

ZBIGNIEW LUBOWSKI

Wiara w renesans czystej wody dominowała zdecydowanie podczas XXII Beskidzkiego Pikniku Country „Wiślaczek-2022”. Motywem przewodnim wakacyjnego festiwalu były nieśmiertelne standardy z repertuaru pamiętnej grupy Creedence Clearwater Revival (USA), która zyskała ogromną popularność na całym świecie w latach 1967–1972. Przeboje CCR – zespołu o frapującej nazwie wodnej – rozbrzmiewały w ciekawych interpretacjach wykonawców z różnych stron kraju.

Dwudniowa impreza zorganizowana w przedostatni weekend sierpnia ściągnęła do Wisły liczne grono miłośników muzyki country z najdalszych zakątków Polski. Ubrani w stylowe stroje kowbojskie wyróżniali się wśród turystów i wczasowiczów w sercu Beskidu Śląskiego. To już wieloletnia tradycja wiślańska. Beskidzki festiwal jest przecież – obok mrągowskiego pikniku country – jedną z dwóch znanych i cenionych w całym kraju imprez poświęconych ekspresyjnej muzyce, inspirowanej amerykańskimi balladami kowbojskimi.

## Z domieszką rock'n'rolla

Wybór przewodniego motywu tegorocznej edycji „Wiślaczka” nie był przypadkowy. – Twórczość amerykańskiej formacji CCR, zafascynowanej muzyką z pogranicza country i korzennego rock'n'rolla, cieszy się do dziś dużym zainteresowaniem wielu melomanów. Są w Polsce zespoły, które popularyzują jej niezapomniane szlagiery z niesamowitą energią i prawdziwą

pasją – wyjaśnia Halina Romaniszyn, pomysłodawczyni i główna organizatorka festiwalu. Warto jednak odnotować, że wakacyjna impreza w stylu country u podnóża Beskidów nie doszłaby w ogóle do skutku bez wsparcia ze strony Wiślańskiego Centrum Kultury, które od 1999 roku sprawuje pieczę nad tym cyklicznym przedsięwzięciem.

Koncerty i widowiskowe pokazy taneczne odbywały się nie tylko w samym kurorcie, ale i nad miastem. Na wysokości 672 m n.p.m. ustawiono specjalną estradę obok górnej stacji wyciągu krzeselkowego SKOLNITY (w bezpośrednim sąsiedztwie tegorocznej nowości: potężnej siekiery – wizerunkowego symbolu szczytu górskiego w paśmie Czantorii).

W sobotę 20 sierpnia zaprezentowała się tam stołeczna grupa „Strefa 50”, grając i śpiewając dla widzów, którzy dotarli na miejsce akcji wyciągiem z Wisły. Muzycy potem przyznali, że po raz pierwszy w życiu występowali przed publicznością w tak niezwykłym miejscu.

Inne występy zorganizowano już w bardziej tradycyjnych realiach – na śródmiejskim placu Hoffa, a przede wszystkim w wiślańskim amfiteatrze. Kapryśna pogoda nie sprzyjała zbyt wiele plenerowym atrakcjom. Nie więc dziwnego, że w niedzielę 21 sierpnia przeniesiono wszystkie koncerty do zadaszonego amfiteatru. Tłumnie zgromadzona publiczność miała okazję obejrzeć i wysłuchać przez dwa dni wykonawców z Bielska-Białej, Gliwic, Krakowa, Ostrołki, Pszowa i Warsza-



foto: Z. Lubowski

wy. Widzowie żywiłowo reagowali na ekspresyjne dźwięki country, tańcząc spontanicznie pod dachem amfiteatru.

## Energia płynęła ze sceny

Trzy z zaproszonych zespołów przypomniały wielkie hity skomponowane przed laty przez Johna Fogerty'ego – lidera CCR (w tym m.in. „Proud Mary”, „Have you ever seen the rain”, „Bad moon rising”, „Who'll stop the rain”). W tym zacnym gronie znalazły się grupy: „Strefa 50”, „West Band” z Krakowa oraz „Andy Gorecky Band” z Warszawy. Od jak najlepszej strony pokazali się niektórzy instrumentalniści, przyjeżdżając niezwykle ciepło przez publiczność. Entuzjastycznymi brawami nagrodzono zwłaszcza dwoje znakomitych skrzypków – Dominikę Jurczuk-Gondek z bielskiej „Grupy Furmana” oraz Wojciecha Marcinkowskiego z krakowskiej formacji „West Band”.

Wielogodzinny maraton muzyczny w pierwszym dniu festiwalu miał też swój energetyczny wyróżnik w postaci śpiewającego konferansjera – Andrzeja Trojaka, wokalisty „Grupy Furmana”. Trzeba obiektywnie stwierdzić, że w rodzimym show-biznesie rzadko zdarzają się takie przypadki. Estradowi konferansjerzy są na ogół banalni i stereotypowi. Trojak nie pozwalał natomiast widzom nudzić się ani przez chwilę.

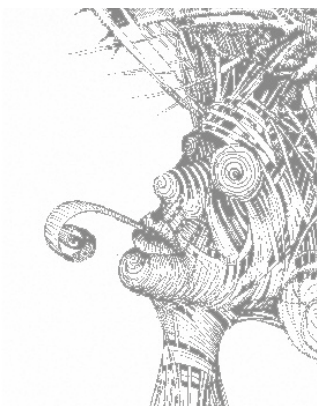
O widowiskową oprawę festiwalu zadbały taneczne zespoły „Salake” z Gliwic i „Silesian Line Dance” z Pszowa. Urodziwie tancerki z „Salake” wystąpiły m.in. w dynamicznym układzie choreograficznym przy dźwiękach utworu „Cotton-Eyed Joe” (1995), pochodzącego z repertuaru szwedzkiej grupy Rednex, która nadała atrakcyjną postać aranżacyjną dawnej piosence z okresu amerykańskiej wojny secesyjnej.

Nie można wreszcie pominąć milczeniem występów Lonstara, uznanego powszechnie za największą gwiazdę muzyki country w naszym kraju, a także country-rockowej grupy „Droga na Ostrołkę”. W Wiśle zagrał ponadto czeski zespół „Milkeaters”. Taneczną energią widzów wyzwoliła natomiast grupa „Chrząszcze” z Gliwic. Zespół pod wodzą wokalisty i gitarzysty, Krzysztofa Kopki, wprowadził publiczność w nastrój zbiorowej euforii. Okazało się, że country niejedno ma imię...

foto: Z. Lubowski



Tancerki z gliwickiej grupy tanecznej SALAKE



## ŚLĄSKA OJCZYŻNA POLSZCZYŻNA

JAN MIODEK

Po prawie już 60 latach pobytu we Wrocławiu przestałem się dziwić słyszonym tu bez przerwy wypowiedziom typu „jutro jadę na Śląsk” czy „wczoraj wróciłem ze Śląska”, choć niezmiennie działają mi one na nerwy i na ogół reaguję na nie pytaniem; „A gdzie jesteś w tej chwili?”. Wtedy wyraźnie zmieszany mój rozmówca odpowiada: „No... na Dolnym Śląsku”. Te wszystkie zachowania komunikacyjne są potwierdzeniem mentalnej prawidłowości, że od prawdy historycznej i geograficznej ważniejsza jest dla ludzi świadomość etniczno-językowa: ponieważ we Wrocławiu mieszkają od roku 1945 ludzie pochodzący z różnych regionów Polski, mówiący dziś w absolutnej większości językiem standardowym (ogólnym, literackim), mowę śląską natomiast w ustach rodowitych Ślązaków – mimo także znacznego wymieszania etnicznego – ciągle można usłyszeć w Katowicach, Chorzowie, Rudzie Śląskiej, Rybniku, Tarnowskich Górach, Radzionkowie czy Piekarach, prawdziwy Śląsk jest tam! Para administracyjnych określeń: *województwo śląskie* – *województwo dolnośląskie* (z aż nadto wyraźną nadrzędnością pierwszego z nich) także sprzyja opisanym od czuciom społecznym.

Przed paroma zaś dniami powaliło mnie takie oto zdanie z internetu na mój temat: „Chociaż wszyscy kojarzą Jana Miodka ze Śląskiem, de facto mieszka on we Wrocławiu”. To kolejny przykład historyczno-geograficznego kuriozum! Przecież w zacytowanym zdaniu Wrocław został ze Śląska za sprawą spójnika *choć* wykluczony!

W odległej przeszłości był Śląsk częścią państwa wielkomorawskiego. Przed rokiem tysięcznym, ale już po chrzcie Polski w roku 966, został włączony w państwo polskie, w państwo Piastów. Półtora wieku później – jak inne dzielnice Polski

– stał się dzielnicą oddzielną, spustoszoną przez najazdy tatarskie, ale odbudowaną i rozwinętą przy znacznej pomocy sprowadzonych osadników niemieckich. W wieku XIV wszedł Śląsk w orbitę władców Czech, a przez nich Austrii. W wieku XVIII włączono Śląsk do państwa pruskiego. Po I wojnie światowej, po trzech powstaniach śląskich i po plebiscycie połączono z Polską skrawek południowo-wschodniego Śląska. Po II wojnie światowej – po zmianie granic i przeprowadzeniu masowego przesiedlania ludności polskiej z ziem zabranych Polakom i niemieckiej z ziem włączonych do Polski – Śląsk po sześciu wiekach znów znalazł się w Polsce.

Choć nie miał on z nią przez sześć wieków formalnej łączności politycznej, pozostawał jednak związany więzami, w tym przede wszystkim więziami wspólnego języka polskiego, na Śląsku zastygłego w średniowiecznym kształcie. W stanie prawie nienaruszonym przetrwał on na Górnym Śląsku. Na Dolnym Śląsku, a decydowało o tym położenie geograficzne względem przywołanej wyżej fali osadnictwa, język niemiecki stał się zdecydowanie dominujący, choć i tutaj polszczyzna przetrwała – we Wrocławiu oraz głównie na obszarach granicznych z Wielkopolską (okolice Oleśnicy, Milicza, Sycowa).

Przez cały ten czas największym miastem Śląska pozostawał Wrocław, od roku 1000 stolica biskupstwa, należącego do roku 1821 do arcybiskupstwa gnieźnieńskiego (później bezpośrednio podległa Rzymowi). To wrocławsko-opolsko-raciborski Śląsk należy w perspektywie historyczno-geograficznej uznać za Śląsk prymarny, najdawniejszy! To z Wrocławia i topografii jego okolic wyszła także nazwa naszego regionu. A jak się to dokonało?

## W jakiej krainie leży Wrocław?

Wrocław to miasto rozlicznych wysp, położonych wśród rozlewisk Odry i jej czterech dopływów: Ślęży (dziś częściej występującej pod postacią Śleza), Oławy, Widawy i Bystrzycy. Nazwa pierwszego z nich będzie najistotniejsza dla naszego wywodu etymologicznego.

Do nazewniczego związku *Śląska* ze *Ślęzą* nawiązywali często w swoich pracach, m.in., Jerzy Samuel Bandke (1768–1835), wychowany na Śląsku, piszący po niemiecku historyk, językoznawca, oraz Władysław Semkowicz (1878–1949), polski historyk, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, członek PAU, badacz dziejów średniowiecza, o czym przypomniały w artykule pt. *Skąd pochodzi nazwa Śląska?* wychodzące w Opolu „Nowiny Codzienne. Pismo poświęcone sprawom ludu polskiego na Śląsku Opolskim” z 28 stycznia 1934. Za przysłanie mi skanu tego artykułu najserdeczniej dziękuję Panu Profesorowi Andrzejowi Tukiendorfowi z Opola.

Współcześni onomaści (badacze nazw) – tak jak przywołani wyżej uczeni – również wskazują prasłowiański rdzeń *ślęg* „wilgoć, mokrość” jako ten, od którego urobiono nazwę rzeczną *Ślęza*, a od niej formy osobowe *Ślężanie*, *Ślężacy*, *Ślężacy* i nazwę regionu *Ślązsko*, potem *Śląsko* i *Śląsk*. Znane do dziś na Śląsku słowa, takie jak *ślęganina* – „pora deszczowa, wilgoć”, *ślęgnąc* – „moknąć, nasiąkać wilgocią”, *ślągwa*, *ślęgwa* (*śląkwa*, *ślękwa*) – „słota, deszcz, deszcz ze śniegiem, wilgotne powietrze”, kryją w sobie ten sam pień.

Topografia potwierdza wywód historycznojęzykowy: *Ślęza* to rzeka o mokrych, bagnistych, rozlewnych brzegach, a Śląsk – kraina wilgotna, bagienna. A i niemiecka nazwa *naszej rzeki* – *Lohe* – znaczy tyle, co „łachy nadrzeczne, bagniste łąki, w ogóle coś wilgotnego, mokrego”, jest więc tłumaczeniem słowiańskiej formy. ■



# MIEDZY CISZĄ A HAŁASEM

MARIAN GRZEGORZ GERLICH

## „Tam na tyj Ukrainie djobeł durch łogonem zamiato...”

Kilka tygodni temu przyjechał do mnie przyjaciel z Warszawy, etnograf, badacz między innymi tożsamości Kurpiów. I znów chciał odwiedzić Nikiszowiec, potem oczywiście Giszowiec, który zawsze kojarzy z malarzem Ewaldem Gawlikiem. Następnie zwiedzaliśmy rudzki Kaufhaus, a dalej zabrski Borsig. A pewnego dnia chciał pojsć do typowej pijalni piwa, którą odwiedzają śląscy smakosze tego napoju. A przecież i on, i ja preferujemy tradycyjnie zupełnie inny trunk. To była dobra decyzja. Dlaczego? Bo usłyszeliśmy jak mężczyźni głośno dyskutowali o sytuacji na Ukrainie. W pewnym momencie padły słowa: „Tam na tyj Ukrainie djobeł durch łogonem zamiato; aże strach bier. Przez niego te Ruski blank łogupli. Bez to mordują, zabijają nawet dzieci, jak te w Mariopolu; wszystko polom”. I ta dyskusja, coraz bardziej gorąca, trwała do końca naszego pobytu w tym miejscu. Padaly też opinie, które były jakby echem tradycyjnego śląskiego myślenia o wojnie i szerzej o wszelakim Złu nękaającym ludzi. Zajmowałem się tym zjawiskiem kulturowym w latach 70. i 80. ubiegłego stulecia zwłaszcza pod wpływem prof. Doroty Simonides.

Wtedy wiele opowieści folklorystycznych odzwierciedlało – używając terminu Włodzimierza Pawluczuka – „ludową ontologię”. Moimi rozmówcami byli wówczas ludzie w wieku powyżej 60 lat, aż po sędziwych 80-latków. Nie byli już oczywiście reprezentantami tradycyjnego światopoglądu ludowego, ale często mentalnie tkwili jeszcze w realiach kultury tradycyjnej. Zwłaszcza kobiety w swej pamięci zachowywały jeszcze dawne teksty folklorystyczne. Jakże intrygujące jest to, że mimo czynników modernizacyjnych, szczególnie znaczenie miała dla nich tradycja, to, co własne, ale też prymat stabilizacji nad zmianą, wreszcie silny zwią-

zek z religią. Typowy był też dla nich sposób pojmowania ustawicznej walki Dobra z Złem. Ilustrowały to również zmodyfikowane opowieści o przepowiedniach Sybilli. W związku z tym warto w tym miejscu przywołać słowa Stanisława Bystronia z 1947 roku kiedy pisał: „Obok świata niebios, w ciągłej z nim walce, mamy także i świat mocy złych, piekielnych, długim szeregiem postaci demonicznych, poczynając od Antychrysta (w związku z tradycją Apokalipsy), który zapowiada koniec świata, poprzez groźnych władców piekielnych”. I oto poza owym Lucyferem, wedle ludowego rozumienia głównym antagonistą Boga, ów świat demoniczny tworzą różnego rodzaju istoty demoniczne, które ustawicznie wywołują w świecie Zło. O tej konfrontacji – i walce Diabła z Bogiem – świadczy na początku bunt aniołów w niebie. To ilustruje opowieść z śląskiej Ostropy podana przed laty przez Józefa Ligęzę i wspomnianą Simonides. Zbuntowani aniołowie pokonani przez wojska archanioła Gabriela zostali wyrzuceni z nieba na ziemię. I tu jako demony czynili spustoszenie. Ale najgorsi są jednak ludzie opętani przez Belzeuba. To oni – kiedy wybuchają zamieszki, buntury i wojny – bezwzględnie mordują, gwałcą i palą swoich współbraci. Tak właśnie pojmowano w tradycji śląskiej wszelkie wojny, a ślady tego myślenia były zawarte w tradycyjnych opowieściach. Echa tego myślenia słyszeliśmy we wspomnianej pijalni piwa. A dawniej wspomniane rozumowanie było logiczną konsekwencją wyjaśniania istoty, jak i obecności Zła wśród ludzi. Z tego wynikała konieczność kategorycznego nazwania i dostrzegania wszelkich jego przejawów. A więc w relacjach między narodami, jak i w relacjach sąsiedzkich, a nawet rodzinnych. Stąd tomistyczne myślenie, iż zło to brak dobra, na poziomie

takiego myślenia nie jest zrozumiałe. Bo w świecie wszystko musi być nazwane. I tu nasuwa się myśl pisarza z Drohobycza Brunona Schultza, który mówił, że co „nienazwane nie istnieje”. Nie istnieje, bo tego nie dostrzegamy, ale jednak jest. I tym samym jest groźne. Stąd też starszy mężczyzna w owej pijalni mówił, do nas przy wychodzeniu: „Widzicie, czy niy? Te Złe jest duch, ciongle przy ludziach”, I odwoływał się do przepowiedni Sybilli, o której lud śląski dowiadywał się z druków ulotnych, jak i konkretnej publikacji, jak „Proroctwo Michaldy królowej ze Saby. 13 Sibilibij”. To ona właśnie przestrzega o ustawicznej obecności Zła, co doprowadzi do końca świata. Wszak przestrzegała – co relacjonowano mi we wspomnianej dzielnicy Zabrze w 2000 roku – a co zawarłem w swojej książce „Zapisane na Borsigu” – że „Nastanie czas, że ludzie bydom się palić, jak drzewo”. A dalej owa opowieść informuje: „Jak się to wszystko stanie to bydzie koniec. Przed tym ogień wielki, wojna, zabijanie ludzi, małych dzieci, polynie ludzi. Trocha ludzi zostanie, oglupione bydom, oślepienie, oparzone od ognia”. Rozmówcy informowali, że wojny są od zawsze, jednak ich nasilenie przypada w XIX i XX wieku. Wiele tekstów dotyczy II wojny światowej. „Już wtedy się godało, że koniec świata idzie, no a dali bydzie wojna bardzo wielko. Dali to już yno koniec świata...”. Jednak myśl ludowa jest przekorna. Wszak zawsze mówiono, że wszystkie „gizdy zawsze pódóm tam kaj ich miejsce, do Diobła”. No a poza tym myśl ludowa opiera się na przekonaniu, że o końcu świata zadecyduje jedynie Bóg. Zawsze też wszelkie Zło się kończy. I musi się też zakończyć na umęczonej ziemi wschodniego sąsiada. Jakże zatem symbolicznie brzmiały wypowiedziane tam słowa – w tej w śląskiej pijalni piwa „Sława Ukrainie”.

# Marynarz górnikiem

ANDRZEJ PEREPECZKO

Prezentujemy naszym Czytelnikom fragment niesamowitych wspomnień – kawałek życiorysu niebanalnego człowieka, Andrzeja Perepeczko, urodzonego we Lwowie oficera marynarki handlowej. To opowieść owiana morskim wiatrem i przyprószona węglowym pyłem, jako że jej narrator opisuje dramatyczne losy, które z pokładu okrętu pchnęły go do kopalnianych chodników.

Zaproponowany przeze mnie tytuł mojego wspomnienia wydaje się mocno dziwny, ale w życiu trafiają się jeszcze dziwniejsze wydarzenia i pozostawiam ten tytułik do łaskawej oceny czytającego. Jedno mogę zapewnić; przedstawione tu moje wspominki są jak najbardziej prawdziwe, choć wydarzyły się co prawda już prawie siedemdziesiąt lat temu.

Ale zacznijmy od początku.

W mojej rodzinie panował w pewnym sensie kult służby wojskowej. Jeden z moich dziadków bowiem służył, choć nieochotniczo, w carskiej armii i w czasie I wojny znalazł się na froncie rosyjsko-tureckim, a drugi dziadek, ze strony mamy, w armii austro-węgierskiej i walczył we Włoszech nad rzeką Isonzo.

Ojciec był ochotnikiem w oddziałach generała Żeligowskiego i walczył z bolszewikami najpierw nieopodal Kaukazu, a później w kampanii Piłsudskiego w 1920 roku w 14 pułku ułanów. Kult Marszałka pamiętam od najmłodszych lat w naszej rodzinie, co nie było niczym dziwnym, bo ojciec był w dwudziestolecie oficerem w stopniu kapitana w Centrum Wyszkożenia Broni Pancernych i mieszkaliśmy w twierdzy Modlin.

Nic więc dziwnego, że szykowano dla mnie karierę wojskową, która mia-

ła się zacząć służbą i nauką w Korpusie Kadetów we Lwowie, moim rodzinnym mieście.

Przyznaję, że cieszyła mnie, kilkuletniego chłopca, taka perspektywa zawodu i kariery, i podobał mi się oraz imponował granatowy, jak pamiętam, mundur, i bardzo efektowna czapka kadeta.

Rodzinne plany zlikwidowała wojna. Ojciec walczył we Francji i Wielkiej Brytanii, a my uciekaliśmy przed Niemcami, początkowo do Lwowa, a po napadzie Bolszewickiej Rosji na Polskę zmieniliśmy kierunek ucieczki i ostatecznie znaleźliśmy się w Warszawie.

W konsekwencji tych wydarzeń znikło wszystko z horyzontu oczekiwanych wrażeń i planów. Znikł mundur kadeta i czapka, ale też rozmaite inne szkoły.

Na szczęście po wojnie wróciło co nieco i udało się skończyć Szkołę Morską w Gdyni, a potem trochę pływać na statkach w ciekawych, choć czasem trudnych rejsach. I było zupełnie przyjemnie, nie stety w 1953 roku do bardzo przykrego głosu w stosunku do mnie doszła Wojskowa Komenda Uzupełnień Ludowego Wojska Polskiego.

Ta Komenda interesowała się moją skromną kandydaturą do Ludowej Armii od grudnia 1950 roku, gdy wyrzuc-



Autor jako słuchacz III roku Państwowej Szkoły Morskiej w Gdyni, rok 1950

no mnie z obowiązkowego kandydowania po Szkole Morskiej do rocznej służby w Marynarce Wojennej, jednakże wszystkie listy z obowiązkami zameldowania się w WKU były odsyłane do nadawcy z informacją, że „wzywany obywatel jest w zagranicznym rejsie”.

Bo tak było rzeczywiście. Pływałem jako palacz, motorzysta i nawet asystent maszynowy między portami prawie wszystkich kontynentów. Ale ludowe wojsko okazało się niezwykle konsekwentne, a nawet uparte i dopadło mnie w maju 1953 roku podczas urlopu, w czasie którego miał miejsce mój ślub z uroczą panienką, która wytrzymała ze mną już prawie siedemdziesiąt lat.

Co miałem zrobić w tej przykłej sytuacji? Wojsko wzywa, to trzeba się stawić. Tak więc z duszą na ramieniu zgłosiłem się w lokalu 04 komendy we Wrzeszczu, gdy zameldowałem się u służbowego oficera.

– Panie majorze – zacząłem uroczystość swój meldunek, wyprostowany „na bacność”, ale mi przerwano.

– Żaden panie majorze! – krzyknął oficer z pewnym zapamiętanym sprzed wojny akcentem. – Ja jestem **obywatel** major! – zakończył z dumą.

Poprawiłem swój meldunek i usłyszałem od obywatela majora pytanie:

– Chcecie iść do ludowego wojska, służyć Polsce Ludowej?

– Ja już teraz służę – odparłem.

– Służycie? – Zdziwił się obywatel major. – A w jakiej służbie?

– Pływam na statku pod polską banderą, a statek mój w rejsach zarabia dewizy bardzo potrzebne naszej ludowej ojczyźnie. – Odparłem.

– Dewizy? Oj! – Cmoknął jakby nieco zaskoczony **obywatel** major z wyraźną aprobatą w akcencie.

– Dolary amerykańskie, funty brytyjskie, marki zachodnoniemieckie... – zacząłem wyliczać, ale mi przerwano.



W Casablance, rok 1950



– Czy wy myślicie, że ja nie znam dywiz? Ale, jak jesteście taki mądry, to zaczekajcie na korytarzu i czekajcie, aż was zawołają.

Wyszedłem, usiadłem na ławce, a w głowie kłębiły mi się gorączkowe myśli.

– Czy ja dobrze działałem? I jak to wszystko się skończy? A może trzeba było inaczej? Mam na ręku zegarek marki „Atlantic”, które są bardzo wysoko cenione w PRL-u. A u majora nie widzę niczego na ręku. Gdyby tak – myślałem – zdjąć zegarek, położyć go na biurku majora i powiedzieć, że może by mnie przeniesiono do rezerwy. Ale jeżeli... słyszałem, że któryś z marynarzy próbował takiego numeru i zamiast dwóch lat w wojsku zarobił... pięć w więzieniu.

– Wchodźcie! – Rozkazał mi jakiś sierżant.

Wszedłem. Major kazał mi usiąść i zapytał.

– No i co? Chcecie służyć ojczyźnie?

– Chcę. – Odpowiedziałem szybko. – Przecież już raz powiedziałem. Jak do tychczas.

– Ale może przez ten czas zmieniliście zdanie...

– Obywatelu majorze, gdybym co godzinę zmieniał zdanie, to musiałbym zlikwidować lustra w domu.

– Taki jesteście mądrala – roześmiał się major. – To zaczekajcie na korytarzu.

Znowu czekałem w towarzystwie nerwowych myśli, a gdy wezwano mnie po raz trzeci usłyszałem:

– No i w końcu chcecie iść do wojska?

– Chcę służyć Polsce Ludowej jako marynarz...

– No to – zawiesił głos – w takim razie pójdziecie do wojska.

Stało się – pomyślałem z żalem o zlikwidowanym pływaniu i o dopiero co poślubionej żonie.

– Ale mam jedno pytanie, obywatelu majorze.

– Dobrze – zgodził się – ale szybko, bo nie mam czasu.

– Na jak długo?

Wyciągnął rękę z dwoma palcami w górę.

Dwa lata – pomyślałem – to ani do marynarki, ani do lotnictwa – prawie się ucieszyłem, że udało mi się skrócić przysługą służbę o rok.

Ale gdybym wiedział, co mnie czeka...

Po paru dniach, 1 kwietnia 1953 roku, w dniu Prima Aprilis zostałem wcielony do... 4 kompanii 1 batalionu pracy w... Oświęcimiu!

Razem ze mną wcielono kilkunastu młodych Polaków – Gdańszczan, którzy rozmawiali między sobą po... niemiecku, a na miejscu, z naszego koszarowego baraku widać było... kominy krematorium hitlerowskiego obozu zagłady.

Po niecałym miesiącu ćwiczeń i po przysiędze wojskowej 1 maja 1953 roku skierowany zostałem do... kopalni wę-

gla kamiennego Brzeszcze nieopodal Oświęcimia.

A tam... dostałem hełm na głowę z lartarką, kilof i sporą szufłę oraz rozkaz wydobywania w ciągu ośmiu godzin ośmiu ton węgla i zabudowy wyrobiska. I tak siedem dni w tygodniu ku chwale Ojczyzny Ludowej.

Co tu ukrywać... robota była trudna, brudna i zdecydowanie niebezpieczna, a dodatkowo praca odbywała się... na kolanach, bo pokłady węglowe w tej kopalni mierzyły około 1,2–1,4 metra wysokości!

Znowu, jak na moim pierwszym po Szkole Morskiej statku, u jednego końca szufli ja, szeregowy 4 kompanii 1 batalionu pracy, a u drugiego końca niezliczone tony „czarnego złota”, podstawy gospodarki Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, czyli PRL.

Ośiem ton węgla w ciągu ośmiu godzin w dodatku na kolanach to praca niezwykle ciężka, ale ja miałem, na szczęście, w swojej dotychczasowej karierze przeszło pół roku pracy jako palacz na parowcu „Jarosław Dąbrowski”, co stanowiło niezłą zaprawę, z niektórymi jednak moimi „towarzyszami niedoli” było znacznie gorzej, ale... norma robotnicza była rozkazem wojskowym, który należało w całości wykonać.

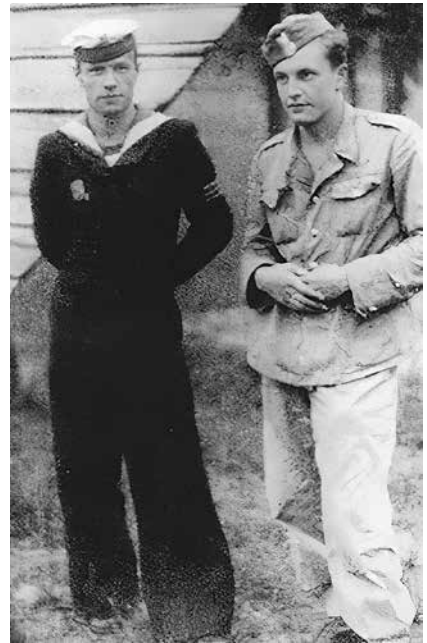
Niestety. Mimo wszystkich prób pocieszenia, choćby nawet porównania z pracą palacza na statku, perspektywa pracy w kopalni przedstawiała się znacznie gorszą.

Po krótkim okresie pracy w Brzeszczach przeniesiony zostałem z ponurego Oświęcimia do niedalekiej kopalni, czyli do 29 batalionu pracy, stacjonującego w miejscowości o pogodnej nazwie „Wesoła”, na przedmieściach Mysłowic. W kopalni o tejże nazwie żołnierze pracowali na oddziale piątym na głębokości aż 500 metrów pod ziemią.

Już sama taka głębina wpływała dość negatywnie na psychikę nas, żołnierzy-górników. Dodatkowo było tam ciasno i trzeba było pracować na kolanach, norma była raczej spora, a temperatura na tej głębokości dość pokazująca, co nie ułatwiało spędzania ośmiodzinnej szychty.

W moim porównaniu pracy na parowcu opalanym węglem plusem były czterogodzinne wachty, a między nimi widok na piękne obrazy morza po odległym horyzont. A w „Wesołej” po szychcie, którą wyznaczono mi na godzinę czternastą do dwudziestej drugiej, prawie nie widziało się słońca ani obłoków na niebie, bo przed południem się spało, a kładło o pierwszej w nocy, bo wtedy dopiero był capstrzyk, jako że od kopalni do koszar trzeba było przemaszerować przeszło dwa kilometry, a potem zjeść niby kolację.

Nic więc dziwnego, że tam, głęboko pod ziemią zrodziła się i stawała coraz



Andrzej Perepeczko w 29 Batalionie Pracy w Wesołej z przyjaciółmi, któremu lepiej się powiodło, rok 1954

większa tęsknota właśnie za morzem, za jego urokami, a nawet za nieraz groźną potęgą.

Jakby wszystkiego było mało, dochodziły do świadomości żołnierzy-górników wiadomości o rozmaitych groźnych wypadkach i katastrofach górniczych.

Jak wspominałem, dni wolne od pracy wypadały następująco: Nowy Rok, 1 maja, 22 lipca oraz – wyjątkowo – w kraju o systemie socjalistycznym, 4 grudnia, czyli na górnicze święto, „Barbórkę”, czyli... [wspomnienie] świętej Barbary (!!).

I tak płynęły nieciekawe i bardzo trudne dni „zaszczytnej służby wojskowej” w ramach Ludowego Wojska Polskiego.

W 29 batalionie pracy i prawdopodobnie też w innych niezwykle zróżnicowany był charakter stanu osobowego.

Na przykład w naszej kompanii służyła grupa pochodząca z rodzin „burżuazyjnej inteligencji”. Do niej należałem również ja, syn „oficera sanacyjnego korpusu”. Oprócz mnie takimi „zakaliami socjalistycznego społeczeństwa”, jak twierdził na szkoleniach zastępca dowódcy do spraw polityczno-wychowawczych, byli Kazimierz hrabia Jaroszyński, synowie przedwojennych prezydentów kilku sporych miast czy profesorów wyższych, przedwojennych uczelni z Uniwersytetem Jagiellońskim czy lwowskich imienia Jana Kazimierza lub wileńskim imienia Stefana Batorego na czele.

Do sporej grupy należeli też synowie tak zwanych „kułaków”, czyli rolników, posiadaczy dość sporych i najczęściej dobrze prowadzonych gospodarstw.

Byli to zatem mieszkańcy wiosek, pochodzący od Tatr, a na Kaszubach kończąc.

Znajdowali się też w batalionach górniczych przedwojenni mieszkańcy Wol-

nego Miasta Gdańsk, a także byli drobni przestępcy po „odsiadce” swoich wyroków w aresztach czy więzieniach.

Wreszcie do batalionów pracy wciągnięto byłych członków Harcerskich Drużyn Armii Krajowej, czyli Szarych Szeregów, do której to grupy ja też należałem, ale co bardzo starannie ukrywałem nieomal przed sobą samym. Jednakże, bez względu na pochodzenie rodzili się wśród nas nieraz bardzo serdeczne stosunki, a nawet przyjaźnie, których efektem było nieraz nawet wspomaganie sobie wzajemnie.

Gdy rozdzieliłem nas na mieszkalne pomieszczenia w bloku koszarowym w „Wesołej” okazało się, że moje legowisko znalazło się tuż obok żołnierza-górnika szeregowego Henryka Wieczorka z Bytomia. To był mój początkowo przymusowy „szlafkumpel” jak z niemiecka po śląsku określano żołnierzy śpiących „przyna w przyna”.

W tej sytuacji nietrudno było zaprzyjaźnić się nam obu. Heniek okazał się sympatycznym, młodym Ślązakiem i nasze niemal wspólne łóżko zaowocowało wręcz przyjaźnią. Heniek jako urodzony Ślązak miał pewne wsparcie wśród personelu kopalni i nie pracował, jak większość z nas, na kolanach przy „fedrowaniu” węgla, ale został przydzielony do zespołu obsługi podziemnej komunikacji, złożonej z elektrycznych lokomotywek, ciągnących sznur niewielkich węglarek z urobkiem.

Po pewnym czasie Heniek opowiedział mi swój skomplikowany życiorys, będący w pewnym sensie, jak w moim przypadku, powodem skierowania do batalionów pracy w Polsce Ludowej.

Ojciec Heńka w czasie okupacji, a ściślej po wcieleniu Śląska do Rzeszy Niemieckiej, zgodził się na podpisanie tzw. „listy niemieckiej” i w efekcie został wcielony do wojska i wysłany na front wschodni, gdzie zginął w jednej z bitew.

W 1940 roku zdecydował zgłosić swego dziesięcioletniego wówczas syna do organizacji niemieckiej młodzieży o nazwie „Hitlerjugend”. Heniek, co prawda, nie był wcale wielkim zwolennikiem hitleryzmu, ale musiał działać i wierzyć jak mu kazano i o czym zdecydował się mi zwierzyć w zaufaniu.

Ja również opowiedziałem mu nieco o sobie, starannie jednak ukrywając moją wojenną przynależność, o czym, jak uważałem, okupacyjne władze nie wiedziały.

Jak się okazało, obaj byliśmy kibicami piłki nożnej, a dodatkowo... fanami bardzo modnej w Polsce Ludowej w latach powojennych wielce utalentowanej śpiewaczki Marii Koterbskiej.

Z czasów pływania na statkach polskiej floty handlowej pozostało mi, kupione w którymś z dalekowschodnich portów, małe radio na bateryjki, którym mogłem odbierać po kryj-

mu audycje wokalne Marii Koterbskiej z zespołem Czejanda.

Do tajemnicy tej dopuściłem ostatecznie Heńka Wieczorka i odtąd razem słuchaliśmy „przyna w przyna” pięknych piosenek. Na przykład, jak pamiętam, „Bo mój chłopiec piłkę kopie”, „Karuzele”, „Parasolki”, „Brzydula i rudzielec” oraz inne.

Słuchanie nasze miało miejsce tylko późno w nocy, po ogłoszeniu nocnej ciszy w koszarach, a więc głos radyjka był ściszony do maksimum, leżało ono pod kołdrą, którą były okryte również głowy dwóch niezgodnych z regulaminem wojskowych słuchaczy.

Po wielu latach dochodzę w swoich wspomnieniach do wniosku, że uroczy głos Marii Koterbskiej i jej piosenki pozwalały nam obu w nieco lepszych nastrojach spędzać paskudną codzienność zastępczej służby wojskowej w czwartej kompanii 29 batalionu pracy w Wesołej, koło Mysłowic.

Jednakże niestety nic to dobre nie może trwać za długo i tak było też tym razem. Oto jednego z późniejszych wieczorów, gdy czekałem z radyjkiem i Koterbską na Heńka, ten nie zjawił się na noc, a rankiem nadeszła wiadomość, że wieczorem uległ on bardzo poważnemu wypadkowi i jest w szpitalu, gdzie walczy o jego życie.

Tego dnia po pracy, gdy nadeszła godzina nocnej ciszy, nie mogłem się zdecydować, czy włączyć czy nie zespół Czejanda z Koterbską. Ostatecznie włączyłem, ale zaczęła śpiewać o chłopcu co piłkę kopie i następnie łzy napłynęły mi do oczu, chociaż przecież „chłopa-ki nie płaczą”.

Niestety, jeszcze gorzej było następnego dnia, gdy okazało się, że operacja się nie udała i że Heniek Wieczorek odszedł na wieczną szychotę.

Kilku z nas zostało przepustki na uczestniczenie w górnym pogrzebie. Dziś, po tylu latach, nie jestem pewien, czy taki zwyczaj obowiązuje na Śląsku w tym dramatycznym przypadku, ale... przed trumną żołnierza-górnika szła jego narzeczona ubrana... w weselny strój.

Płacz był ogólny na ten widok, a ja sobie rozmyślałem pełen smutku i żalu po Heńku Wieczorku, jak to właściwie jest w tym świecie? Heniek, człowiek organizacji faszystowskich Hitlerjugend, i ja harcerz Polski i były ochotnik, członek Szarych Szeregów Armii Krajowej?

Czy to patriotycznie płakać po takim człowieku? Chociaż – płątało mi się po głowie – obaj mimo wszystko byliśmy ludźmi, a Heniek Wieczorek, dodatkowo, był w końcu moim przyjacielem, a obaj byliśmy zdecydowanymi fanami wspólnie Marii Koterbskiej, nieprawdaż?

\*\*\*

Finał tego fragmentu mojego wielce skomplikowanego, choć ciekawego, ży-



Autor jako starszy mechanik floty handlowej, rok 1979

ciorysu nastąpił wiele lat później, bardzo daleko od Śląska, bo w Sopocie.

Któregoś lata Koterbska miała piękny recital wspominkowy na kortach tenisowych w Sopocie. Oczywiście poszedłem na ten występ i po jego zakończeniu, po burzy owacyjnych oklasków, podszedłem do estrady i po wyrażeniu zadowolenia z koncertu oraz szacunku opowiedziałem jej historię i finał fragmentu życiorysu Heńka Wieczorka, Ślązaka i członka Hitlerjugend, oraz mojego, członka Szarych Szeregów Armii Krajowej, dodatkowo zdecydowanych fanów jej talentu i wpływu jej piosenek na psychikę w końcu karnych batalionów wojskowych górniczych w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i w trakcie mojego wystąpienia zostałem zaskoczony przez artystkę, która nagle rozpląkała się na tenisowym korcie w Sopocie.

I to było piękne i wzruszające epitafium dla Ślązaka, żołnierza-górnika 29 batalionu pracy Heńka Wieczorka oraz piękne podziękowanie za fragment wspominków Andrzeja Perepeczko, marynarza-górnika.

Obaj dziękujemy Ci bardzo Pani Mario!

\*\*\*

Dawno przeczytałem gdzieś, że w owych batalionach pracy, od 1 do 29, zginęło łącznie w różnych wypadkach około 1500 żołnierzy-górników.

## CZEŚĆ ICH PAMIĘCI!

Gdy wreszcie po długich i paskudnych dwóch latach udało mi się opuścić bataliony pracy jako starszy szeregowy, na szczęście żywy, choć z wodą w kolanie, co stało się przyczyną mojego późniejszego kalectwa, wróciłem do Gdańska, a tam na studia na Politechnice i ponownie na morze, tym razem już w stopniu oficera-mechanika. ■

# Między orkiestrą a spadochronem

PIOTR GRELLA-MOŻEJKO



W kwietniu 2015 roku Jan Topolski, krytyk muzyczny, którego wielce sobie cenię, opublikował w *dwutygodniku.com* recenzję katowickiego VI Festiwalu Prawykonanń zatytułowaną „Poematy egocentryczne”. Najpierw prawy sierpowy: *Coraz dobitniej zaznacza się w muzyce polskiej zamknięcie. Nie tylko na społeczno-ekonomiczną rzeczywistość „pozamuzyczną”, ale także na materiałowy i konceptualny rozwój muzyki nowej.* Potem poprawił lewym sierpowym: *Jak nigdy wcześniej, wyjechałem z festiwalu z dojmującym wrażeniem całkowitej izolacji polskiej muzyki współczesnej.* Topolskiemu nie w smak była postawa uczestniczek i uczestników tamtego festiwalu, według niego ostantacyjnie ignorujących bodźce „pozamuzyczne” (sytuację gospodarczą, polityczną, kulturową) oraz czysto muzyczne (obecność nowych technik i estetyk). Wcale mu się nie dziwię. Głos Topolskiego nie jest osamotniony. W numerze popołudniówki *Wieczór*, który ukazał się 22 lutego 1985, i ja pozwoliłem sobie ponarzekać na postawę młodych kompozytorów recenzując koncert utworów studentów katowickiej Akademii Muzycznej. Tekst zatytułowałem „Młodzi jak starzy?”, pisząc m.in.: *Młodzi kompozytorzy sięgają [...] czasem po środki zużyte. W rezultacie muzyka młodych brzmi staro.* Ten wątek rozwijałem w innych tekstach, głównie omówieniach koncertów i festiwali, które publikowałem w *Wieczorze*, *Tak i Nie* oraz warszawskiej *Kulturze*. Już w tamtym okresie wyczuć można było wśród młodszych twórców strach przed wystawianiem nosa na zewnątrz, nawet w najwęższym powiedzenia tego rozumieniu, czyli sięganiu po nowsze środki choćby w celu li tylko dykretnego ożywienia zmęczonego materiału. Owcześni „młodzi” jak pisali, tak i piszą; w niektórych przypadkach słychać wręcz regres – jak gdyby obawiali się łykać świeże powietrze. Intrygujące jest to, że stosunkowo duża grupa aktywnych w tamtym czasie artystów zarzuciła komponowanie – widocznie poczuli się zagubieni, bo ani w tę ani we w tę?

Na usprawiedliwienie tradycyjnie nastawionych twórczyni i twórców da się powiedzieć, iż podobne tendencje zapanowały właściwie wszędzie, np. wielu włoskich kompozytorów pisze muzykę niemożliwie banalną, nie mającą nic wspólnego z dzieła-

mi Ady Gentile, Beria, Donatoniego, Nona, Sciarrina, Scelsiego. W Ameryce Północnej to w tej chwili nieuleczalna choroba, której koszmarnie efekty są tożsame z produktami nazistowskiej i sowieckiej polityki kulturalnej. To nie żarty, wystarczy posłuchać tego, co ci nieszczęśnicy gremialnie wyprawiają, a przy okazji mają wyprane całkowicie mózgi i przekonani są, iż rolą kompozytorki czy kompozytora jest pisanie „muzyki dla ludzi”, „muzyki przystępnej”, bo „wszystko już było” i nic nowego nie da się zrobić. Najgorsze w całej tej aferze jest to, że bez mała „oficjalną” polityką jest zatrudnianie tzw. profesorów kompozycji, którzy nie mają pojęcia o kompozycji, ci zaś swoje niedokształcenie wpajają uczniom – rezultaty słychać gołym uchem.

Z drugiej strony nigdy nie byłem skłonny do odsądzania od czci i wiary kompozytorów i kompozytorów nastawionych tradycyjnie, byle robili to dobrze, z – nazwijmy to – zawodowym polotem. Prosta prawda: jeśli ktoś nie chce szukać, niech przynajmniej komfortowo obraca się w sferze estetyczno-technologicznej już wszystkim znanej, ale w której (jeszcze) można dla siebie znaleźć osobne miejsce. Schoenberg, człowiek przecież niegłupi i z awangardą utożsamiany, stwierdził, że jest jeszcze dużo muzyki do napisania w C-dur. Czy miał rację? Nie, ale to pouczająca o tolerancji metafora.

Wydaje mi się, że i wśród muzyków ignorujących dzisiejsze kierunki eksperymentalne można znaleźć silne osobowości, jak urodzona w Żorach 8 września 1989 roku Joanna Szymala, którą poleciła mej uwadze Aleksandra Bilińska (*Śląsk* nr 280).

Joanna Szymala ukończyła żorską Samorządową Szkołę Muzyczną II stopnia. Studia kompozytorskie podjęła w katowickiej Akademii Muzycznej, gdzie pracowała pod kierunkiem Eugeniusza Knapika i gdzie uzyskała magisterium w 2013. Eugeniusz Knapik był też promotorem jej pracy doktorskiej. Tu zacytuję ostatnie zdanie tekstu, który poświęciłem temu kompozytorowi (*Śląsk* nr 311): *Miejmy nadzieję, że uda mu się wychować choć jednego równego sobie ucznia – w imię przyszłości polskiej muzyki.* Przyznam, iż pisząc te słowa nie znałem jeszcze muzyki Joanny Szymali. Poznawszy tę muzykę, jestem przekonany, iż w rzeczy samej Eugeniusz Knapik wy-

chował kompozytorkę obdarzoną nie tylko talentem, ale i okazałymi umiejętnościami warsztatowymi, kompozytorkę, której dzieła naprawdę mogą polską muzykę poważnie wzbogacić.

W muzyce Joanny Szymali podoba mi się jej indywidualne podejście do tradycyjnego materiału melodyczno-harmonicznego, a także wrażliwość na barwy instrumentalne oraz wokalne (jak w pięknych *Pieśniach dziecięcych* do słów Marii Konopnickiej na sopran i orkiestrę kameralną z 2016; uderza w tej kompozycji olbrzymie wyczulenie na słowo poetyckie). Podoba mi się też to, że artystka nie „dorabia ideologii” do swoich utworów. Zawsze się brzydziłem nadmiernym upolitycznieniem muzyki (jak robili to Hans Werner Henze i do pewnego momentu Luigi Nono, który jednak pod koniec życia zmądrzał; dzisiaj robi to naiwny pseudoskandalista Johannes Kreidler). Joanna Szymala podkreśla, iż interesuje ją sama materia: *Muzykę pojmuję przede wszystkim jako sztukę abstrakcyjną, stąd większość moich kompozycji to utwory zaliczające się do tzw. muzyki absolutnej. Kompozycje te są z reguły odzwierciedleniem moich upodobań estetycznych, które ciągle ewoluują. Niezmienny natomiast jest fakt, iż szczególnym dla mnie czynnikiem kształtującym wyraz utworu muzycznego jest barwa. Postrzegam ją jako wypadkową przede wszystkim takich elementów jak harmonika, instrumentacja oraz faktura, które są ze sobą ściśle powiązane. Dużą uwagę przywiązuję także do wyrazistej narracji oraz przejrzystej koncepcji formalnej, tak aby każdy utwór stanowił spójną całość.* Zaiste, kompozytorka świetnie panuje nad formą, również w rozbudowanych dziełach, jak orkiestrowe *Continuum*, za które w 2011 uzyskała I nagrodę w Konkursie Kompozytorskim im. Grzegorza Fitelberga w Katowicach.

Joanna Szymala lubi sporty ekstremalne, w tym skoki spadochronowe. Wolabym, iżby grała w warcaby – przypadki chodzą po ludziach, a dobrej muzyki tak mało, tak mało.

# Niewolnicy rozpaczy i trwogi

WOJCIECH LIPOWSKI

W salonie owdowiałej arystokratki, generałowej Anny Wojnicew, właścicielki ziemskiej, kobiety obdarzonej umysłem ostrym i jasnym, pogubionej w życiu, świadomej, że już nie załatwi swych trudnych spraw; znowu zebrała się okoliczna śmietanka towarzyska. Cóż to za towarzystwo. Ciągłe narzekania na wszystko, jednym słowem, wegecacja zapuszczonej prowincji rosyjskiej początku lat osiemdziesiątych XIX wieku. Błazenada, cynizm, przygody miłosne, duchowy marazm i próżniactwo. Na stole, jak zawsze, niezawodne lekarstwo na chorobę duszy, która toczy zapomniany przez świat zaścianek. Wszyscy czekają na niego. Za drzwiami muzyka. Jego nie ma i nie będzie. Nie opowie im, jak to robił dawniej, o rzeczywistości, nie przypomni – ten pozer – o błędach, mizerni moralnej pustego życia, nie będzie tyrad i pouczeń. Nie będzie, bo Płatonow tym razem po prostu nie przyjedzie do wdowy po generale. Ta nieobecność pokaże, jak nigdy dotąd, brak rzeczy najważniejszej: kontaktu duchowego między ludźmi żyjącymi w zbiorowości, obcuującymi ze sobą nieustannie.

Małgorzata Bogajewska, laureatka Nagrody im. Zygmunta Hübnera „Człowiek Teatru” 2022, wzięła po raz kolejny na warsztat Czechowa. Ma wyuczucie wszelkich trudnych do zagrania dźwięków tego autora więc i tym razem, w Teatrze Śląskim na zakończenie sezonu wykonała koncert złożony z dramatycznych fraz szarej codzienności,

niepokojącej powszedniości. Niebawem, że ten młodzieńczy dramat, pisany przez dwudziestolatka, czekający długie lata na zaistnienie, niezbędny do zrozumienia dojrzałej twórczości artysty, nadal stanowi dla współczesnych powod do wyrażenia lęków, niepokojów, opisywania duchowego ubóstwa, marazmu, w jakim tkwi terażniejszość. Być może prawdy dotyczące ówczesnej codzienności, nadal są aktualnie, trafne choć przecież wtedy jak i dzisiaj niejednoznaczne.

Bogajewska podjęła się trudnego zadania. Jak wybrzmieć ma *Płatonow* Czechowa, gdy tak niedaleko toczy się wojna, a tu rosyjska inteligencja topiąca w morzu wódki frustracje, pomiętą miłość, własną niemoc i przeciętność – milczy. Zresztą, co miałyby powiedzieć? Wszyscy czekają. Czekają, nieświadomi swego celu w życiu. To nie będzie dramat oparty na konflikcie, głośnym starciu, wielkim napięciu, nic z tego, tutaj usłyszymy najwyżej krzyk rozpaczy, gniewny skowyt poślubionego wybrańca, śmieszny żal do przodków za zmarowane życie, przerażenie wobec faktu nieprzystosowania, no i morze ironii, przenikliwie ostre prawdy, która kaleczy ludzi trawiących czas na rozpamiętywaniu pustki, nudy bezsilnej egzystencji na własne życzenie.

Być może twórcy spektaklu chcieli pokazać bohaterów *Płatonowa* zastygłych w swych wadach, troskach, pretensjach, jakby nie tyle nie mogli, co nie chcieli ruszyć się z miejsca, by w koń-

cu coś zrobić, osiągnąć, przestać okłamywać siebie, nie zaśłaniać pustki, ślepoty, niepoważnym, papierowym buntem. Sam Czechow pisał o tym do Suworina, promotora i wydawcy jego dzieł poza granicami Rosji: „My opisujemy życie takie, jakie widzimy a dalej – ani rusz”. Coś podobnego mamy w tej inscenizacji. Niemoc i oczekiwanie. Przyjedzie oczekiwany Płatonow i pomoże wszystkim ruszyć z miejsca, wypłynąć. Tak się nie stanie. Od razu wiadomo, że się nie pojawi. Nie oznacza to, że goście Anny Wojnicew usiądą w spokoju przy obszernym stole w gościnnym salonie. Spokoju tam nie doświadczymy, bo nieustanne pretensje, awantury, potyczki słowne, oskarżenia, interesy będą odbijać się od ścian, przypominając wrzenie świata, które zdaje się nie docierać do ich świadomości.

Każdy szuka sposobu, by radzić sobie z rzeczywistością, biorąc udział w toczącej się grze pozorów. Zatem udają, zwodzą innych, robią wszystko, żeby nie spojrzeć prawdzie w oczy, bo strach przed demaskacją jest silniejszy niż obawa, że ktoś przejrzy ich nieczne zamiary, oszustwa i dowie się wszystkiego. Bogajewska pokazała sposób bohaterów Czechowa na przetrwanie, wytrzymanie rzeczywistości, zniesienie tego, czego znieść już niepodobna, bo w świecie nie ma dla nich miejsca.

Przyjrzyjmy się im bliżej, spróbujmy nieco ogarnąć tę dziwną wspólnotę pozbawioną współczucia i bliskości, a może tylko udanie skrywającą prawdziwe intencje. Korowód niewolników miłości, nudy i rozpaczy otwiera zagrana mistrzowsko przez Annę Kadulską generałowa. Barwna, wolna, demaskująca wszelki fałsz, jednocześnie ukazująca w spojrzeniu nostalgii. Doprawdy, niebardzo wiadomo, jak wygrała wszelkie subtelne warianty celnej ironii oraz bezlitosnej prawdy własnego losu. Cóż z tego, że zadbała o gości, skoro o siebie nie była już w stanie. Nawet majątek, którym kiedyś dysponowała, przepadł i stał się wspomnieniem.

Pozostało trwonienie resztek pożyczonych pieniędzy i tyrały pretensji wobec pasierba, syna generała Wojnicewa z pierwszego małżeństwa, który zajęty jest wyłącznie niedawno poślubioną żoną, pełną wspomnień, smutku i żalu. Marcin Szaforz zagrał tę postać bardzo oszczędnie, jakby nie wiedząc,

42  
fot. Przemysław Jendroska



którą z cech wyróżnić, jak rozłożyć akcenty, odsłonić charakter Sergieja. Inaczej jest z jego żoną graną pięknie i subtelnie przez Irminę Liszkowską, pojawiającą się na scenie niczym powiew wieczornego wiatru wpadającego przez uchylone okno pokoju. Mikołaj, młody lekarz, kochający kobiety oraz zabawę, w interpretacji Mateusza Znanickiego zachwyił powściągliwością i wyczuciem. Bardzo łatwo przerysować niejednoznaczną postać syna pułkownika Tryleckiego, jemu udało się zagrać coś pomiędzy buntem a rezygnacją. Ta postać z pewnością zostanie w pamięci widzów. Podobnie jak jego siostra Sasza, żona nieobecnego Płatonowa, w wykonaniu Aleksandry Przybył, która dobrze zagrała godność, prostotę, skromność, odsłaniając w swej twarzy odbicie głębokiej samotności.

Natomiast Antoni Gryzik ujmująco, ciepło, niemal lirycznie wcielił się w postać adoratora gospodyni, właściciela ziemskiego, sąsiada i powiernika, którego nie są w stanie zniechęcić nawet ostentacyjnie lekceważące tyrady generałowej. No i światowy syn Głagoljewa, Cyryl, dobrze odnajdujący się w tym wcieleniu Piotr Bułka, który zagrał tę interesującą rolę w sposób przemyślany i wiarygodny. Jest jeszcze żywiolowa, kreślona ostrymi liniami osobowość Marii Grekow Agnieszki Radzikowskiej – o niej jeszcze za chwilę; Kamil Suszczyk oddający bardzo prosto natrętnego kupca Bugrowa; zjawiskowy, pojawiający się zniemacka Grzegorz Przybył jako koniokrad Osip, głos sumienia, echo dawnych win, zjawa z innego świata. Niezwykła zbieranina zasiadła przy stole generałowej.

Wróćmy do Marii Grekow. Autorka katowickiej adaptacji Czechowa tej właśnie postaci przypisała szczególne znaczenie. Wspomniano już o kontekście, w jakim przyszło mierzyć się twórcom



spektaklu z dramatem Czechowa. Niezwykła glosa wybrzmiewa, gdy Maria zaczyna mówić frazami współczesnego rosyjskiego pisarza Władimira Sorokina – jednego z sygnatariuszy apelu autorów piszących po rosyjsku w sprawie szerzenia prawdy na temat wojny wewnątrz Rosji – frazami protestu przeciw napaści na Ukrainę. Agnieszka Radzikowska mówiąc pięknie Czechowem, mówi jednocześnie manifestem Sorokina. Przejmujące jest to, że fragmenty obu autorów tak odległych przecież brzmią unisono, bez fałszu i dysonansu. Aktorce udało się przekonująco, bez cienia publicystyki wyrazić w sposób prosty zwykły ludzki strach, niezgodę na przemoc, śmierć, okrucieństwo wojny i porażającą obojętność niektórych ludzi wobec zła.

W twórczości Czechowa *Płatonow* zajmuje miejsce szczególne: wyznacza szlaki, motywy, kierunki i tematykę przyszłych, dojrzałych dramatów. Być może stąd wybór Małgorzaty Bogajewskiej, by zmierzyć się właśnie z tym tekstem. Poszukać pośród właściwości, jakie oferuje punktu opar-

cia, wyjścia do spraw szerszych ogólniejszych. Bardzo udanie powiodło się na scenie Teatru Śląskiego pokazanie problemów, wątków, cech charakterystycznych dla całej dramaturgicznej spuścizny autora. Wobec braku tytułowego bohatera, puste miejsce zajął portret zbiorowy. Nieobecność stała się inspirująca, prowokująca do rozmów, wyzwań, to dzięki niej możliwym stało się pokazanie prawdziwych emocji, stosunku jednych do drugich, próby odpowiedzi na banalne pytania: jak żyć, jak znaleźć miejsce w teraźniejszości, gdzie dla podobnych bohaterom Czechowa miejsca po prostu nie ma.

Kiedy siądziemy któregoś wieczoru w salonie Anny Wojnicew, damy się ponieść chaotycznym, głośnym rozmowom, gdy nikt nikogo nie słucha, bo nie chce, tak wygodniej, może zobaczymy raz jeszcze ten odchodzący powoli w zapomnienie świat. Tam ciągle mówi się o rozpoczęciu jakiegoś nowego życia, co nigdy nie następuje, z nudów zabawia wzajemnym znęcaniem nad sobą, zapewnia o konieczności zabrania się do pracy, kochania innych, a pielęgnuje bezsilność i rozpacz. A może to wszystko obudzi u niektórych przekonanie wpisane w intencje samego Czechowa, że trzeba coś w końcu zmienić, by nie być jak oni obojętnym, pogubionym, zapatrzonym w zięjącą pustką dal. Bo ostatecznie warto zdobyć się na słowo protestu przeciw podłości świata i niezrozumiałego lęku przed życiem. ■

**Anton Czechow**  
***Płatonow***  
 Adaptacja i reżyseria Małgorzata Bogajewska  
 Premiera 10 czerwca 2022  
 Teatr Śląski w Katowicach



## Wartość dodana

Sprzedawca na straganie  
po dwa złote za kilo sprzedaje jabłka  
które po złotówce dziś rano kupił prosto z sadu

To oznacza że każde jabłko którego dotknie  
Dwukrotnie zyska dziś na wartości

Kiedy dotykam twych włosów  
twoich policzków i piersi i ramion  
czy wiesz o tym  
że z każdym moim dotknięciem  
także i ty  
co najmniej dwukrotnie zyskujesz na wartości?

\*

W Górkach Śląskich u Ani i Darka  
na podwórzu za domem  
są sterty cegieł worki cementu i przmy piasku  
z których nie będą wznosić katedry  
tylko oborę

Ta trójca święta która tam zamieszka  
to troje kóz

Trzy kozy  
do których nie trzeba się modlić  
choć nie wystarcza tylko je karmić  
ale trzeba też przytulać i głaskać  
aby dawały pożywne mleko

\*

Moje ciało nie daje mleka  
jedyne co mam na sprzedaż  
to tylko łzy  
zasuszone jak leśne grzyby  
i ponawlekane na nitki  
Ale nikt ich nie chce kupować

Dopóki żyję  
niewiele we mnie cokolwiek jest warte  
może jedynie szpik  
może niecałe pół litra krwi

Dopiero po śmierci  
moje ciało może choć trochę zyska na wartości  
o ile wątroba śledziona i nerki  
jeszcze nadawać będą się do przeszczepu

## Widziałem to już w telewizji

W 2010 roku w trzęsieniu ziemi na Haiti zginęło 316 tysięcy ludzi.  
Pokazywano domy, które wyglądały jak powywracane na grzbiet chrabąszcze i żółwie.

Widziałem pożary w Australii i Brazylii  
i białych ludzi o czarnej skórze, którzy mieli stopione jak plastik włosy i paznokcie.

Na zdjęciach filmowych z powodzi błotnej w Kolumbii, z 1985 roku,  
pierwszy raz zobaczyłem, że ziemia może być tak płynna,  
że łatwiej po wodzie byłoby przejść suchą stopą.

W siedemdziesiątym trzecim i czwartym i piątym była wojnie w Wietnamie  
i codziennie było o tym w telewizji.

Potem o Iraku i Afganistanie, o Zatoce Perskiej, potem o Bałkanach,  
na wszystkich programach codziennie było o tym w telewizji.

Teraz Ukraina.  
Na ulicach zasieki, armaty, haubice i czołgi.  
Na Ukrainie wojna.  
Są zabici i ranni. Ogień i dym. Popiół i gruz.  
Właśnie teraz,  
tam w Ukrainie,  
trwa wojna.

Ale ja chyba kiedyś widziałem to już w telewizji

25-29 III 2022

## Trzy tematy

Nie wiadomo jak długo jeszcze  
potrwa ta wojna w Ukrainie

ale już dziś wiadomo  
że Zelenski  
Mariupol  
i Wyspa Węży

to trzy tematy

o których pisać będziemy książki  
o których kręcić będziemy filmy

i na pewno nie gorsze niż „Cienka czerwona linia”  
a może nawet lepsze niż „Czas apokalipsy” i „Pluton”?

7 V 2022 / 9 V 2022

## Kwestia czasu

Są takie  
godziny  
dnie  
i tygodnie  
które by się chciało  
wyciąć  
i powklejać  
w całkiem inne miejsca

Ot, choćby te dwie godziny  
z dwunastego kwietnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego,  
przesiedziane na bytomskim dworcu w oczekiwaniu na Monikę czy Jolę.  
Te dwa dni z Elżbietą w Bukareszcie w dwa tysiące szesnastym, we wrześniu.  
Albo ten cały tydzień na wakacjach w Kołobrzegu  
w pierwszej połowie sierpnia siedemdziesiątego czwartego.

Gdyby dało się je wyciąć  
to bym je powklejał  
w ten czas i w te miejsca  
w które spóźnię się na pewno  
i w których jak zawsze to samo usłyszę:  
– „Spóźnił się pan, Panie Leszku, o te parę godzin”  
– „Tym razem zabrakło panu tylko kilku dni”

Więc to kwestia czasu.

Kwestia kilku tygodni  
kilku dni  
to kwestia kilku godzin.

Kwestia czasu  
która już zapisana jest w scenariuszu  
w wierszu szesnastym  
na siedemset dwudziestej czwartej stronie.

Kwestia czasu  
którą wystarczy teraz już tylko wypowiedzieć.

Napisana specjalnie dla mnie  
i włożona w moje usta  
zimna i gładka  
jak lufa  
nabita  
i odbezpieczona  
jak rewolwer

## Przedtem

Po tej wojnie  
nic już nie będzie  
takie samo  
*jak przedtem*

Po tej wojnie  
*takie jak przedtem*  
nie będzie już nic  
takie samo

Bo zawsze tak jest  
po każdej wojnie

I zawsze jest tak  
przed każdą wojną

Że zawsze jest  
jakieś „*przedtem*”  
które i było i będzie  
i zawsze jest

takie samo

8 III 2022

## Hamlet 2021

Dekoracje na scenie są już ustawione  
kostiumy i rekwizyty zostały rozdane  
publiczność jest na sali  
zaraz zgasną światła  
kurtyna się podniesie  
i mam wyjść na scenę

Jedyne co pamiętam  
to że na tej scenie  
o coś mam się spytać  
i gadając do czaszki  
mam na to pytanie  
sobie odpowiedzieć

Co mam odpowiedzieć  
dość mgliście pamiętam  
tylko zapomniałem  
jak dokładnie miało  
zabrzmieć to pytanie

– *Ja bardzo przepraszam.  
Wiem, że brzmi to głupio.  
Lecz może ktoś z państwa  
przypadkiem pamięta,  
o co to ja miałem siebie tam zapytać?*

rys. Bogna Skwara



# Zwyczaje związane ze świętami zbiorów w dawnej Europie

MICHAŁ SPURGIASZ

W społecznościach tradycyjnych jesień stanowiła szczególny czas. Noc powoli stawała się coraz dłuższa, a temperatura stopniowo spadała. Zmianie ulegała kolorystyka świata – świeżą zieleni wypierały brązy i czerwienie. Cały ten proces zdecydowanie nie umykał percepcji przodków, którzy podpierając się bogatą wyobraźnią starali się odnaleźć wytłumaczenie przeobrażeń świata natury. Widzialnej transformacji podlegał nie tylko las czy pastwiska. Na polach doglądanych przez przedstawicieli kultur dawnej Europy – Słowian, Celtów, German – dojrzewały plony. Aby przygotować się na niechybne nadejście zimy i zapewnić sobie przetrwanie do przyszłego roku, konieczne było wykonanie szeregu dodatkowych prac. Najważniejsze były miesiące ulokowane na pograniczu lata i jesieni – sierpień oraz wrzesień, choć też czasem początek października, gdy zbierano plony z pól i przygotowywano zwierzęta do zejścia z letnich pastwisk oraz odstawiano cielęta od matek. Każda z kultur

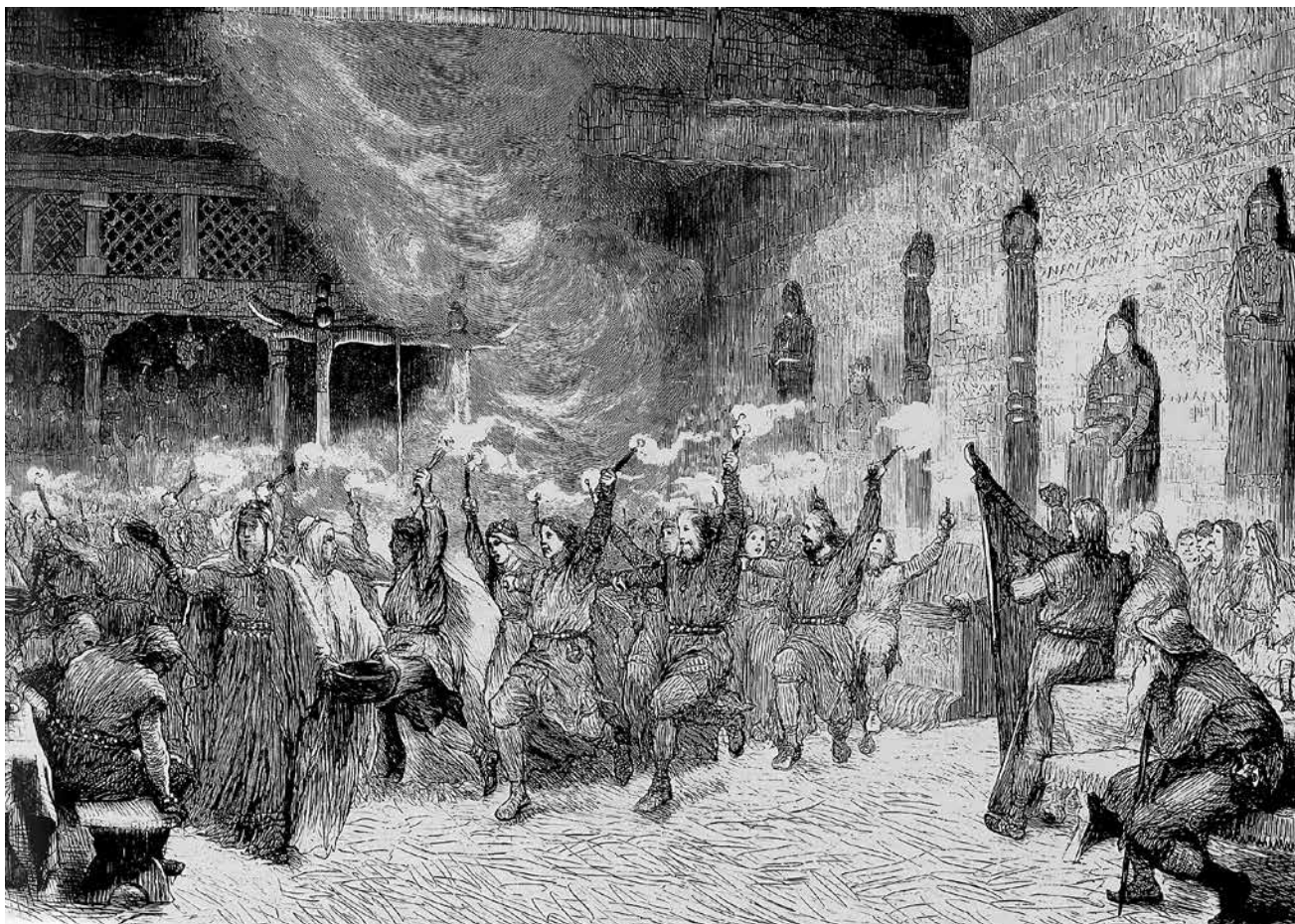
omawianych w niniejszym artykule miała własne wierzenia i przekonania związane z tym szczególnym okresem wyťažonej pracy, jednakże wszystkie one są do pewnego stopnia podobne oraz mają wspólną, powszechnie spotykaną symbolikę, która odsyła myśl w rejony poprzedzające epokę brązu czy żelaza – do pierwszych europejskich rolników.

## Celtowie

Zwyczajowo mówi się, że 1 sierpnia – mniej więcej w połowie między letnim przesileniem a jesienną równonocą – ludy celtyckie, a przynajmniej celtycka ludność Irlandii, obchodziły święto noszące nazwę Lughnasadh („zgromadzenie Lugh’a”), które symbolicznie wyznaczało początek okresu zbiorów. Trwające miesiąc świętowanie rozpoczynano na piętnaście dni przed pierwszym sierpniem i kontynuowano przez piętnaście dni po nim. Nazwa odnosi się do Lugh’a, irlandzkiego boga i mitycznego wiecznie młodego króla ludu Tuatha Dé Danann,

którego imię można rozumieć jako „Lśniący”. W irlandzkim cyklu mitycznym święto było związane z kilkudniowymi uroczystościami pogrzebowymi Áenach Tailteann, zorganizowanymi przez Lugh’a dla upamiętnienia swojej przyrodniej matki Tailtiu (jej imię można odczytywać jako „Piękna”), która zmarła z przemęczenia spowodowanego pracą nad przygotowaniem irlandzkich pól pod uprawę roślin jadalnych.

Z Lughnasadh tradycyjnie związane są festyny i plemienne zgromadzenia, na których wielką popularnością cieszył się handel zwierzętami, w szczególności końmi, ucztę, występy bardów i filidów oraz zawody atletyczne. W trakcie tego święta zakazana była wszelka przemoc – nie wolno było prowadzić działań wojennych, kaleczyć bydła, a nawet ściągać należności od dłużników. Co więcej, na zgromadzenia nie wolno było wносить z sobą włóczni, a opuszczający je mieli zakaz oglądania się przez lewe ramię – miałyby to spowodować nieszczęście na jeszcze uczestniczących w zabawie. Był



*The Disablót, by August Malmström (1829–1902)*



to również okres kojarzenia ludzi w pary – zawierano małżeństwa próbne, które trwały zaledwie jeden rok z możliwością przedłużenia i przeistoczenia w pełnoprawne małżeństwo. Szczególne znaczenie w trakcie święta miała postać króla – oceniano, czy jest dobrym, czy złym władcą, w zależności od tego, jak sumiennie przygotowywał się do obchodów. Naczelną wartością święta była bowiem przyjaźń, a obowiązek utrzymania społeczności w harmonii uznawano za podstawowe zadanie władcy. Zwyczajowo udawano się na górskie wycieczki oraz pielgrzymowano do świętych studni oraz rzek. W trakcie obrzędów religijnych, które towarzyszyły radosnym festiwalom, oddawano bogom różnego rodzaju pokarm – dojrzałe owoce, ziarna, wypieki wykonane ze świeżo zebranych zbóż. Dary często zakopywano na szczytach okolicznych wzgórz, czasem wraz z polnymi kwiatami, aby podkreślić nadchodzący koniec lata. Święto mogło reprezentować zwycięstwo mocy dobrobytu reprezentowanej symbolicznie przez boga – króla Lugh nad nieurodzajem i suszą, które kiedyś miały dotknąć jego lud. Znalazło to wyraz w micie, w którym Lugh wykrał zboże od boga Crom Dubha i przekazał je ludzkości (w tradycyjnej kulturze Irlandii pierwsza niedziela sierpnia nazywana była Dé Domhnaigh Crum-Dubh – w jej trakcie urządzano ucztę dla rodziny składającą się z pierwszych plonów). W percepcji celtyckiej był to też okres „pomiędzy”, kiedy pełnemu wyczerpaniu miały ulec zsztoroczne zapasy, a moment powszechnych i pełnych żniw jeszcze w nie nadszedł.

Zwyczaje związane z Lughnasadh były żywe na terenie Irlandii aż do początku XX wieku. Nie zanikły jednak do końca i pewne ich echa wciąż są obecne w kulturze współczesnej. Przykładem może być choćby obchodzony po dziś dzień w sierpniu w mieście Killorglin festyn dożynkowy znany pod nazwą Puck Fair. W jego trakcie odbywają się koncerty, konkursy, tradycyjny targ koni i bydła i rozstawia się stragany oferujące zarówno tradycyjne irlandzkie smakołyki, jak i wyroby lokalnego rzemiosła. Zdawałoby się, że nie ma już śladu po boskim królu Lughu, który został wyparty przez chrześcijaństwo, jednakże i on przetrwał, choć ukryty, w tradycji. Co roku przed rozpoczęciem festynu budowana jest wysoka, drewniana platforma i grupa ludzi udaje się w pobliskie góry (które należą do najwyższych w Irlandii) w celu pochycenia żywcem duże, dzikiego kozła. Zwierzę prowadzone jest do miasta, gdzie młoda dziewczynka dokonuje symbolicznej koronacji capa i ogłasza go Królem Puck. Przez trzy dni ukoronowany kozioł – symbol płodności i sił życiowych – dogląda z trybuny całego jarmarku. Następnie jest uwalniany i zwracany górom.

### Germanie

Zwyczaje związane z radosnymi obchodami żniw były powszechne u ludności germańskiej, choć obchody nie miały ujednoczonej nazwy ani nie były ściśle określone

czasowo. Analizując to zagadnienie, można się spotkać z terminami takimi jak saksoński Hærfest czy nordycki Blót (termin ogólny na ucztę ofiarną niezastrzeżony jedynie dla święta zbiorów). Wydarzenia miały mieć charakter podobny do celtyckich – były radosne. W ich trakcie wręczano zapomogę potrzebującym członkom społeczności, spożywano chleb pieczony ze zebranych zbóż oraz świeże owoce i warzywa, a ponadto do późnych godzin nocnych pito miód. Szczególne znaczenie miał pierwszy i ostatni snopek zebrany z pola. Poświęcano go bogom. Zakładać można, że szczególnie czczono pamięć bogów Thora – odpowiedzialnego za deszcz, Freya – boga płodności i Sif – pani zbóż i urodzaju. W zależności od rodzaju osiedla ceremonię prowadził król, jarl, lub po prostu głowa rodziny. Te przeprowadzane z okazji żniw miały zapewnić *til árs* – obfity plon i *til farsældar* – pomyślność, czyli to, co gwarantowało przetrwanie zimy przez całą społeczność. Blót mógł odbywać się niemal wszędzie, choć zwykle decydowano się na miejsca kojarzone z świętością takie jak świątynie, dedykowane domy, kurhany bądź wzniesienia. Z zachowanych zapisków dotyczących obchodów święta zbiorów w świątyni w Uppsali, jednej z najistotniejszych świątyni nordyckich, wiadomo, iż Blót miał krwawy przebieg – jeśli składane ofiary z byków okazywały się nieskuteczne i plon był marny, to w następnym roku istniała możliwość złożenia w ofierze człowieka. W innych ośrodkach kultu poświęcano też świni i konie. Ofiary zwykle zabijano uderzeniem miecza lub topora w kark, a ich krew zbierano do mis lub wlewano na kamienie. Gdy była jeszcze świeża, maczano w niej gałżki i sownicę kropiono uczestników ceremonii.

Współczesne ruchy religijne nawiązujące do spuścizny germańskiej używają nazw takich jak Freysblót, Freyfaxi bądź Lithasblót na określenie obchodzonego w sierpniu święta powiązanego z tradycją zbiorów. W ich trakcie odbywają się okolicznościowe uczty i pieczony jest specjalny chleb w kształcie boga Freya, który później dzieli się między uczestników.

### Słowianie

Ludność słowiańska nie pozostawiła po sobie bogatych zapisów swojej obrzędowości, zdecydowana większość opisów zwyczajów słowiańskich to rekonstrukcja tworzona na podstawie zapisanych obyczajów i norm już z czasów chrześcijańskich. Można jednak wskazać, że ludność słowiańska obchodziła swoje święto nazywane Dożynkami, Obrzynkami czy Wieńcami, a w przypadku Śląska Żniwiokiem w okolicach równocy jesiennej. Pewne echa dawnych, przedchrześcijańskich zwyczajów są obecne we współczesnych obchodach dożynek, jednak zasadnicze zmiany uległ zarówno czas święta i jego charakter. Z równocy przesunięto je bowiem na jeden z ostatnich weekendów sierpniowych lub wrzesniowych tuż po zakończeniu żniw, a przedchrześcijańskie zwyczaje zostały za-

stąpione przez katolickie bądź świeckie. Słowiańskie święto plonów, podobnie jak celtyckie i germańskie, miało na celu wyrazić wdzięczność ludności za otrzymany plon oraz poprzez szereg zabiegów rytualnych zapewnić obfite zbiory w roku przyszłym. Obrzędowo ścinano ostatnie przeznaczone do ścięcia kłosa nazywane zależnie od regionu kozą, brodą, czy pępkiem, tworząc z nich udekorowany wstęgami i liśćmi snopek. Czasem nawet ofiarowywano mu chleb. Zwyczajowo po ścięciu ostatnich kłosów gospodarz objeżdżał lub obchodził pole w kierunku zgodnym z ruchem słońca. Wszystko to odbywało się w uroczystej atmosferze, ponieważ od powagi procedury miało zależeć przyszłoroczne powodzenie agrarnej społeczności. Z ostatnich zebranych kłosów przygotowywano udekorowany liśćmi, owocami, orzechami, a później także kolorowymi wstęgami, ozdobny wieniec. Najczęściej miał on formę koła, choć na Śląsku spotykane były też formy wykonanej z czterech rodzajów zboża korony. Następnie uczestnicy święta wracali do wsi w rozśpiewanym radosnym korowodzie prowadzonym przez pierwszego żniwiarza lub żniwiarę (uprzednio wybranych najlepszych żniwiarzy tego roku). Wieniec miał skupiać w sobie siły płodności ziemi i pobudzać naturę do wydania jak największego plonu, zatem musiał być jak najbardziej okazały. W okresie feudalnym tak przygotowany wieniec niesiono do domu dziedzica lub bogatego chłopca, który odbierał go od korowodu i otwierał uroczystą dożynkową ucztę. W jej trakcie tańczono do muzyki, pito alkohol oraz jedzono kołacz, czyli specjalny okolicznościowy okrągły placek. Dawni Słowianie prawdopodobnie składali też ofiary swoim bogom oraz wróżyli i wypatrywali znaków, dzięki którym byłoby w stanie odgadnąć przyszłość. Zwyczajowo pozostawiano też kilka nieskoszonych kłosów zbóż na polu, pozwalając, aby ich ziarna samoistnie rozsypały się po okolicy. Sam wieniec był przechowywany do roku następnego.

Święta żniw były wydarzeniem radosnym, podsumowującym długi okres prac na polu. Miały przede wszystkim charakter dziękczynny. Dawni mieszkańcy Europy dziękowali bogom i opatrności za udane zbiory oraz starali się poprzez różne zabiegi magiczne, takie jak ofiary, pielgrzymki do miejsc świętych zapewnić sobie przyszłoroczne powodzenie. dziękowali też samej naturze za plon, który wydała. We wszystkich opisanych tradycjach obecny też był element patrzenia w przyszłość. W wydarzeniach bieżących starano się dopatrzeć wskazówek dotyczących przyszłego biegu wypadków. Mimo radości z pierwszych plonów i chwilowej obfitości ludność miała świadomość, że powoli nadchodzi zima, a wraz z nią ciężkie chwile dla agrarnych społeczności dawnej Europy. Radosne celebracje chwil, gdy spiżarnie były pełne, stanowiły zatem moment odprężenia między ciężką pracą na polu a srogim dotykiem zimy.

# Beskidzkie reduty Września 1939

TOMASZ BIENEK

**Ostatnie dni sierpnia 1939 roku w Beskidzie Śląskim i Żywieckim miały pod znakiem gorączkowych prac budowlanych. Setki junaków z hufców pracy pod okiem inżynierów specjalistów i saperów Wojska Polskiego drążyły w karpackich stokach okopy i doły pod fundamenty schronów bojowych, donosiło belki, deski, pręty, worki cementu i szpule drutu kolczastego. W dzień i noc – pod rozgwieżdżonym górkim niebem, pracowały dźwigi, kręciły się betoniarki, lano beton w szalunki kolejnych żelbetowych gigantów, mających ochronić południową rubież II RP przed spodziewanym hitlerowskim atakiem.**

Turyści i wędrowcy przemierzający urzekające swym pięknem tereny Beskidów dość często napotykają obiekty, zdające się swą brzydotą uragać górskiej nieokiełznanej przyrodzie. Te napotykane w beskidzkich lasach, szare, nieraz porastające mchem i rdzą, betonowe kolosy, często wysadzone przed laty w powietrze, pozbawione oddanych na złom elementów pancernych, to budowane w ostatnich miesiącach istnienia II RP schrony bojowe, których zadaniem było powstrzymać hitlerowski atak z południa. Idealnie wkomponowane w teren, mając za wielkiego sojusznika górzyste ukształtowanie terenu, obsadzone dobrze wyszkolonymi załogami, miały być przeszkodą, na której agresor połamie sobie zęby lub przynajmniej zatrzyma się na jakiś czas. Wybudowano całe zespoły obiektów; w Węgierskiej Górcie, w Krzyżowej i Przyborowie u stóp Pilska, w Skoczowie, Cieszynie, Bielsku-Białej...

Jesienią 1938 roku sytuacja geopolityczna w Europie po raz kolejny uległa znaczącym zmianom. Hitlerowskie Niemcy dokonały aneksji tzw. Kraju Sudeckiego – należącego do Czechosłowacji obszaru przygranicznego, a Wojsko Polskie zajęło Zaolzie, będące od 1919 roku elementem spornym między oboma państwami. Do Polski przyłączono też niewielkie tereny Spiszu i Orawy, oraz pewne (śladowe wręcz, wyłącznie o znaczeniu lokalnym) obszary w Beskidzie Niskim i w Bieszczadach. W prasie i radiu II RP zwłaszcza wkroczenie na Zaolzie – najbardziej atrakcyjny i zamieszkały przez sporą ilość ludności polskiej teren, przedstawiono jako wielki sukces. W gazetach pokazywano przejęte zakłady przemysłowe i kopalnie w karwińskim zagłębiu węglowym, hutę w Trzyncu – a także zajęte bez walki czechosłowackie schrony bojowe, przejęte m.in. w Cieszynie, Bohuminie, Dolnej Lutyni i wielu innych miejscach. Dotychczasowa granica polsko-

-czechosłowacka wydłużyła się o 24 kilometry, osiągając długość 1008 kilometrów.

Wiosną roku 1939 spełnił się niestety jeden z najczarniejszych scenariuszy dla polskich sztabowców. Hitlerowcy dokonali pełnego rozbioru Czechosłowacji. Na gruzach tego już i tak okrojonego kraju powstał okupacyjny twór pod nazwą Protektoratu Czech i Moraw – czyli okupowane przez hitlerowców ziemie czeskie, oraz niepodległa, choć faszystowska i sprzymierzona z III Rzeszą Słowacja. Oznaczało to konieczność przygotowania się na agresję na południowym, tysiąc kilometrowym odcinku granicy. Pewien promyk nadziei stanowił fakt, iż linia graniczna między Polską a Słowacją przebiegała w górach, znacznie łatwiejszych do obrony niż płaskie tereny.

Granica ta zaczynała się zachód od góry Mały Połom, następnie biegła w kierunku wschodnim przez górę Velky Połom, na południe od Przełęczy Jabłonkowskiej, na północ od Czadcy przez Wielką Raczę, Pilsko, Babią Górę, Chyżne, przecinała dolinę Orawy i Tatry, następnie szła doliną Białki i wzdłuż doliny Dunajca, przez Pieniny, doliną Popradu, przez Muszynę i kończyła się w okolicach Łupkowa, gdzie spotykały się granice Polski, Słowacji i Węgier.

Wiosną 1939 w Sztabie Generalnym Wojska Polskiego ruszyły gorączkowe prace sztabowe nad koncepcją obrony południowej flanki. Część generałów, przekonanych iż większość sił pochłona walki na granicy z Niemcami, lansowała teorię, iż wobec niemożliwości obstawienia wojskiem wszystkich granic, na południu należy ufortyfikować najwyższe górskie szczyty,

bardzo skomplikowane do zdobycia, z których obrońcy mogli by szachować nieprzyjaciela ogniem artylerii i broni maszynowej nawet z dużej odległości. Taktyka ta nie wymagała zaangażowania zbyt wielkiej liczby żołnierzy i sprzętu, a więc pozwalała skoncentrować większe siły na ważniejszych odcinkach obrony. Pod koniec II wojny światowej postępowali tak zmagający się z licznymi niedoborami Niemcy, broniąc się np. w Karpatach czy w górzystych terenach we Włoszech.

Druga z polskich koncepcji zakładała coś przeciwnego – zamknięcie dolin poprzez wybudowanie u stóp gór silnych fortyfikacji przy ważnych szlakach komunikacyjnych wiodących z południa. Zwolennicy tego poglądu argumentowali, iż budowa twierdz na szczytach górskich utrudniona będzie koniecznością dowożenia na znaczne odległości i wysokości materiałów budowlanych, co przy kiepskim stanie dróg w górach, lub ich całkowitym braku w owym czasie, znacznie wydłuży czas budowy fortyfikacji, oraz pochłonie środki transportu, których niedostatek odczuwano. Wobec zbliżającej się już wojennej nawałnicy, sztabowcy wybrali drugie rozwiązanie, łatwiejsze do zrealizowania ze względu na połączenia kolejowe lub drogowe istniejące w dolinach, pozwalające na dowóz sprzętu. Latem 1939 roku przystąpiono do wcielania tej wizji w życie. Jako pierwsze do ufortyfikowania wytypowano najważniejsze drogi przez góry, za jakie uznano doliny rzek Soły, Koszarawy, Skawy i Raby. Zablockować je miały odpowiednio punkty oporu „Węgierska Górka”, „Jeleśnia”, „By-



Opuszczony dworzec kolejowy w Pogórze pod Skoczowem. W 1939 roku polski ostrzał z jego okolicy wspierał obronę nieistniejących już obecnie schronów w pobliżu

fol. Tomasz Biének

stra” i „Jordanów”. Z planowanych założeń obiekty powstały jedynie w dwóch pierwszych, choć także i tam udało się zrealizować jedynie część obiektów, a w dodatku nieukończonych całkowicie. Największy nacisk kładziono na prace w Węgierskiej Górcie, gdyż w ramach studiów koncepcyjnych uznano, iż to właśnie tamtędy, doliną Soły i następnie przez Kotlinę Żywiecką wiedzie najważniejsza i znana od niepamiętnych czasów droga łącząca obie strony Karpat. Przechodzi tam też czynna do dziś, strategiczna wówczas linia kolejowa. Uznanie punktu oporu w Węgierskiej Górcie jako inwestycji priorytetowej poskutkowało tym, iż obecnie to tam do dziś oglądać można największą ilość schronów na stosunkowo niewielkim obszarze. Nie jest to jednak ich jedyna lokalizacja.

Przed budowniczymi piętrzyły się horrendalne trudności – ze względu na budowane wciąż fortyfikacje Górnego Śląska, brakowało materiałów oraz specjalistów. Przeszkodą był brak doświadczenia w budowie tak silnych fortyfikacji w tak wysokich górach. Główną bolączką był jednak umykający bezlitośnie czas, i już latem 1939 roku zdawano sobie sprawę iż na wykończenie wszystkich planowanych obiektów zabraknie pieniędzy, materiałów i czasu, zakładano więc, że to, co uda się wybudować do wybuchu wojny będzie na tyle skuteczne, że zatrzyma na jakiś czas nieprzyjaciela, i pozwoli siłom głównym na sprawne wycofanie się lub przegrupowanie.

Gdy wybuchła wojna do najsłynniejszych przykładów użycia tych obiektów przeszła właśnie obrona silnych polskich fortyfikacji w Węgierskiej Górcie, na którą składało się kilka ciężkich schronów bojowych, do tej pory nieraz błędnie nazywanych fortami. Bohaterscy polscy żołnierze 151 kompani fortecznej „Węgierska Górka”, pod dowództwem kpt. Tadeusza Semika, obsadzali pięć wybudowanych – spośród 21 planowanych – schronów, z których każdy otrzymał nazwę zaczynającą się od litery W. Jest Waligóra na zboczu Baraniej Góry, są Wąwóz i Wyrwidąb, bardziej w kierunku Żabnicy, i Włóczęga – dziś już niemożliwy do odwiedzenia, gdyż użyty jako fundament stanowi obecnie piwnicę domu mieszkalnego. Ten najbardziej znany, bo usytuowany najbliżej dworca kolejowego w Węgierskiej Górcie to Wędrowiec. Zna go niemal każdy turysta; w latach 70 władze PRL wybudowały zaraz obok schronu rodzaj amfiteatru, dalej ustawiono dwie stojące do dziś sowieckie armaty ZIS-3, odbywały się tu komunistyczne pseudo-patriotyczne przedstawienia i apele, które jedynie zatarty i zniekształcił obraz walk o Węgierską Górkę. Ten zniekształcony obraz jest zresztą nadal powielany w różnych publikacjach oraz funkcjonuje w świadomości wielu lokalnych mieszkańców. Wedle tych przekazów, walki zaczęły się, niczym na Westerplatte, już 1 września. Jest to nieprawdą, i odbiera pamięć o polskich żołnierzach i funkcjona-



Sowiecka armata z czasów II wojny światowej przy schronie Wędrowiec w Węgierskiej Górcie

riuszach Straży Granicznej, którzy na tym odcinku polegli rankiem 1 września – ale w okolicach miejscowości Skalite, obecnie na terenie Słowacji; tereny te przyłączono do Polski jesienią 1938 roku wraz z wkroczeniem na Zaolzie. Podczas porannej wymiany strzałów 1 września 1939 roku, prawdopodobnie pierwszym polskim poległym na tym odcinku był żołnierz, który zginął obok wiaduktu za stacją Skalite-Serafinov. Także i wróg nie wyszedł z tej walki bez szwanku – zaraz przed Zwardoniem, na linii obecnej polsko-słowackiej granicy, poległ niemiecki oficer. Po stronie polskiej, zanim walki przeniosły się na teren Zwardonia, czyli za obecną granicę, poległo jeszcze trzech polskich strażników granicznych z placówki w Świerczynowcu.

Tak naprawdę, hitlerowcy podeszli pod Węgierską Górkę dopiero 2 września, a bój skończył się dzień później, 3 września. W żaden sposób nie umniejsza to bohaterstwa, determinacji i woli walki polskich obrońców schronów Węgierskiej Górki – niestety narracja o walkach już od 1 września odbiera pamięć o tych, którzy ginęli pod Skalitem i Zwardoniem.

Obecny stan zachowania schronów bojowych Węgierskiej Górki przedstawia się dość zróżnicowanie. We wrześniu 1939 roku, wszystkie te obiekty były w stanie niewykończonym, żołnierze kapitana Semika walczyli w zasadzie na placu budowy; w ani jednym ze schronów nie zabetonowano żadnej z przewidzianych kopuł pancernych dla ciężkich karabinów maszynowych. Wśród zwalonych płotów otaczających plac budowy, żołnierze obkładali wyloty szybów nigdy nie zamontowanych kopuł pancernych workami z piaskiem, i w ten prowizoryczny sposób tworzyli stanowiska ogniowe.

Betonowa wieżyczka ustawiona na szybie dla kopuły ckm schronu Wędrowiec jest powojennym wytworem fantazji, a bio-

racząc pod uwagę jej oktagonalny kształt są wśród entuzjastów fortyfikacji zwolennicy tezy, iż to dostawiony przez Niemców w 1945 roku fragment, mający przystosować schron do obrony przed nadchodzącymi Sowiecami. Jak by nie było – nie ma ona nic wspólnego z Wrześniem 1939, w dodatku budowa amfiteatru w tak bliskim sąsiedztwie schronu mocno zakłóciła jego oryginalne otoczenie.

Waligóra na zboczach Baraniej Góry podczas okupacji posłużył jako plan propagandowego filmu wojennego kręconego przez Niemców, a po wojnie padł ofiarą nie do końca szczęśliwej rekonstrukcji – jego płaszcze ziemne zostały zniwelowane, w celu poprowadzenia spacerowych alejek z ławkami, w miejsce kopuły pancernej zainstalowano atrapę, która nie przypomina w żaden sposób ani jednego z typów panczerzy stosowanych w polskiej fortyfikacji lat 1918–1939. Nie zmienia to faktu, iż schron można odwiedzić, choć z bojowego kołosa zrobiono coś na kształt kwietnika. Biorąc pod uwagę ten fakt, oraz to, że otoczenie Wędrowca zostało mocno przerobione na potrzebę patriotycznych przedstawień, a na Włóczędze stoi jakaś willa – można zaryzykować tezę, że tak naprawdę najbardziej zbliżone od oryginału z 1939 roku są te najrzadziej odwiedzane i najbardziej zdezastrowane: Wąwóz i Wyrwidąb. Oba zostały kilkukrotnie wysadzone w powietrze, zaraz po walkach detonowano w nich zalegające na placu boju miny i niewybuchy, w 1945 roku zostały ponownie uszkodzone przez wycofujących się Niemców, zaś w latach powojennych ćwiczyli na nich polscy saperzy, i tkwią wśród pól, poszatkwane, straszące wyprutymi pretami i odrzuconymi przez siłę eksplozji kawałkami swojej struktury – ale nie padły ofiarami poprawiaczy historii, i można patrzeć na nie jako na oryginalne, choć zniszczone relikty sprzed 1945 roku.

O ile fortyfikacje Węgierskiej Górki są bądź co bądź znane, zupełna mgła zapomnienia spłynęła na obiekty w Krzyżowej i Przyborowie, wchodzące w skład punktu opory „Jeleśnia” nieco dalej na Wschód. Podobnie jak bunkry Węgierskiej Górki, miały one szachować górskie przełęcz, między masywem Pilska a Babiej Góry. Pozycja w Krzyżowej nigdy nie wzięła udziału w walce; została ominięta przez Niemców, chociaż na kilkanaście godzin przed rozpoczęciem wojny, w ostatnim dniu sierpnia 1939, załogi schronów ogniem swojej broni strąciły niemiecki samolot rozpoznawczy. W chwili wybuchu wojny nie wysechł jeszcze do końca beton schronów. W terenie można obecnie odszukać ślady sześciu schronów, trudno powiedzieć ile miało ich tutaj powstać docelowo, najczęściej przytaczane dane mówią o dziesięciu obiektach, być może jednak miało być ich więcej, nie zachowała się niestety dotycząca tych planów dokumentacja. Faktem jest natomiast, iż entuzjaści fortyfikacji w zachowanych obiektach zauważają rozwiązania uznawane za nietypowe lub eksperymentalne, co świadczy o unikatowości schronów pod Jeleśnią. Inną ciekawostką stanowi fakt, iż w celu budowy tych fortyfikacji położono kilkukilometrową kolejkę wąskotorową, którą na budowę dowożono materiały ze stacji kolejowej w Jeleśni.

W rozważaniach na temat polskich fortyfikacji z 1939 roku, zwraca uwagę tendencją do nadawania imion poszczególnym obiektom. Stosowano przy tym pewne klucze – obiekty w Węgierskiej Górze nosiły nazwy na literę W, obiekty pod Pilskiem – dziedziczyły imiona dowódców Wojska Polskiego; wśród tych zachowanych do dziś są Kustron, Szyling, Boruta i Śmigły Rydz.

Dość romantyczne – o ile w ogóle w kwestii schronów bojowych może być coś romantycznego – nazewnictwo przyjęte w Cieszynie. Przed samą wojną powstała tam kolejna grupa schronów bojowych, mająca u podnóża Beskidu Śląskiego osłaniać południową rubież województwa śląskiego z kierunku Zaolzia. Schronom nadawano tu kobiece imiona. Z planowanych ok. 20 obiektów ukończono do końca sierpnia 1939 roku sześć. Wraz z ukończeniem budowy otrzymywały imiona w porządku alfabetycznym, co nie pokrywało się z numeracją schronów wynikającą z planu ufortyfikowania Cieszyna – i tak pierwszy w pełni wykończony schron, o numerze 6, otrzymał imię Anna. Można powiedzieć, że jego losy były dość szczęśliwe – w noc poprzedzającą wybuch wojny załoga schronu ostrzelała hitlerowskich dywersantów szukających dogodnych przepraw przez Olzę. Na tym udział schronu w wojnie skończył się. Przez dekady stał zapomniany, aż w ostatnim czasie, gdy w związku z budową potężnego mostu drogowego miał zostać wyburzony, ocalili go pasjonaci historii i urządzono w nim prywatne muzeum, które po konsultacjach z gospodarzem można zwie-



Jeden z polskich schronów w Cieszynie

dzać do dziś. W okolicy były jeszcze: Barbara nad samym brzegiem Olzy – obiekt ten wyburzono w latach 70., i choć zachowały się jego fundamenty, ze względu na niesamowicie gęstą roślinność jaką zarosło to miejsce, pozostałości są praktycznie niemożliwe do odszukania w terenie. Cecylia – obecnie schron znajduje się po czeskiej stronie na terenie prywatnego gospodarstwa, choć ocalał w całości. Danuta (schron nr 3) – także po czeskiej stronie, na terenie szkolnego boiska, doskonale widoczny i świetnie zachowany. Ewa – schron znajdował się przy ul. Przerwy-Tetmajera w okolicy punktu widokowego, przestał istnieć w wyniku budowy prywatnego budynku. Ostatni, Franciszka, został wysadzony w powietrze przez Niemców w 1943 podczas ćwiczeń saperkich. Po Frani zostały możliwe wciąż do odnalezienia kawałki rozrzuconego żelbetonu. Tak więc z sześciu wykończonych schronów, do obecnych czasów dotrwały trzy, z czego tylko jeden znajduje się na terenie Polski.

Trzeba zaznaczyć, iż o ile fortyfikacje Węgierskiej Górki, Krzyżowej i Przyborowa to jedne z najcięższych obiektów fortecznych II RP, wyposażone w działa i ckm-y, tak bunkry z pozycji cieszyńskiej to lekkie schrony, których załogę stanowiło kilku żołnierzy uzbrojonych w jeden lub dwa ręczne karabiny maszynowe. W połowie roku 1939, gdy jasne stało się że plany pełnego ufortyfikowania południowej granicy są niemożliwe do zrealizowania, polskie dowództwo wpadło na pomysł tworzenia na mniej istotnych odcinkach pozycji obronnych, złożonych z tanich schronów lekkiego typu. Nie miały one elementów pancernych, i budowane były według jednego z kilku uniwersalnych projektów – schronu z jedną lub dwoma strzelnicami. Inspiracją dla polskiego dowództwa były zajęte właśnie na Śląsku Cieszyńskim, opuszczone czeskosłowackie obiekty typu LO vz. 37,

zwane popularnie „rzopikami” (jest po fonetyczny skrót od instrukcji dotyczącej budowy tych obiektów – Ředitelství obranných prací, ŘOP). Czechosłowacja wybudowała wzdłuż swoich granic ok. dziewięć tysięcy rzopików; możliwość ich szybkiego wznoszenia dostrzegli Polacy i wiosną 1939 opracowano naszą kopię rzopika – tzw. urbana, który był w zasadzie tańszą i jeszcze bardziej uproszczoną wersją czeskosłowackiego pierwowzoru.

Obok pozycji cieszyńskiej, w beskidzkich okolicach były jeszcze bielska i skoczowska. Obie z nich nie zostały w pełni ukończone, w obu przypadkach wybudowano po kilka schronów. Bielskie fortyfikacje w ogóle nie zostały użyte, niektóre z obiektów wykorzystali Niemcy zimą 1945, ale bielskie schrony oglądać można do dzisiaj.

Inne były losy pozycji skoczowskiej, przebiegającej w okolicy stawów rybnych we wsi Pogórze oraz obecnej drogi szybkiego ruchu ze Skoczowa do Bielska. Także tu, z zaplanowanych 15 bunkrów wybudowano tylko pięć i szósty, unikatowy obserwacyjny. W wyniku zaciętej polskiej obrony niemiecki atak został tu zatrzymany na jeden dzień – na linii bunkrów trwały ciężkie walki. W skład ufortyfikowanej pozycji wchodziły też umocnienia ziemne – rowy strzeleckie, schrony ziemne i połowe stanowiska dla dział, z których jedno, zlokalizowane przy stacji kolejowej Skoczów Pogórze, szczególnie wślawiło się w boju rażąc cełnym ogniem nieprzyjaciela. Polscy obrońcy po spełnieniu zadania – maksymalnym opóźnieniu postępów wroga, wycofali się zagrożeni okrążeniem. Wszystkie skoczowskie schrony zostały wysadzone w powietrze przez Niemców. Na terenie pól można znaleźć jeszcze pewne fragmenty zniszczonych budowli. Bohaterstwo polskich obrońców upamiętnia pomnik w Pogórze oraz informacyjne tablice, ustawione w miejscach gdzie znajdowały się schrony.



*Lekki schron bojowy o imieniu Anna, wybudowany w 1939 roku w Cieszynie*



*Wiadukt kolejowy za stacją Skalité-Serafinov (obecnie Słowacja; w 1939 roku terytorium II RP), w pierwszych godzinach wojny poległ tu polski żołnierz z placówki broniącej granicy i linii kolejowej*



Gwiazdą plenerowego koncertu „Operetka w ogrodzie” była sopranistka Anita MASZCZYK (u góry), a towarzyszyli jej Karina Sornik, Leopold Stawarz oraz Bernard Stawarz (u dołu). Fot. Z. Lubowski



# Operetka w ogrodzie

ZBIGNIEW LUBOWSKI

Gdzie można zaśpiewać arie operetkowe? Pytanie tylko z pozoru może wydawać się dziwaczne. Wiadomo przecież nie od dziś, że zwyczajowym miejscem takich popisów wokalnych bywa najczęściej teatr lub placówka kultury, wyposażona w salę widowiskową. Ale nikt chyba nie wpadł jeszcze na niekonwencjonalny pomysł publicznego prezentowania klasycznych utworów operetkowych w prywatnym ogrodzie, wśród dorodnych drzew, krzewów i kwiatów.

Taki właśnie wakacyjny projekt narodził się w kręgu osób związanych ze stowarzyszeniem „Filharmonia Jurajska” w Zawierciu. Postanowiono zorganizować plenerowy koncert „Operetka w ogrodzie” pod sympatycznym hasłem „mu-

operetkowej imprezy na terenie położonym wśród prywatnych domów mieszkalnych.

Muszę z absolutną szczerością wyznać, że po raz pierwszy w życiu miałem okazję brać udział w takim przedsięwzięciu odbiegającym zdecydowanie od zwyczajowych schematów spotykanych w sferze kultury. Ale też Anita Maszczyk, znakomita śpiewaczka operowa i operetkowa, dawna solistka Gliwickiego Teatru Muzycznego z lat 2001–2016, nie była nigdy artystką stereotypową.

Nie załamała rąk po zdumiewającym wyrzuceniu jej z GTM przez technokratów sprawujących niepodzielną władzę w mieście nad Kłodnicą. Uznała, że likwidacja sceny muzycznej w Gliwicach po 64 latach jej istnienia nie musi wcale być końcem jej kariery. Była jedną z inicjatorek utworzenia „Filharmonii Jurajskiej”, co przyniosło pozytywne rezultaty dla życia kulturalnego w Zawierciu.

Do udziału we wrześniowym *garden-party* przy ul. Łabędziej zaprosiła znanego dyrygenta Macieja Niesiołowskiego, który tym razem nie miał batuty w ręku, ale mikrofon. Bawił ogrodową publiczność rozrywkowymi opowieściami o muzyce, aktorach, śpiewakach i humorystycznych wydarzeniach artystycznych.

## Z pomocą znajomych i przyjaciół

Anita Maszczyk jednak przede wszystkim śpiewała. Sopranistka nie była w tej roli osamotniona, bo wspierała ją najbliższa rodzina – mąż i syn. Warto odnotować, że Leopold i Bernard Stawarzewie wyróżniają się również nietuzinkowymi umiejętnościami wokalnymi. Zaprezentowała się ponadto uzdolniona śpiewaczka Karina Sornik, studentka Akademii Mu-



Anita Maszczyk

zycznej w Katowicach. Akompaniowała im pianistka Halina Mansarlińska, korepetytorka związana na co dzień z Operą Śląską w Bytomiu. W programie imprezy znalazły się popularne arie operowe i operetkowe Pucciniego, Straussa, Kalmana, Lehara, Abrahama, Dostala czy Offenbacha. Rozbrzmiewały także słynne utwory musicalowe Bocka (ze „Skrzypka na dachu”), Kandra (z widowiska muzycznego „Chicago”) i Theodorakisa („Zorba”). Szczególną aprobatę publiczności wywoływały nieśmiertelne arie z „Zemsty nietoperza” Straussa, „Księżniczki czardasza” Kalmana i „Wesołej wdówki” Lehara, w tym zwłaszcza legendarny utwór „Usta milczą, dusza śpiewa”.

Gorąco oklaskiwano nie tylko gwiazdę koncertu, ale i utalentowaną Karinę, która brawurowo zaśpiewała kultową „Arię ze śmiechem” Offenbacha (*wypiłam łyk, a może dwa, a mówiąc prawdę – aż do dna*). Trzeba z naciskiem podkreślić, że żaden z prezentowanych utworów nie był śpiewany z play-backu, lecz wyłącznie na żywo z towarzyszeniem pianistki.

Fot. Z. Lubowski



Maciej Niesiołowski

zyka po sąsiedzku”. Wybrano przestronny ogród o powierzchni prawie 5 arów w willowej dzielnicy Zawiercia. Gospodarzami imprezy byli Anita Maszczyk i Leopold Stawarz – artystyczne małżeństwo muzyczne. Zaprosili nieodpłatnie do swojego ogrodu sąsiadów, znajomych i przyjaciół. Jednym z uczestników nieszablonowej imprezy zorganizowanej w niedzielne popołudnie w dniu 4 września był wysłannik redakcji „ŚLĄSKA”.

## Atrakcje dla ducha i ciała

Opatrzność troskliwie czuwała nad przebiegiem koncertu, bo nie spadła wówczas ani jedna kropla deszczu. Frekwencja pięknie dopisała. Wszystkie ogrodowe ławki dla publiczności były zajęte, a gospodarze musieli jeszcze wynieść z domu do ogrodu liczne krzesła. Zadbano nie tylko o atrakcje muzyczne, ale i o poczęstunek dla zgromadzonych w ogrodzie melomanów (smakowite ciasta).

Nie zabrakło niezbędnej aparatury nagłaśniającej i elektronicznego instrumentu klawiszowego. Uzyskano nawet (!) stosowne zezwolenie policyjne na zorganizowanie



Publiczność w plenerze

Fot. Z. Lubowski

Fot. Z. Lubowski

# Konfucjusz *Myśli*

Spolszczył MARIAN KISIEL

- 1**  
Są trzy drogi do poznania prawdy: Droga rozmyślań jest szlachetną drogą. Droga naśladowania jest najłżejsza z wszystkich. Droga doświadczeń jest najbardziej gorzka.
- 2**  
Jeżeli nienawidzisz, wiedz, że cię zwyciężono.
- 3**  
W kraju, gdzie jest porządek, bądź śmiały w czynach i mowie. W kraju gdzie nie ma porządku, bądź śmiały w czynach, lecz powściągnij mowę.
- 4**  
Zanim się pomścisz, wykop dwie mogiły.
- 5**  
Udzielaj rady tylko tym, którzy szukają prawdy i nie kryją się ze swoją niewiedzą.
- 6**  
Szczęściem jest, gdy cię rozumieją, wielkim szczęściem, gdy cię kochają, prawdziwym szczęściem, kiedy kochasz ty.
- 7**  
Życie jest proste, tylko my je wciąż komplikujemy.
- 8**  
Niezgoda w małych sprawach zniszczy wielką sprawę.
- 9**  
Kiedy nadchodzi chłód, rozumiemy, że sosny i cyprysy jako ostatnie zrzucą swe ubranie.
- 10**  
Dawniej ludzie nie lubili dużo mówić. Wstydzieli się, że nie nadążają za słowami.
- 11**  
Rady przyjmujemy kroplami, rady wylewamy wiadrami.
- 12**  
Bez tarcia nie da się wypolerować szlachetnego kamienia. Tak samo człowiek nie odniesie sukcesu, uprzednio nie przezwyciężywszy trudności.
- 13**  
Człowiek szlachetny stawia wymagania sobie, mały człowiek stawia je innym.
- 14**  
Pozbyć się złych nawyków można tylko dzisiaj, a nie jutro.
- 15**  
Trzy rzeczy nigdy nie wracają – czas, słowo, okazja. Dlatego nie marnuj czasu, dobieraj słowa, nie przegap okazji.
- 16**  
Wybierz pracę podług własnych upodobań, a w swoim życiu nie będziesz pracował ani jednego dnia.
- 17**  
Nie martwię się, gdy ludzie mnie nie rozumieją. Zły jestem, gdy ja ich nie rozumiem.
- 18**  
Spróbujcie być odrobinę dobrzy, a zobaczycie, że nie będziecie mogli znieść głupiego postępu.
- 19**  
Kiedyś się uczono, żeby się poprawić. A dzisiaj się uczą, by zadziwić innych.
- 20**  
Można przez całe życie przeklinać ciemność. Można też zapalić mały ogarek.
- 21**  
Gdy nastąpiło nieszczęście, urodził się człowiek; gdy nastąpiło szczęście, człowiek pozwolił mu urosnąć.
- 22**  
Piękno jest wszędzie, lecz nie każdy może je zobaczyć.
- 23**  
Szlachetny człowiek ma spokojną duszę, a mały człowiek jest zawsze zmartwiony.
- 24**  
Jeśli plują ci w twarz, to znaczy, że jesteś na przedzie.
- 25**  
Nie ten jest wielki, kto nigdy nie upadł. Ale ten wielki, kto pada i wstaje.
- 26**  
Kiedy okaże się, że cel jest nieosiągalny, nie zmieniaj celu – zmień plan swoich działań.
- 27**  
To nieważne, że idziesz wolno, ważniejsze, żebyś się nie zatrzymywał.
- 28**  
Największa chwała nie w tym, aby nigdy nie popełniać błędów, a w tym, aby umieć podnieść się za każdym razem, kiedy się upada.
- 29**  
Wcześniej słuchałem ludzi i wierzyłem w ich czyny. Teraz słucham ludzi i patrzę na ich czyny.
- 30**  
Kiedy jest ci źle, wsłuchaj się w naturę. Cisza świata bardziej uspokaja niż miliony niepotrzebnych słów.
- 31**  
Są popełniane trzy błędy w komunikacji między ludźmi: pierwszy – to chęć mówienia wcześniej niż potrzeba; drugi – to nieśmiałość w chwili, kiedy trzeba mówić; trzeci – to mówienie bez oglądania się na swego słuchacza.



**32**  
Nigdy nie widziałem, żeby ludzie bardziej kochali dobro niż piękno.

**33**  
Nie porozmawiać z człowiekiem, który jest godny rozmowy, to stracić człowieka. A rozmawiać z człowiekiem, który nie jest godny rozmowy, to stracić słowa. Człowiek mądry nie traci ani ludzi, ani słów.

**34**  
Zapomnij o niechęci, nigdy nie zapominaj o życzliwości.

**35**  
Jeśli tak mało wiemy o życiu, coż możemy wiedzieć o śmierci?

**36**  
Milczenie jest wielkim przyjacielem, nigdy cię nie zdradzi.

**37**  
Słyszę i zapominam. Widzę i zapominam. Czynię i rozumiem.

**38**  
Człowiek, który popełnił błąd i nie naprawił go, popełnił jeszcze jeden błąd.

**39**  
Przyznawać się do błędów, jakie nam zarzucają, to skromność; odkrywać je przed swymi przyjaciółmi – to ufność; wystawiać je na widok publiczny – to pycha.

**40**  
Człowiek godny nigdy nie idzie po śladach innych ludzi

**41**  
Trudno znaleźć w ciemnym pokoju czarnego kota, szczególnie gdy go tam nie ma.

**42**  
Ten, który porusza górami, najpierw zbiera małe kamyczki

**43**  
Człowiek choruje z różnych powodów: jedni z powodu przeziębienia, inni z powodu zmęczenia i smutku.

**44**  
Ktoś zapytał: „Czy słusznie mówią, że za zło należy odpłacać dobrem?” Nauczyciel odpowiedział: „Czymże więc wtedy będziemy płacić za dobro? Za zło należy płacić sprawiedliwością, a za dobro – dobrem”.

**45**  
Nerwowo myśląc o przyszłości, ludzie zapominają o teraźniejszości, tak że nie żyją ani w teraźniejszości, ani dla przyszłości. Żyją tak, jakby

nigdy nie mieli umrzeć, a umierając, rozumieją, że tak naprawdę nigdy nie żyli.

**46**  
Ten, kto dożył lat czterdziestu, budzi tylko niechęć. To człowiek skończony.

**47**  
W kraju, którym dobrze rządzą, wstydzą się biedy. A w kraju, którym rządzą źle, wstydzą się bogactwa.

**48**  
Błogosławiony ten, który niczego nie umie, nie ryzykuje, że będzie nieukiem.

**49**  
Uczcie się tak, jakbyście nieustannie odczuwali niedosyt swojej wiedzy i tak, jakbyście nieustannie bali się ją utracić.

**50**  
Nie rozumiem, jak można mieć interes z człowiekiem, któremu nie można wierzyć? Jeśli w powozie nie ma osi, to jak można nim jeździć?



# „Ziew epicki” dziew i śpiewy ew. *MYŚliWice*, *MYŚliWice* Krzysztofa Bartnickiego

JERZY PASZEK

## Kosmiczne zasoby ksiąg, zdań i słów

Powieść Bartnickiego zawiera twierdzenie towarzyski Pieróżyn, iż „Każde zdanie w książce to jest kosmos. Zdanie najczęściej kończy się kropką [...], reprezentującą supergęstą osobliwość, w której kończy się świat jakiś, a jakiś inny zaczyna” (K. Bartnicki: *Myśliwice*, *Myśliwice*. Mikołów 2021, s. 187; cytaty oznaczam skrótem MW, gdyż na okładce mamy zapis: *MYŚliWice*, *MYŚliWice*). Bohaterkami utworu są kobiety, stąd moje tytułowe „dziew” i „ewy” (nb. prof. Ireneusz Opacki wymyślił kalambur: Czy śpi Ewa, czy śpiewa?). „Epicki ziew” pochodzi z powieści Wacława Berenta, gdzie sugestywnie opisywany jest sybirak (20 lat zesłania) Komierowski: „ziewał całym ciałem, wyteżały się prężnie wszystkie ścięgna, kurczyły wszystkie mięśnie, rozłaziły się stawy zakrzepłe – przeciągał się sam kościec w ciele zależałym. A ten **ziew epicki** przechodził w chytre, kose wejrzenie oczu i złośliwe rozedrganie warg” (W. Berent: *Ozimina*. Warszawa – Lwów 1911 [1910], s. 85–86; edycję tę sygnuję skrótem Oz). Dzieła Berenta i Bartnickiego mają wspólny mianownik stylistyczny: pierwszy autor i drugi bardzo często używają języka rosyjskiego (obok innych barbaryzmów), gdyż nie tylko Komierowski zna słowa Gogoła, ale i rosyjski pułkownik, jedna z ważniejszych postaci narracji, pomimo kilku dekad pobytu w Warszawie, miesza wyrazy polskie z obcymi, tworząc hybrydy: „głównokomandujuszcy” (Oz 91, 146), „wojenny człowiek” (Oz 144), „dzieła męskiego nie ma” (ib.). Tenże pułkownik narzeka na zniewieszczenie ludzi w zaborze rosyjskim, na unoszące się tu tchnienie „*féminin*” (Oz 90). To tchnienie i dominację wszechobecnej kobiecości podziwiamy u Bartnickiego, gdzie zresztą też mowa o inwazji wojsk z Azji, czyli tzw. Siczy.

W roku 2020 podliczono, iż dotychczas wydano na świecie prawie 130 milionów książek (mowa o odrębnych wydaniach, a nie o reedycjach!). Plan zdigitalizowania ich pod nazwą *Project Ocean* obejmuje wszystkie te oddzielne, oryginalne i wielojęzyczne tomy! W Polsce nie ma pewnie

szans na zapoznawanie się z tymi kolejnymi milionami książek? Posiadamy za to od niedawna *Oficjalny słownik polskiego scrablisty* (Warszawa 2005), w którym pojawia się prawie 2 500 000 wyrazów w formach fleksyjnych i koniugacyjnych. Nie należy tego faktu mylić z liczbą wszystkich polskich słów, mogących tworzyć hasła w leksykonach. Dziś najbogatsze dykjonarze mają po 150 000 (*Wielki słownik ortograficzny PWN* pod red. Edwarda Polańskiego) czy nawet 182 154 hasła (*Wielki słownik ortograficzno-fleksyjny* pod red. Jerzego Podrackiego). Od zmarłego niedawno prof. Aleksandra Wilkonia dowiedziałem się, iż całkowity rejestr wyrazów polskich – z wszystkich epok i wszystkich gwar czy obszarów specjalistycznych, np. technicznych lub medycznych – liczy sobie w kartotekach Instytutu Języka Polskiego PAN ponad 1 milion fiszek w kartotekach (język angielski ma odpowiednio ponad 6 milionów haseł!). Myślę, że jeśli we własnej bibliotece potrafiłbym zdefiniować 250 000 słów, to i tak 750 000 pozostanie do odkrycia; stąd Bartnicki może szachować czytelnika nieznaną leksyką, a i sam dodaje jeszcze mnóstwo neologizmów!

Pisząc o powieści *Myśliwice*, *Myśliwice* – co muszę odważnie przyznać – nie znam sensu bardzo wielu wyrażen i fraz, z tych pojawiających się w książce słów narratorek i cytowanych przez nie tekstów polskich i obcych pieśni. Jak trudna (za pierwszym razem tylko?) jest to rzecz mogę udowodnić, pokazując spis treści. Składa się on z 5 rozdziałów: 1. „Nowiec”; 2. „Drugi”; 3. „Nieinne światy”; 4. „Wertykał zdarzeń”; 5. „Drugi ścisłego zachowania” (MW 193). Otóż „drugi” dwukrotnie nie jest tym liczebnikiem, o którym myśli sobie pocziwy czytelnik! Za pierwszym razem chodzi bowiem o „drugi, podrugi” (‘przyjaciółki’ po ros.), a za drugim razem są to oczywiście „druki ścisłego zachowania”! „Nowiec” z incipitu („Zeby dziecko brać, pomyślało mi się, jak się później okazało, w **nowcu**” (MW 5; podkr. moje, J.P.) – persewerujący przez całą powieść – oznacza nowy sposób podziału roku, wprowadzony przez najeźdźców na nasz

kraj, by nas zniszczyć na wszelkie sposoby, materialne i moralne; jest to po prostu ‘styczeń’! „Nieinne światy” stanowią nawiązanie do opowieści Gustawa Herlinga-Grudzińskiego pt. *Inny świat* (1953). Rzeczywistość dominacji Siczy na Śląsku nie różni się – zdaniem wszechwiedzącej narratorki – od okrucieństw wartowników w łagrach sowieckich. Dziwny nagłówek rozdziału IV bierze się z terminologii astronomicznej, w której oznacza ‘pionowe koło wielkie na sferze niebieskiej’ (*Słownik języka polskiego* pod red. W. Doroszewskiego. T. IX – T – Wyf. Warszawa 1967, s. 933). W istocie jest to część ściśle (?) historyczna utworu i przedstawiono tu dzieje machinacji obcych mocarstw na terenach polskich od roku 1582 aż do roku 1945. Nie chodzi jednak o prawdziwe dzieje, lecz eksperyment zaborców, usiłujących „materiał badawczy” z okolic Myśliwic poddać badaniom „nad korelacją pomiędzy rozstrojem fizycznym (fizjologicznym) a zmianami anatomicznymi i perceptywno-kognitywnymi sieci umysłowych” (MW 182). Czyli – jak u Orwella – nauczyć Polaków „nowego wymiaru myślenia” (ib.). Wynik był mierny, bo towarzyski z Siczy pod koniec całej tej groteskowo-apokaliptycznej „historii” jeszcze w dalszym ciągu są na etapie wytyczania zadań i pogaduszek o projektach przejścia władzy nad duszami „materiału”...

## Homeryckie enumeracje

W powieści Bartnickiego nie ma właściwej akcji fabularnej, gdyż w każdej chwili mamy do czynienia z jednym procesem, czyli z metamorfozą miasta, powodującą jego degradację do statusu wsi (tzw. „**mieśtownieść**”, MW 157; hybrydalny kalambur; bez dwujęzycznych elementów: „**miejscowieś**”, MW 179). Na ogólne zubożenie Myśliwic największy wpływ mają oczywiście rabunkowe rządy Siczy. Ta obca i wroga siła specjalizuje się w wymyślnych torturach: „Jakaście mołokanie, będzie kołamanie. [...] Chołodomorcy, wam morzenie chłodem. [...] Kiejkuta niech kikuta. Piekarskie do pieca. [...] Ignacego w ogień. [...] Katyliny na liny. Demolaja na olej. [...] Ody-

sa odsyłać. Uliarzy w usarzy. Asasyny na synaje” (MW 68). Młoda śledcza siczo-wa ma równie frymuśne i fikuśne (od „fikać nogami na szubienicy”) pomysły: „W przetaku przetasuję. Na wialnie przygłoszę. Kosy nie oszczędzę. Bruszek z kuszki wzięty. W loszek cię pokatulam, i w ziemię, jak barabojkę. Borem [kwasem borowym, wiertłem?] zbesztam. [...] Ciuci z mačka szarpnę. [...] Siarniczki [zapałki] na liczki. Ostrakońmi zhypackam. [oprócz ‘rozrywania koñmi’ też ‘Hypatia pocięta ostrakonami’] [...] Tyle mam sposobów cię wyszczezać [‘utrupić’; zob. czasownik szczeznąć: on szczeł], ile dni w roku. Ech, już ja cię pobruszę, a ty, ile zdołasz, przeżywaj” (MW 76).

Te wyliczenia wykazują jasno, że w jednym akapicie pojawiać się tu mogą i postaci z antycznych mitów (Odys, Ulisses) i starożytnej historii (Demostenes, Hypatia, Katylna); chodzi też o dzieje Litwy (Kiejstut) czy pierwsze polskie zdanie („Daj, ac ja pobruszę, a ty poczzywaj”). Czyli wszelkie enumeracje funkcjonują jako informacja o nadobecnosci czasu teraźniejszego w tej powieści, a w zasadzie jako wieść o „odchodzeniu czasu w niebyt” (MW 185), „Fabryce przestroju czasu” (ib.). Wyliczenia dotyczą polskich nazwisk (groby na cmentarzu, MW 54–55; m.in. „Kurczak, Durczok, Burczak, Furczok”), polskich prawdziwych i fikcyjnych przysłów (MW 18–20), polskich przyspiewek (MW 14–15; 104–105) i siczowych (MW 113–130; 129: „Śpiewała, śpiewała Sicz nam cała”), usług pocztowych (MW 10), atrakcji targowych (MW 168–169), polskich napitków i toastów biesiadnych typu: „Nalej, a nie malej, a co tam zmalujesz, to nam wystawisz” czy „wszystkie rybce na pokład!” (MW 160; 67: „chlusniem, bo usniem, oraz trzaśniem, bo zaśniem, oraz łykniem, bo znikniem”), przyspiewek ludowych (MW 97–104), polskiej literatury: „Polska zza winkła rydlem narodów, od alpy do omegi Polska martwa, od anuby [Anubis] do ozyry, ameb do zyraf martwa, w zaczarowane koło martwa, a wszak trzeba z życiem naprzód iść” (MW 158). Mamy tu aluzje do utworów Słowackiego, Rydla (*Zaczarowane koło*), Asnyka.

Niekiedy takie listy są podejrzenie pojemne i zmyślnie (dzięki neologizmom, okazjonalizmom i rymom) wzbogacane. Oto lawina skojarzeń, wiążących się ze słowem „młotek” i jego ewentualnymi zastępnikami: „piker, jakiś łupok, bez glancu, ganc do wyszmyrgania, hebel, rajbeta, byszta, cangi, obcangi, rolcangi, sznajdcangi, glajsznajder z bruskiem lub dwa, szaber, pitfok, gnyпки, gracki, oskard i taka mniejsza haka, sieka, siekaczka, siekierka, kopaczka, łupok, laubzega, bandzyga, bajzyga, krajzyga, fukszwanc, klobzega oraz brecha jedna z drugą, gwintsztanga, fest długa, szraubkrant” (MW 96). I pomyśleć, iż całą stronicę muszę tu opisać (MW 96–97)!

Nie opuszczę natomiast fragmentu sła-

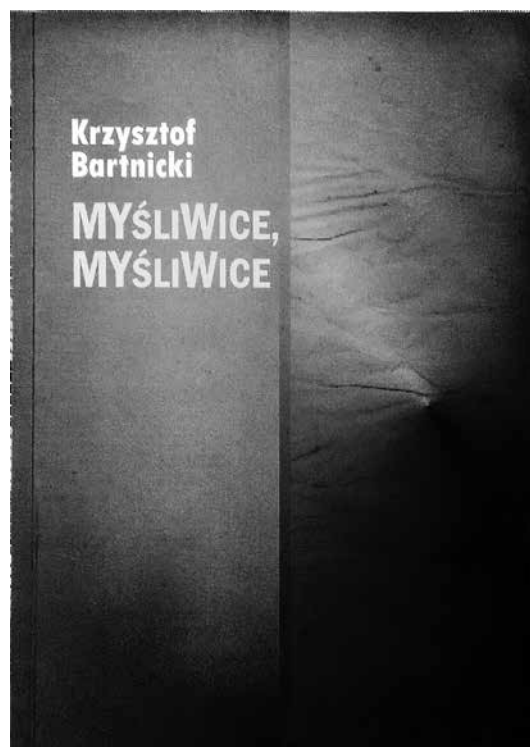
więcego Myśliwice jako „wice-myślińe świata w zarazach nad wyraz, w doraźnych przerażach, **miestowieść** mrokiem i biedem płynącą” (MW 167). I dalszy ciąg tej definicji geograficzno-politycznej: „Są Myśliwice na wszystkie Polski i Śląski już słynne, na ich Stolice i Opolice, nad Police, Okolice, nad Gumań, Mujmańsk, Wymień, nad grody i zagrody Białej Róży i Róży Czerwieńskiej, nad przestwór Leciwy, nad DUBY Smoleńskie, nad Inflanthy i Deflanthy, nad Płocki, Otwocoki, Potocki i Połocki, nad Rusy i Prusy” (MW 167–168).

Widoczne jest, iż Bartnicki układa obok siebie i spaja ze sobą wyrazy rymujące się. Będzie to jeden ze sposobów w wydajnej produkcji gier słów, a przede wszystkim kalamburów. Do tego elementu sztuki pisarskiej tłumacza Joyce’a teraz przechodzę.

### Kreacja kalamburów

Są trzy główne metody utworzenia kalamburu przez Bartnickiego. Pierwszą jest operacja, polegająca na zderzeniu dwu słów, by zbudować nieoczekiwane słówko. Np. „**wieszpory**” = „nieszpory” + „wiesz” (MW 9); „**dziabeł**” (MW 11; „diabeł” + „dziabać”, np. widłami), „**katrufl**” (MW 37; „kartofli” + „trufl”), „na tym **bez-padole**” (MW 24), gdzie mamy aluzję do „łez-padołu” [łac. „in valle lacrimarum”], ale wybrzmiewa również jakiś ‘dół bez czegoś’ lub ‘wądoł porośnięty bzami’. Druga procedura opiera się na rozbiciu słowa na kilka części, które mają sens osobny i zaskakujący: „czyje **twerzeczki** w jakich masach, **grymasach**” (MW 20); „twerzeczki” to jednocześnie ‘twarzyczki’ i ‘twe rzeczki’, a w „grymasach” dostrzec można też ‘gry mas’! S(z) epleniąca wróżka-drózka [czyli cyganka z drogi, a jeśli i „drużka”, to ‘przyjaciółka’] mówi do Moszwy: „**Fu, turystka!**” (MW 21), chcąc zapewne rzec „Fu, turystka!”, ale może i „Futurystka!”. Tutaj najlepszym przykładem jest tytuł utworu, w którym kryje się nie tylko fraza „myśli i wice”, ale i „myśl i wice”, a w dwóch wyrazach odczytuje palimpsest: „myśliwi: [ch]cemy śli[wo]wice”!

Trzecią technikę generowania okazjonalizmów kalamburowych nazwałbym zagranie skrabblisty (gracza w scrabble). Oto mamy Opole, które w MW staje się Topolem (T + Opole = Topole) (MW 9 i passim). A gdy z moich Tarnowskich Gór utworzono tu Tarskie Góry (MW 8: „do Tarskich Gór i do Gliwic”), to chyba trzeba się kierować regułami metody drugiej („ta ruskie” = ‘oj, rosyjskie’). Dla równowagi ocen mego miasteczka dodam, iż jedna kuma śpiewa: „Gdzie tar-



niny na **gorynach**, srebrna rybka wpada w sak” (MW 99), czyli aluduje do legendarnego Rybki, znajdującego grudek srebra na swoim polu.

Wyliczę kilka wpadających w oko i ucho kalamburów, godnych tłumacza poematu *Finnegans Wake*: „kły **psobacze**” (MW 43), „podobne do **psobak**” (MW 6; jest tu podwojony pies, duopol kynologiczny), „Moszwa na to **brewnie** się stroszyć i fukać” (MW 17 i 110); sens neologizmu: ‘stroszyć brwi’; ale Bartnicki skraca też „**bierwiono**” do „**brewna**” (MW 130: „pospadały gruszki i jabłonki, zapylily huty **brewno** nam”, nb. jest to rytm słynnej *Katuszy*), więc nieleniwy lektor doczytać się może miejscownika („w brewnie”) i Moszwa stanie się nieco „drewniana”, lub nawet jakby z Siczy (bo śpiewająca sowiecki przebój sprzed II wojny światowej). Pod koniec rozdziału IV mamy sekwencję nazw miejscowych, zaczynających się na M i W: „Mowogród Wołyński” [zamiast „Nowogród”], „Miedniki Wysokie” [„Mielniki” + ros. „mied” + „miednik” – ‘kotlarz’], „ze szpitala Mrzewuska” [Rzewuski + czasownik „mrzeć”], „szpital Majwanek”, [„majowy Majdanek” lub „majowy wianek”], „szpital Mrawicz” [„Mrawicz + „mrawy”?], „szpital Maszwick” [„masz” + „wic”], „Myłe Wody” [hybryda], „Mielęcina” (MW 182–183). Do koloru, do wyboru wyborowe koloratury onomastyczne!

Zakończyć wywody mogę zachętą: czytelniku baw się w zgadywanie, jakie w MW słowa zostały użyte, zażyte i nadużyte, a będziesz miał wspaniałą zabawę. Bo „myśliwi karego konia kusili” – „myśli wikarego koniak usili” (gra słów prof. Edmunda Johna). Prawie jak w *Finnegans trenie*.

Był człowiekiem wielkiego uroku, raczej już nie spotyka się takich osób. Druh noblistów, aktorów, intelektualistów, jednocześnie przyjaźnił się z ludźmi zwykłymi, jakby zaprzeczając pogładowi, że niezwykłość osobowości musi bezwzględnie wiązać się z zajmowaną przez nią pozycją społeczną. Leonard Neuger myślał inaczej: to w zwykłości starał się odszukać niezwykłość, a niezwykłość sprowadzić do poziomu zwykłości.

Zongluję tymi dwoma wyrazami jak student na egzaminie, ale chodzi mi o to, że Neugerowi nie były one potrzebne. Interesował go człowiek w jego prawdziwości, każdemu poświęcał swoją uwagę, pamiętał twarze, imiona, nazwiska, słowa wypowiedziane może nawet w jakichś dziwnych okolicznościach. Tak, wiele pamiętał. Wspólnota losu, jaką zawiązywał, była na zawsze, a nie na chwilę, ponieważ na chwilę nic być nie może.

Brokaty są zbiorem wspomnień. Czy zbiorem? Raczej zbiorkiem, niedużą książeczką, jaką udało się ocalić przed archiwum (archiwum wszystko zżera i ukrywa przed ciekawym spojrzeniem). Nie znalazła się w nim, dzięki bliskim Neugera. Ujawnimy sprawców: Agnieszka Dauksza, Jurek Hirschberg i Ryszard Nycz. A choć książeczka mogła pewnie przybrać inną postać, ocalała właśnie w takiej, a nie innej. Jako ostatnie słowo. Kogo?

Tomik otwierają dwa zdania: „Niedługo skończę siedemdziesiąt cztery lata. Najwyższy czas ułożyć sobie życie”. Ironia godna mistrza? A może jednak nie jest to ironia? Jak podejść do słów, słów ostatnich, które brzmią jak żart?

Wspomnienia pisze się dla siebie (żeby nie uciekło z pamięci, żeby móc wspominać), a także dla innych (żeby poznali, a później wspominali). Leonard Neuger zapragnął cofnąć się do swoich lat młodych i burzliwych, „durnych i chmurnych”, krakowskich i zagłębiowskich. Nie musiał tego czynić. Wspominając jednakże (w skrócie, zawężeniu, wyborze) szkołę, studia, pierwsze prace (liczba mnoga), z uśmiechem oprowadza nas – w słownej wędrówce – po czasie, który nawet dzisiaj określane bywa jako opresyjny. Z uśmiechem – powtórzę – wciąż bez żalu, ze zrozumieniem czasu, w jakim się żyło. A poza tym, skoro już tamten czas minął, to – jak mówił Horacy – można przyjąć, że mutato nomine de te fabula narratur. To znaczy, że ta bajka mówi o nas, choć pod zmienionym imieniem.

Wspomnienia pisze się niełatwo, bo coś trzeba uwydatnić, coś przemilczeć. I jedno, i drugie wyszarpywanie przeszłości jest prywatyzacją, znakowaniem, emocjonalnym ocenianiem, wartościowaniem, stygmatyzowaniem. Wspomnienie to niebezpieczny gatunek literacki. Neuger o tym doskonale wiedział. Ponieważ od lat piszę wspomnienia o umarłych, bo nikt inny nie chce lub nie umie, po jednym z nich podmiot tej recenzji napisał do mnie: „Pięknie i trafnie napisałaś, Marianku! I ważne, że nawet abnegaci nie odchodzą w nicość”.

Nie odejść w nicość. Zapisać fragment, szczegół, może po prostu to, że się było, spo-

## Nie odejść w nicość

KSIĄŻKI

MARIAN KISIEL

tykało, śmiało, piło wódkę lub wino... To jest realizacja Rilkeńskiego niepokoju, że wszystko mija, domy trwają, drzewa będą dalej rosnąć, a my przeminiemy jak podmuch powietrza. Neuger nie chciał tego tak zostać, i jakkolwiek późno zabrał się do swoich wspomnień (a czy jest dla nich w ogóle dobry czas?), to przecież podjął ten trudny (dla każdego) wysiłek podsumowania życia. – „Niedługo skończę siedemdziesiąt cztery lata”. Kiedy więc, jak nie teraz?

W wieku późnym wątpliwości są mniejsze. Można sobie pozwolić więcej: na to, czy tamto. Ale Neuger nie wyszedł z formy. Co brzydkie – retuszował, co bolesne – łagodził, co jątrzące – unieważniał. Wszystko za sprawą „dystansu sztokholmskiego”, czyli spojrzenia z zewnątrz, zrozumienia, wybaczenia. Ale nie wszyscy ze „skrzywdzonych” umieją wybaczać i rozumieć. Sądzą, że mają prawo do goryczy. Ale nie mają prawa. Neuger głośno o tym mówił. Czy dlatego, że udało mu się zdobyć wielką pozycję w świecie slawistyki zagranicznej? Przecież taką pozycję mógłby osiągnąć i w Polsce. Nie, nie dlatego. Wspominając swój przyjazd po trzydziestu latach do Katowic (a wszak przyjeżdżał okazjonalnie i wcześniej) napisał o tych, z którymi widział się przed dekadami: „Jeżeli naprawdę miałem w ich życiu jakiś udział – jestem dumny. Rozmawiałem z ludźmi przyzwoitymi i pięknymi”.

Więc nie mamy prawa do goryczy. Ratuje nas przed nią pamięć przeszłości, która bez wątplenia była trudna, ale po latach objawia się jako zdarzenie groteskowe. Neuger (tak wyszło) wspomina lata krakowskie i zagłębiowskie, zrywa z wielu postaci kostium, w jaki chętnie ubieramy mieszkańców świata PRL. W ironicznym kącioku oczu autor Brokatów przemycza tę Gogolowską prawdę, że śmiejąc się z innych, śmiejemy się sami z siebie. W jego wspomnieniu prząsny czas gołonoskiej egzystencji (Gołonóg – dzielnica Dąbrowy Górniczej, w której mieszkał w latach 70.), jest chwilą zatrzymanej młodości, wiel-



kich przyjaźni, a okresy dojmującej krzywdy i lęku (stan wojenny, internowanie, emigracja) sprawdzeniem siebie, swojego prawdziwego, a nie udawanego człowieczeństwa.

Jest w tych wspomnieniach gorycz, to prawda. Ale jest też i śmiech, a nawet drwina. Jest wdzięczność i szacunek dla przyjaciół i mistrzów, ale też – dystans, ponieważ pełna zgoda na innych wyklucza – zdaniem Neugera – osobność. Tym wszakże, co góruje nad mniej lub bardziej skrywanymi emocjami jest usilna potrzeba bliskości, pragnienie przyjaźni, chęć nierozłączenia.

Z czego się to brało? Czy z tego, że miał być dzieckiem abortowanym, a nie stało się tak, dzięki pragnieniu matki Różyczki (tak pięknie ją nazywa), za sprawą jej silnej woli? Przyszło mu później doświadczyć abortowanych idei wolności, czy jest z tym jakiś związek?

Nie chcę opisywać poszczególnych fragmentów tej książki. Bo to są fragmenty, pełnego zbioru wspomnień nie udało się Neugerowi złączyć. Friedrich Schlegel pisał, że fragment jest „najbardziej prawdziwym sposobem artystycznego wyrażania. Artysta w sposób naturalny jest fragmentaryczny”; natomiast Emil Cioran: „Dzieła umierają; fragmenty nie żyły, tym bardziej nie mogą więc umrzeć”. Tak widzę to pozostawione nam ostatnie słowo Leonarda Neugera.

Okładką książki jest jego zdjęcie zrobione przez Joannę Helander. Piękna twarz, przenikliwe spojrzenie, półironiczny uśmiech. I elegancja ubioru. Takim go zapamiętamy. Jak napisała Agnieszka Dauksza w przedostatnim zdaniu swojego posłowania do tej książki: „Nie będzie nam go brakować, myślimy o nim”. Tak! Nikt nie odchodzi w nicość, kiedy się o nim myśli. ■

**Leonard Neuger, *Brokaty*, Wydawnictwo Austeria, Kraków–Budapestz–Syraquzy 2022, s. 114.**

Nocą z 23 na 24 lutego 2022 r. nastąpiła agresja Rosji na Ukrainę, eufemistycznie nazwana rzez najeżdźcę „wojskową operacją specjalną”. Znacząco przekształciła ona obraz współczesnego świata. Wiadomość ta była aż tak nieprawdopodobna, że natychmiast włączyłem telewizję satelitarną, wyszukując najnowszych informacji z pobliskiego teatru wojny. Przed oczyma przewijały się wyjątkowe obrazy, jakby wyjęte z sensacyjnych filmów batalistycznych, a przecież to relacje na żywo, tak jak dzisiejsze wieści z kilku frontów: „Wojna w Ukrainie trwa. Poniedziałek to 138. dzień rosyjskiej agresji. W ataku przeprowadzonym na zgrupowanie najeżdźców w okupowanej Czornobajiwce na południu kraju zginęło 12 wyższych rangą oficerów wroga, w tym generałowie i pułkownicy. Wcześniej siły ukraińskie zniszczyły cztery rosyjskie magazyny amunicji w obwodzie chersońskim. [...] Do 20 wzrosła liczba ofiar rosyjskiego ostrzału bloku mieszkalnego w mieście Czasiw Jar w obwodzie donieckim. Kilkanaście osób jest wciąż pod gruzami”.

Obok reporterów lub korespondentów wojennych pojawiają się nieliczni „poeci wojenni”, zbliżeni do nurtu dokumentaryzmu, tworzący poezję faktu... Nie jest rzeczą prostą dotrzeć do istoty konfliktu zbrojnego na podstawie obrazów z serwisów społecznościowych, w rodzaju facebooka czy twittera. Kuratorka wystawy dokumentalnej – ukazującej i opisującej tę wojnę poprzez codzienne posty na kanałach społecznościowych – pod znamienym tytułem: *Dzienniki wojenne 2022* (Wrocław), Ana Riboshenko pisze: „Z życia Ukraińców zniknęła „normalność” codziennych spraw. Zwykle, nieciekawe rzeczy, takie jak: zakupy, klótnie rodzinne, spacer, projekty w pracy, spotkania na zoomie itp., zniknęły z dnia na dzień i zostały zastąpione nową rutyną. Przeglądanie kanałów informacyjnych w poszukiwaniu aktualnych danych o ruchach wojsk, sprawdzanie bezpieczeństwa bliskich, ochotnicza służba i walka to nasza nowa rzeczywistość. [...] Artyści, jak wszyscy inni, są zakładnikami tej wojny. Jednak ich głos jest coraz lepiej słyszalny, ich ból przebija się przez zimne powietrze wczesnowiosennych dni [...]”.

Osiemdziesięcioparoletnia uchodzący ni wojenna ze Lwowa – Bronisława, zwierzyła mi się ostatnio: „– Adamie, jestem w głębokiej depresji. My już nie żyjemy...”.

I jak tu opisać poetyckim słowem „okropności wojny”? W tym miejscu narzuca się wprost fragment przemówienia Olgi Tokarczuk z okazji nadania Jej doktoratu honorowego Uniwersytetu Wrocławskiego, mowy pod znamienym tytułem: *Ta wojna jest naszą wojną* („Gazeta Wyborcza – Tygodnik Wrocław”, 3.06.2022): „Teraz zbyt często brakuje mi słów, żeby nazwać to, czego doświadczam. W huku działań słowa stają się niesłyszalne. Wobec przemo- cy, śmierci cierpnie wyobraźnia. Ten brak

# Gdy świat przymyka oczy

KSIAŻKI

słów bardzo mi przeszkadza. Czytam relacje, syntezę i analizy, wywiady i prognozy ekspertów. Chwytam się cudzych słów, by zrozumieć tę irracjonalną erupcję śmierci w Ukrainie napadniętej przez Rosję. Jako pisarka kapituluję. Nie umiem tego nazwać, bo nie umiem tego zrozumieć”.

Dużą odwagę wykazał się opolski poeta Harry Duda, ogłaszając drukiem już na początku tej wojny najnowszy zbiór wierszy pt. *Na oczach świata*. Ten niewielki tom poetycki został podzielony na dwie części. *Kroniki zła* – to wiersze o rosyjskim totalitaryzmie i marzeniu o odrodzeniu imperium; *Chwała Ukrainie* – to utwory, również w tłumaczeniach na język ukraiński Wiktora Melnyka, które ukazują obecną wojnę. W słowie odautorskim Harry Duda napisał: „Z cząstek śniegu i kropelek wody płyną rzeki, z wdowich groszy rosną wielkie pieniądze, z cząstek piasku, gliny i żwiru powstaje cegła i beton, a z nich są budowle. W tej intencji choćby cegiełki dla ducha i »pokrzepiania serc« udręczonych, jak też bohaterów walczących Ukraińców, powstała ta dwujęzyczna publikacja”.

Są to – miejscami – zbyt emocjonalne teksty, ocierające się o publicystykę, które zawierają w sobie ważne, choć retoryczne pytania, bądź rozproszone myśli złote, w rodzaju: „kłamstwo barwę ma ołowiu / śmiertelną barwę / zwłok?”; „A jak żyć bez mądrości starych?”; „Nie dość było Auschwitz?”. W tym ostatnim pytaniu porbrzmiewa słynna refleksja Theodora Adorna: „Pisanie wierszy po Auschwitz jest barbarzyństwem”. Chcąc opisać lub wypowiedzieć niewypowiedziane doświadczenia wojny i ludobójstwa, trzeba skonstruować lub odnaleźć nowy język, gdyż – jak pisze Duda – „Myśli czynu żądają, słowa tracą znaczenie”.

Utwory tego zbioru są na skróś przesycone emocjonalnością, ale i wulgaryzmi- mi – tylko w jednym tekście pt. *Bandyeci*



Harry Duda

Na oczach świata  
У світу на очах

ADAM A. ZYCH

*strzelają ludźmi, znajdują takie oto epitety: [tytułowi] bandyci, idioci, oprawcy, banda ogupiała!, stwór, „co nawet już ba- wił się gazem”.*

Recenzowany tom (i jego tytuł) otwiera wiersz *Zbyteczna przestroga*:

*Na oczach świata  
szeroko otwartych,  
czujnie notujących  
każdy kolor i szczegół,  
zamordowano mały,  
nic nieznaczący naród.*

W tomie wierszy Harry’ego Dudy są diamenty poezji czystej, refleksyjnej, skłaniającej do zadumy, jak ten oto ułomek wiersza: „A w oczach tej kobiety – na dnie samym się jarzy / smutek świec, co w intencji umarłych, i skrzywdzenie, / co zabija świat w dzieciach, dźwięki słów w gardle zdławione”. Tutaj z kolei wyczuwalne jest trudne pytanie Cypriana Kamila Norwida z klasycznego utworu *Po to właśnie*: „Czy zostanie / Na dnie popiołu gwiazdzisty dyjament / Wiekuistego zwycięstwa zaranie?”.

Może warto przeczytać zbiór wierszy Harry’ego Dudy, właśnie w sytuacji, gdy świat przymyka oczy, choćby dla tego oto przesyconego nadzieją fragmentu z wiersza *Ukraińcy!*, który zamyka ten tom współczesnej poezji wojennej:

*Przyjdzie odrodzenie.  
Zazielenią się pola i zakwitną sady,  
praca znowu obrodzi dachami nad głowy,  
przemienie śmierć i krzywda, dzieci przerażenie,  
powróci do Was każdy – dzień dobry, gdy nowy.*

Harry Duda: *Na oczach świata / У світу на очах*. Przekład Wiktor Melnyk. Wydawca MW Marketing i Wiedza, Opole 2022, s. 82.

Książka Daryny Hładun stawia czytelnikowi opór. Poetka często wplata w zapis wierszy muzyczną partyturę, szeregi pionowych kresek symbolizujących pauzy czy sekwencje czarnych pasków, które przywodzą na myśl ingerencję cenzora. Jednak to nie eksperymentalna forma, ale tematyka – zwłaszcza w kontekście biografii autorki, która uciekła z rodzinnej Buczy niebawem przed masakrą w mieście – czyni lekturę wierszy trudną.

Daryna Hładun opublikowała dwa tomiiki poetyckie (*Rubaty derewo* oraz *Iz tinikrasywych czerwonych chłopczykiw*). Trzeci, Radio „Wojna”, jest wydaniem dwujęzycznym, ukraińsko-polskim i stanowi kompilację wcześniejszych utworów z nowymi, opisującymi doświadczenia wojenno-emigracyjne. Głos poetki nie cichnie po odłożeniu tomu, lecz zagnieżdża się w pamięci obrazami „nieodczytanych książek”, „zamarłych liczników” i „cichych żyć” toczących się daleko od uciekinierów (36), którzy „napęniają wojną poczekalnie obce budynki drogi rozmowy telefoniczne”, niezdolni „wycisnąć wojnę wymyć z siebie wojnę” (ambasadorowie wojny).

Utożsamienie z podmiotem – często zbiorowym – okazuje się strategią odbioru skazaną na porażkę. Zaprezentowane w pierwszych kilkunastu wierszach obrazy niepodległej Ukrainy (Hładun urodziła się dwa lata po jej odłączeniu od ZSRR) – Ukrainy budującej swoją tożsamość i pamięć o bolesnej, przez lata zakłamywanej historii, a jednocześnie zmagającej się z biedą i niesprawiedliwościami raczkującego kapitalizmu – mogą, co prawda, kojarzyć się z sytuacją Polski po transformacji. Również w naszej ojczyźnie, a zwłaszcza na Śląsku, nie brak małych baletnic, których „ojcowie nie przyjdą na występ”, ponieważ „wskutek wybuchu metanu / zginęło trzech / sześciu / siedmiu” (aneczka). Nie brak również żon metalurgów „modlących się za nieskończoność mocy przerebowych przedsiębiorstwa” (żona metalurga). Niejednokrotnie też dawne obiekty użyteczności publicznej przeszły w prywatne ręce nie po to, by prężnie działać, lecz by „grozić zawaleniem” i „oddawać pozycje pod naciskiem wody” (DK „Kolejarz”).

Jak zauważa w posłowie Janusz Radwański, tłumacz *Radia „Wojna”*: „Kto z nas nie widział budynków-widm podobnych do opuszczonego Domu Kultury Kolejarz? Kto nie zna tej dziwnej melancholii postindustrialnych przestrzeni w tej części Europy?”. Mimo pozornego podobieństwa ukraińskiego i polskiego doświadczenia, niezaprzeczalnie to pierwsze stanowi wersję hard drugiego. Nasi wschodni sąsiedzi znacznie boleśniej odczuli stalinowskie represje, a ich gospodarka w latach dziewięćdziesiątych była znacznie bardziej zrujnowana. Polacy nie przeżyli też Wielkiego Głodu w latach trzydziestych ani katastrofy elektrowni atomowej w Czarnobylu.

Już w pierwszych utworach *Radia „Wojna”*, pisanych przed 24 lutego 2022 roku, pojawia się widmo inwazji. Wielkie zakłady przemysłowe nie wytwarzają przedmiotów codziennego użytku, wózków dziecięcych, części samochodowych i pralek, a podejmują „produkcję

## Niedoczytane książki i zamarte liczniki

KSIĄŻKI

cję międzykontynentalnych rakiet strategicznych” (instytut przeglądu historii). Postępuje nie tylko militaryzacja, ale też szum informacyjny, prężnie działa „instytut przeglądu faktów i falsyfikacji” (instytut przeglądu historii), aż w końcu rozbrzmiewa „dźwięk pociśku który się rozrywa / dźwięk budynku, który się wali dźwięk mapy która się rwie” (na parapecie. W obliczu wojny podmiot liryczny pyta retorycznie: „komu potrzebna moja wolność / moje wykształcenie / kiedy worki spadają / pod nogi / boleśnie uderzają / w robocze buty” (taśmociąg). Obywatele, którzy nie wyemigrowali, przymusowo cofają się do czasu czynów społecznych i wyrabiania dwustu procent normy ciężkiej, mechanicznej pracy, zaś hasło „ROBOTNICZY! NIE MA CZASU NA ODPOCZYNEK! / POPATRZCIE! WASZA PRACA JESZCZE NIE JEST WYKONANA!” odzyskuje aktualność.

Doświadczeniem, które ostatecznie przekreśla utożsamienie polskiego czytelnika z bohaterami lirycznymi Daryny Hładun, jest oczywiście rosyjska inwazja, stanowiąca temat przewodni *Radia „Wojna”*. Mimo największej nawet empatii nie mamy pojęcia, jak to jest przeżyć paniczną ucieczkę z naprędce spakowanym plecakiem, bombardowanie lub ludobójstwo w rodzinnym mieście.

W większości wierszy dominuje perspektywa nie tych, którzy pozostali w ojczyźnie ogarniętej wojną, lecz perspektywa uchodźców (a przede wszystkim uchodźczyń). Rwą się więzi międzyludzkie: „w słuchawce / wybrany numer nie istnieje / abonent jest poza zasięgiem / – nie dzwoń do mnie roaming drogi”. Ukraina pustoszeje: „do starych betonowych słupów / na amen przyklejone wyblakłe ogłoszenia / sprzedam działkę w strefie przygranicznej / kontakt pod numerem / i numer Polski / numer Rumunii / numer Węgier” (migracja-1).

Uciekinierki, zmuszone porzucić materialne, starają się zadbać o niematerialne: „bierzemy pamięć o naszych umarłych z sobą na ewaku-



WERONIKA GÓRSKA

ację / zostawiając książki notesy i albumy ze zdjęciami z czasów radzieckich / na łaskę pocisków i szabrowników” (wojna nie zacznie się jutro). Zarazem dręczą je obrazy najeźdźców wdzierających się do ich domów: „wchodzi do mojej wanny rosyjski żołnierz / (...) / długo wszystko zmywa rosyjski żołnierz korzysta z moich ciemnoszarych ręczników / (...) / patrzy / na swoje odbicie w czarnych kafelkach / do pochwy wkłada mój kubeczek menstruacyjny / (...) wkłada moje buty / smaruje moim balsamem do ust swoje wargi / teraz wargi rosyjskiego żołnierza są bezpieczne / wychodzi na ulicę przejść się po mieście / (...) / dożywa życie / które tak pospiesznie zostawiłam” (bez domu). Jeszcze boleśniejsze okazują się obrazy najeźdźców dzielących się z bliskimi wyszabrowanym łupem: „pakują w karton i / folię nasze łzy kalectwa i śmierci / wysyłają swoim rodzinom dziecięce ubrania buty i zabawki / a także dywany meble garnki patelnie / (...) / żeby w domu wiedzieli o przewagach rosyjskiej armii i o tym jak dużo może ukrąść / jeden bojeć”. W ślad za niechlubną zdobyczą często wracają do domu sami żołnierze, „aktualnie włożeni w cynkowe trumny”, lecz podmiot liryczny nie współczuje ich bliskim, bo „ich łzy – to nie nasze łzy / i ich rozpacz – to nie nasza rozpacz”.

Zapisane na kartach *Radia „Wojna”* doświadczenie z jednej strony zdaje się uniwersalne – wszak wszystkie wojny są mniej lub bardziej barbarzyńskie, wszystkie niosą z sobą podobne traumy. Z drugiej strony nikt, kto osobiście owych okropieństw nie doświadczył, nie jest w stanie się z nimi utożsamić. Dlatego – na szczęście – polskiemu czytelnikowi pozostaje strategia próby wyobrażenia sobie tego, co niewyobrażalne.

**Daryna Hładun, *Radio „Wojna”*, przeł. Janusz Radwański, Biblioteka Śląska, Katowice 2022, s. 130.**

**A**utochtonka ukazała się nakładem Biblioteki Śląskiej i jest kontynuacją publikacji twórczości dramaturgicznej autora *Wieży spadochronowej*. Rok wcześniej, w ramach obchodów stulecia powstań śląskich, katowicka księżnica opublikowała dramat *Nad Odrą wstaje zorza*, zaś *Autochtonka. Sztuka w jednym akcie* to „wydanie jubileuszowe z okazji 100-lecia Biblioteki Śląskiej”.

Jednoaktówka Gołby ukazała się w druku po raz pierwszy. *Sztuka w 1 akcie* – jak oznajmia podtytuł – nie jest szczególnym osiągnięciem artystycznym ani w twórczości dramaturgicznej autora, ani w obszarze dramaturgii Śląskiego. Gołba podejmuje bowiem popularny w literaturze od zamierzchłych czasów wątek zwaśnionych rodów i zakochanych w sobie ich przedstawicieli po to, by ukazać tematykę stosunków pomiędzy Górnoszlązakami – autochtonami, a przybyłymi ze Wschodu ekspatriantami. Owa „schematyczność” wydaje się skutecznie gasić napięcie dramatyczne. Widz od samego początku wie, że wątek miłosny pozostanie tylko sztafazem wobec głównego problemu.

Jaki był zatem cel powstania utworu? Kazimierz Gołba polski nauczyciel, pisarz, poeta i „Ślązak z wyboru” jak nazwała go prof. Krystyna Heska-Kwaśniewicz, domagał się po prostu prawdy o swojej „wybranej” ojczyźnie. I czynił to z całą determinacją i zaangażowaniem społecznika z krwi i kości, który zapytany o problematykę śląską w swojej twórczości wspominał: „dosłuchałem się jak bije serce Śląska”.

Taka była również geneza *Wieży spadochronowej*, kiedy na Ślązaków posypały się kalumnie oskarżające ich o kolaborację z okupantem i entuzjastyczne powitanie w Katowicach wojsk niemieckich we wrześniu 1945 roku, takie były również przesłanki do powstania *Autochtonki*, kiedy to przymusowo wysiedlona ludność ze wschodu ojczyzny, zasiedlała kresy zachodnie, widząc w miejscowych wrogów kolaborujących z Niemcami, chociażby poprzez służbę w Wehrmachcie. Autor wstępu i opracowania tekstu sztuki Krystian Węgrzynek tak określa motywację dramaturga: „Gołba chce po raz kolejny – po serii felietonów i publikacji *Wieży spadochronowej* – przekonać do Ślązaków innych mieszkańców Polski, szczególnie wagę przywiązując do wyjaśniania kwestii niemieckiej. Wpisuje się niejako w rządowy projekt repolonizacji i degermanizacji, starając się jednak możliwie szerokie ukazanie sytuacji Ślązaków i stając się – momentami – ich bezkrytycznym piewą.”

Owa idealizacja śląskości tak jak i schematyczne potraktowanie wątku miłosnego posłużyły Gołbie do osiągnięcia zamierzeń jak to nazwał: „reportażu scenicznego”, którego zadaniem była jednoznaczna falsyfikacja postrzeżenia Ślązaków jako „opcji niemieckiej”. W tym sensie autor *Młodzieżowców* wpisał się mimowolnie w propagandę ówczesnych władz, które już w rok po powstaniu sztuki skazały na przemiał jego *Wieży spadochronową*. Z pewnością Gołba zda-

## Śląsk według Gołby

KSIAŻKI

wał sobie sprawę z „jednoznaczności” przesłania celując w wywołanie gorących emocji u widzów. Tak działo się zresztą przy okazji wystawienia skandalizujących *Rekrutów*, czy powieści *Młodzieżowcy* gdzie bezpardonowo krytykował bliskie mu środowisko szkolne. Przedstawiając miejsce akcji *Autochtonki*: powojenną wieś opolską, Węgrzynek analizuje złożoność zachodzących wówczas procesów, różnych od tych, które zachodziły podczas integracji części przemysłowej Górnośląska z II Rzeczypospolitą od 1922 roku, przytaczając refleksje historyczki Małgorzaty Świder, która napisała: „Śląsk opolski był specyficznym obszarem, żyli tu obok siebie Niemcy i Polacy, tworząc tam największe skupisko mniejszości polskiej w III Rzeszy. Po ofensywie zimowej wojsk radzieckich w styczniu 1945 r. większa część ludności zamieszkującej prawy brzeg Odry pozostała w swoich domach lub w ich pobliżu. W ten sposób zachowały się historyczne struktury społeczne, stające się swoistym „laboratorium” akcji integracyjnej administracji polskiej i papierkiem lakmusowym jej efektów.” i konstatuje: „To laboratorium chce pokazać także Kazimierz Gołba”.

Na scenie pojawia się miejscowa rodzina Fojcików i przybyła Wójcików, która Ślązacom odcina dopływ do studni. „Nie słysze-liście, jak odgrzała się wczoraj? Że nie pozwolą szwabom po wodę do swojej studni chodzić?” – woła Weronika Fojcikówna do swojej matki. „Powiedz mi, Wera, czego ci ludzie od nas chcą? Skuli czego za szwabów nas mają? – pyta matka. „Toć to repatrianty! Co oni o nas widzą? Powiedział im ktoś w ich stronach, że tu same Niemcy. Nikt im tego z głowy nie wybijie” – konstatuje Weronika. Takie zawiązanie akcji jasno sytuje problem miejscowi – obcy. Gołba dowodzi, że tylko poznanie może być drogą do akceptacji „innego”, a zło (zaborcze) zamiary ze strony Wójcików zostaną udaremnione z chwilą pojawienia się ojca Weroniki Wik-



PIOTR SKOWRONEK

tora Fojcika. Oskarżany o sprzyjanie agresorom i wstąpienie do Wehrmachtu wraca teraz odznaczony orderem wojennym *Virtuti Militari* jako polski żołnierz i od razu dzieli się bagażem wojennych doświadczeń, tak kończąc swoją bojową historię: „Chciałem wrócić do was jako pełny Polak, bo zabolowało mnie bardzo, kiedy się dowiedział, że was tu przybyśle jak murzynów autochtonami przezwali”.

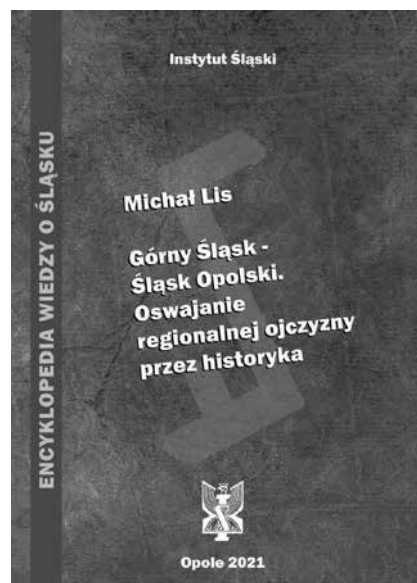
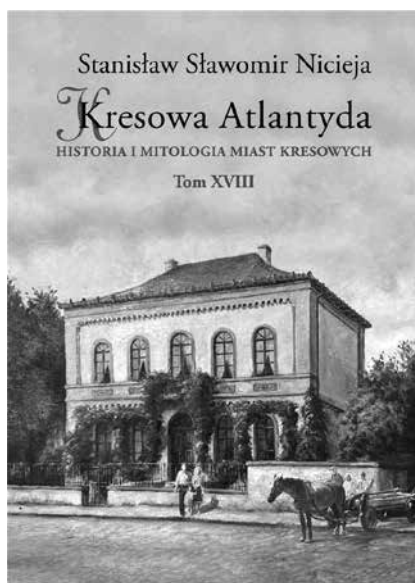
Wójcik ukazuje w bardzo wyrazisty sposób „śląski los”, by stać się reprezentantem doświadczeń wielu Ślązaków. Rzetelne omówienie zachodzących wówczas na Śląsku zjawisk znajdziemy we *Wstępie*.

Warstwa językowa *Autochtonki*, w tym dobór nazwisk jest również znaczący np. Fojcik i Wójcik. Gołba decyduje się, podobnie jak w poprzedniej sztuce, na stylizację gwarową, inkrustując tekst śląskimi leksemami. Jako Małopolanin, nie posługujący się gwara na co dzień, nie jest w tym jednak konsekwentny, na co zwrócił uwagę autor opracowania tekstu pisząc: „w niektórych partiach dialogowych autor przypisał pojedyncze sielężanizmy także przybyłom”. Brak mu wy-czucia także w samym tytule sztuki, który brzmi obco, i jest jakoś „wrogo” nacechowany stylistycznie.

W ostatnim, piątym rozdziale *Wstępu* zatytułowanym *Gołba a sprawa Śląska* Krystian Węgrzynek żałuje, że nie poznaliśmy temperatury dyskusji, którą wywołałoby z pewnością ówczesne pojawienie się jednoaktówki na deskach scenicznych; konstatuje, że: „niewielu jest w Polsce pisarzy spoza regionu, którzy w taki sposób – bez uprzedzeń i bez pobłażania – spojrzeliby na Śląsk”; i czeka z jaką recepcją spotka się *Autochtonka* dzisiaj. ■

Kazimierz Gołba: *Autochtonka*. Biblioteka Śląska, Katowice 2022, s. 88.

# Tytani pracy



## KSIAŻKI

JAN COFAŁKA

Żyją w Opolu i tyrają jak mrówki dwaj znani i uznani historycy, wydając raz po raz nowe, ważne pozycje książkowe, aż trudno nadążyć z ich zgłębianiem.

Starszego, 87-letniego prof. Michała Lisa (ur. 2 XI 1935), nazywa się, nie bez racji, „chodzącą encyklopedią Śląska”, choć przybył na Śląsk Opolski z Kresów, spod Tarnopola, w wagonie towarowym jako dziewięcioletek w 1944 roku. Przybył na ówczesne „Ziemie Odzyskane”, lub „wracające po wiekach – jak wówczas pisano – do Macierzy”. Tu się zadomowił, zdobył kolejne tytuły naukowe i uznanie, tu mieszka i nadal pracuje. W odróżnieniu do młodszego o 13 lat prof. Stanisława S. Nicieja (ur. 4 X 1948) nie jest (jak twierdzi o sobie Niciejka) – „dzieckiem szczęścia”, któremu liczne pomysły, jakich mu nigdy nie brakuje, prawie zawsze przekładają się w sukcesy. Prof. Lis na uznanie musiał zapracować, bez splendoru, jakiego doświadcza młodszy kolega historyk.

Stanisław S. Niciejka przybył do Opolu na studia w Wyższej Szkole Pedagogicznej z Dolnego Śląska, ze Strzegomia. Wybrał Opole, bo miało ono – jak twierdzi – swoisty klimat. Tu od 1963 roku odbywa się Festiwal Polskiej Piosenki, który go uwiódł poziomem prezentowanych utworów przez znakomitych wykonawców i zespoły. Na tych piosenkach wychował się nie tylko on, lecz całe pokolenia młodych Polaków. Po latach, już jako rektor kształtujący oblicze powstałego w 1994 roku Uniwersytetu Opolskiego, postawił na Wzgórzu Uniwersyteckim pomniki największym twórcom „złotej epoki” w dziejach polskiej piosenki artystycznej. Dzięki czemu stało się ono kultowym miejscem w stolicy polskiej piosenki, jak zwykło się dawniej nazywać Opole. Ale ten zauroczony Opolem młody, zdolny historyk tuż po doktoracie jedzie w 1978 roku do Lwowa i to miasto swoją historią nim całkowicie zafascynowało i w rezultacie zaważyło na jego dalszym życiu i jego naukowych zainteresowaniach.

Tak jak prof. Michał Lis „zaklinował się” w historii Śląska Górnego i Opolskiego, tak prof. Stanisław S. Niciejka zauroczył się totalnie najpierw Lwowem, potem w Kresami Dawnej Rzeczypospolitej. Słusznie się więc go nazywa „Hetmanem Kresowym”. Obaj uczeni w jakimś sensie zajmują się kresami, bo przecież Śląsk przez wieki był zachodnimi kresami Polski. Teraz łączą ich dodatkowo losy tysięcy ludzi, którzy po II wojnie światowej napłynęli na Śląsk i tu osiedli, początkowo trwając w przekonaniu, że tylko czasowo. Nazywano ich nawet pokoleniem „nierozpakowanych”.

Prof. Michał Lis w swych naukowych dociekaniach stara się, by prawda o dziejach Śląska i pogmatwanych losach Ślązaków, bez doróżnych politycznych zakłamań, docierała do świadomości naszego społeczeństwa, by stała się niezbywalnym elementem dziedzictwa narodowego; prof. Stanisław S. Niciejka natomiast z powodzeniem, przerastającym jego najśmielsze oczekiwania, najpierw przełamał w PRL tabu niepisania o Kresach. Jego naukową monografią Cmentarza Łyczakowskiego wydana w 1988 roku oszołomiła go, rozchodząc się w niebotycznym dla naukowych książek nakładzie 300 tys. egzemplarzy. Później równie udanym pomysłem i wydarzeniem okazał się pięknie pisany i ilustrowany, wydawany od 2012 roku, cykl książek pod tytułem *Kresowa Atlantyda. Historia i mitologia miast kresowych*. Można zażartować, że prof. Stanisław S. Niciejka, pisząc o „straconych polskich ziemiach”, czyli Kresach, na tym bardzo dobrze wychodzi, ciesząc się uznaniem wielu czytelników, zaś prof. Michał Lis, piszący o „Ziemiach Odzyskanych”, może poszczycić się autorską satysfakcją i uznaniem miłośników historii Śląska.

Prof. Stanisław S. Niciejka stara się co roku wydać dwa tomy *Kresowej Atlantydy* prawdziwego hitu wydawniczego, który bez reklamy w zawistnych centralnych mediach, rozchodzi się w wielotysięcznym nakładzie. Największą atrakcją każdego tomu, oprócz syntetycznej prezentacji historii i zabytków opisywanych

kresowych miejscowości, jest przywołanie w nim ponad tysiąca nazwisk osób tam urodzonych, żyjących i stamtąd się wywodzących. Właśnie ukazał się jej już 18 tom o garnizonym mieście – Włodzimierzu Wołyńskim, torfowej stolicy – Sarnach, Uściługu – mieście na granicy cywilizacji, cukrowo-miodowym Mizoczu, Zdołbunowie – mieście na wołyńskim rozdrożu, magnackiej stolicy – Ostrógu i pocztowym Berdyczowie. Kto w Polsce nie słyszał o Berdyczowie?

Tom ten otwiera niezwykle interesująca rozmowa z autorem, opublikowana w nowojorskim „Nowym Dzienniku” przez polską i amerykańską pisarkę biografistkę Aleksandrę Ziółkowską-Boehm, wieloletnią asystentkę Melchiora Wańkowicza. Nie waha się ona nazwać prof. Nicieję postacią niezwykłą, kustoszem pamięci, historykiem, badaczem, biografistą, publicystą, literatem, wizjonerem, pasjonatem, autorem filmów dokumentalnych, działaczem społecznym z okazałym dorobkiem naukowym, kulturalnym i publicystycznym.

Między innymi, w tej rozmowie przepytany potwierdza, że powodzenie swych książek zawdzięcza temu, iż doskonale udało mu się wstrzelić w tematykę Kresów w oczekiwania ludzi pochodzących stamtąd oraz ich potomków. Dla nich jego książki są – jak zauważa – rodzajem biblii rodzinnej, którą kupują, studiują z pietyzmem i potem z nabożeństwem przechowują dla kolejnych pokoleń jako cenne pamiątki rodzinne.

To właśnie jest najmocniejszym magnesem przyciągającym czytelników. W każdym tomie prof. Niciejka przywołuje ponad tysiąc nazwisk osób urodzonych w opisywanych miastach i miasteczkach i ich losów z potomkami po wojnie, już w Polsce, do której trafili i gdzie zapisali piękne karty. Nie sposób wybrać na potrzeby tej recenzji godnej ich reprezentacji, więc skazany jestem na niewielkie grono bohaterów.

W 18 tomie *Kresowej Atlantydy* Autor wymienia całą plejadę absolwentów słynnej Wo-



łyńskiej Szkoły Podchorążych Rezerwy Artylerii, w tym tak powszechnie znane postacie, jak: Marian Eile, Jan Nowak-Jeziorański, Wojciech Żukrowski, Jan Karski, Józef Cyrankiewicz, Feliks Topolski. Z Włodzimierza Wołyńskiego wywodzi się Jerzy Antczak, twórca arcydzieła filmowego *Noce i dnie*, który po wojnie trafia do Opola, gdzie uczęszcza do liceum i w 1956 bierze ślub z Jadwigą Barańską. W znanych z ogromnych torfowisk Sarnach pracował prof. Stanisław Tołpa – badacz właściwości torfu i twórca „preparatu Tołpy”; stamtąd wywodzi się rodzina aktora Krzysztofa Chamca. W pobliżu Sarn popełnił samobójstwo, po wejściu Sowietów, Stanisław Ignacy Witkiewicz, zaś w partyzantce walczył późniejszy wybitny dyrygent Robert Satanowski. Tu też mieszkali dziadkowie i rodzice późniejszego kompozytora i wokalisty zespołu „Trubadurzy” Ryszarda Poznakowskiego.

W Uściługu wpisywał się w dzieje światowej muzyki Igor Strawiński, zaś w Mizocza musieli uciekać w 1943 roku przed ukraińskimi nacjonalistami rodzice Jonasza Kofty, który ma dziś pomnik na Wzgórzu Uniwersyteckim w Opolu.

W Zdołbunowie urodził się popularny i lubiany po wojnie kolarz szosowy Mieczysław Wilczewski, zwycięzca Tour de Pologne i olimpijczyk. Z Ostrogą wiąże się najtragiczniejsza postać Rzeczypospolitej Obojga Narodów, urzekająco piękna i niewyobrażalnie bogata Elżbieta Ostrogska, spopularyzowana przez Józefa Ignacego Kraszewskiego w powieści *Halszka*, uwieczniona także na obrazie Jana Matejki *Kazanie Skargi*. Z miastem tym wiąże się wspaniała postać ks. Remigiusza Krancza, który potrafił zjednoczyć żyjących tu Polaków, tworząc warowny obóz, w którym przez trzy tygodnie broniono się przed atakującymi banderowcami z powiewającym nad klasztorem sztandarem z wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej. Po wkroczeniu Armii Czerwonej, sztandar ten bohaterski ksiądz polecił wręczyć gen. Karolowi Świerczewskiemu, który przyjmując go ucałował jego kraj i oświadczył, że będzie on „prowadził do Polski, do zwycięstwa nad faszyzmem”. Przy okazji prof. Nicieja, z właściwą mu cywilną odwagą, wskazuje jak w rezultacie bezmyślnej dekomunizacji sponstrowano postać generała, czyniąc z tego „żołnierza, który się kulom nie kłaniał”, potwora, gwałciela, posyłającego po pijanemu na śmierć żołnierzy.

Wreszcie prof. Nicieja, jak na „Hetmana Kresowego” przystoi, zaprasza czytelników do Berdyczowa, miasta przeróżnych interesów i jarmarków, ze słynnym sanktuarium maryjnym, w którym gen. Kazimierz Pułski bronił się w 1768 roku przez 17 dni przed Rosjanami. Ale Berdyczów najbardziej jest znany z wieloznacznie interpretowanego powiedzenia: „Pisz na Berdyczów”. Mnie najbardziej odpowiada w znaczeniu: „Pisz na koniec świata, lub pisz bez oczekiwania na odzew”.

W Berdyczowie urodził się jeden z najwybitniejszych europejskich pisarzy Joseph Conrad, który nigdy nie wyrzekł się polskości. Z miastem tym wiąże się pobyt Honoriusza Balzaka, zakochanego z wzajemnością w Eweli-

nie Hańskiej (z którą się ożenił), bardzo bogatej arystokratce mieszkającej w barokowej rezydencji w Wierzchowni. O tym romansie i miłości powstał serial filmowy *Wielka miłość Balzaka*.

Jak wspomniałem powyżej, prof. Michał Lis nie jest jak Stanisław S. Nicieja „dzieckiem szczęścia”. Niedomiar szczęścia zastępuje mu satysfakcja z naukowych efektów pracy, której obaj, gdy się przyjrzeć ich dorobkowi, są prawdziwymi tytanami.

Do pełni szczęścia prof. Lisowi brakuje spełnienia dwóch jego marzeń. Pierwszym byłoby wydanie nowej *Encyklopedii Powstań Śląskich* z jego znaczącym udziałem, do czego od dawna jest przygotowany. Swego czasu był sekretarzem wydanej w 1982 roku, w nakładzie 30 tysięcy egzemplarzy, szybko wyczerpanej, monumentalnej *Encyklopedii Powstań Śląskich*, której nowego (uzupełnionego i poprawionego) wydania, wskutek „niedogadania się” województw śląskiego i opolskiego, nie doczekaliśmy się nawet z okazji 100-lecia powstania. Brak jej przyczynia się, w pewnym stopniu, do marginalizacji ich znaczenia w odbiorze społecznym. W latach obchodów 100-lecia powstań oba województwa miały odrębne programy obchodów i doszło nawet do skandalicznego czasowego zamknięcia Muzeum Czynu Powstańczego na Górze Św. Anny. Na Opolszczyźnie sytuację ratował prof. Michał Lis, który dysponując bazą źródłową, uczestniczył w wypracowaniu koncepcji olicznościowych wystaw. Całościowe w Muzeum Śląska Opolskiego oraz trzech objazdowych poświęconych kolejnym latom w Instytucie Śląskim w Opolu. Do każdej z tych wystaw przygotował starannie wydany i zilustrowany włącznie z kalendarium wydarzeń przewodnik *ŚLĄZACY dla NIEPODLEGŁEJ. W setną rocznicę POWSTAN ŚLĄSKICH 1919–1920–1921* oraz trzy przewodniki rocznicowych wystaw objazdowych: *Ślązacy dla niepodległości. Trwanie-wiara-nadzieja walka. Rok 2019; Rok 2020. Już plebiscyt tu nadchodzi* oraz *Ten DWUDZIESTY PIERWSZY roczek. PLEBISCYT – wola – kartka i POWSTANIE – czyn – krew*.

Drugim jego niespełnionym marzeniem jest wydanie *Encyklopedii Śląska*, która mogłaby spełniać rolę Biblii dla Ślązaków, podobnie jak to stało się z *Kresową Atlantyda* prof. Niciei. Przygotowania do wydania encyklopedii zostały przed laty podjęte w istniejącym wtedy Śląskim Instytucie Naukowym w Katowicach. Powstały nawet pierwsze hasła, potem jednak zostały bez wyjaśnienia uśpione i tak pozostało.

Prof. Michał Lis jest człowiekiem kompromisu (bez niego – twierdzi – nie da się żyć w harmonii), wszak wywodzi się z wielokulturowych Kresów, nie należy jednak (podobnie jak to stało się z *Kresową Atlantyda* prof. Nicieja) do grona historyków ulegających doraźnym życzeniom polityków i modom na poglądy i oceny. Jego mistrzami naukowymi byli prof. Władysław Dziewulski i prof. Józef Kokot. Dobrze zapamiętał słowa prof. Kokota, gdy władza zamawiała raz po raz w Instytucie Śląskim przeróżne ekspertyzy i opinie: „Trzeba je robić, lecz pisać, jak

jest, a nie jak chcą, niech potem sami sobie z nimi radzą”. Taką postawę więc prezentuje w swej naukowej działalności, czego wyrazem jest jego najnowsza książka *Górny Śląsk – Śląsk Opolski. Oswajanie regionalnej ojczyzny przez historyka*. O sobie napisze w niej skromnie, prawie śladowo w rozdziale *Gniazdo rodzinne – przeżyte Kresy jako inspiracje*, powierając słowa o sobie dr. Adamowi Wiercińskiemu. On sam przemawia do czytelnika szesnastoma wybranymi własnymi tekstami, w których przedstawia swoje, naukowo udokumentowane ustalenia, dotyczące kluczowych problemów i zagadnień Górnego i Opolskiego Śląska, poczynając od języka mieszkańców ujętego z perspektywy polskiej i niemieckiej; poszukiwania odpowiedzi na pytanie, czy powstania śląskie są dziś potrzebne i komu? Interesujące są prezentacje prof. Lisa o codzienności ludności polskiej Śląska Opolskiego, polskiej młodzieży między wojnami; wojennych losach członków Związku Polaków w Niemczech, o kulturze oraz o pojmowaniu śląskości i polskości na pograniczu etnicznym i kulturowym, w jakim znajdował się Śląsk. O wszechstronności podejmowania przez autora problemów Śląska świadczy to, że nie unika on problemów wyboru obywatelstwa i bolesnych wypadków, a potem ujawnionej w 1989 roku mniejszości niemieckiej z jej traktatowym zagwarantowaniem.

Polecam, mimo wszystko, dość cierpki w konkluzji tekst o Edmundzie Janie Osmańczyku jako państwowcu, którego autor miał okazję dobrze poznać, bowiem przez ćwierć wieku był on posłem Ziemi Opolskiej, którego *Sprawy Polaków*, moim zdaniem, stale pozostają ważną, lecz zapomnianą przestrogą dla nas Polaków. Autor kończy to osobiste „oswajanie regionu” tekstem, w którym stwierdza, że Śląsk nadal pozostaje dla historyków i pedagogów wyzwaniem. Chodzi więc o to jak twierdzi prof. Michał Lis, aby stworzyć płaszczyznę dla niemieckiego oglądu regionu, który przez wieki był poddany wpływowi kultury niemieckiej i czeskiej, z drugiej jednak strony dla zobiektywizowania wizji trwania polskiej, katolickiej, społeczności Śląska w polskości w warunkach wynaradawiania i nazizmu i – dodam – dążenia do jego ciągłego kolonizowania.

Czytając prof. Michała Lisa jest nad czym się zastanawia i zadumać, w czym widzę zasadnicze uzasadnienie wydania jego „naukowego rachunku sumienia” w nobilitującej serii Instytutu Śląskiego w Opolu *Encyklopedia wiedzy o Śląsku*. ■

**Michał Lis, *Górny Śląsk – Śląsk Opolski. Oswajanie regionalnej ojczyzny przez historyka*. Instytut Śląski, Opole 2021, s. 256.**

**Stanisław Sławomir Nicieja, *Kresowa Atlantyda. Historia i mitologia miast kresowych*. Tom XVIII. Opole 2022, s.367.**

Paul Jackisch (1825–1912) ponad połowę swych dzieł, a także swoje życie, związał z Bytomiem. Był architektem (Kopiec napisze: „artystą”) „reprezentatywnym dla XIX-wiecznego środowiska śląskiego”. Bez niego, poodobnie jak bez jego przyjaciela Ludwiga Schneidera (1855–1943), trudno mówić o śląskiej architekturze przełomu wieków XIX i XX.

Trudno nie zachwycać się kościołami Schneidera i Jackischa, tak bardzo są wrośnięte w śląski krajobraz. Porównując obie postacie, trudno jednak nie zauważyć, że Jackisch był różnorodniejszy. Nie ograniczał się do kościołów, kaplic, plebanii (choć i Schneider projektował kamienice mieszczańskie); na liście jego dokonań są kamienice, ratusz (w Mysłowicach), budynek sądu, szpitala, szkoła, wille (w Bytomiu), budynek składu win, czy rzeźni (w Tarnowskich Górach).

Jackisch zasadniczo był wierny jednemu stylowi – neogotykowi (poza neorenesansowym bytomskim ratuszem) i w przeciwieństwie do swego młodszego kolegi, raczej nie eksperymentował, nie „próbował zakosztować” innej stylistyki, klimatów. Jest obecny w śląskiej przestrzeni – w Mysłowicach, Cieszynie, Siemianowicach, a na-

## Śladami Jackischa

KSIAŻKI

wet Lubomi, najbardziej – poza bliskim mu Bytomiem – w Chorzowie, gdzie zaprojektował również synagogę. W Katowicach zauważyłem podobieństwo między kościołem ewangelickim, a kościołem tegoż wyznania w Chorzowie. Czy można więc mówić – jak w przypadku Schneidera – że dzieła Jackischa emanują jakimś jednorodnym duchem, charakterem, klimatem? Że da się rozpoznać ich twórcę już na pierwszy rzut oka, nawet laikowi?

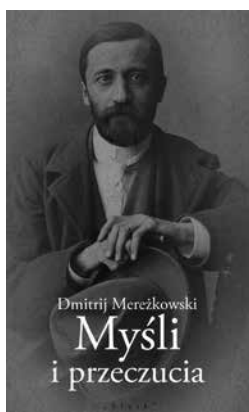


GRZEGORZ SZTOLER

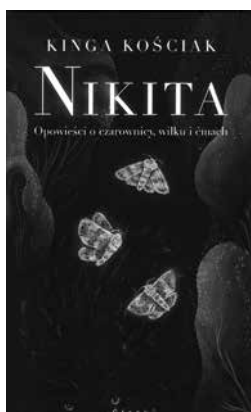
Tę ocenę pozostawiam czytelnikom książki. Dzieło Bernarda Kopca jest w rzeczy samej pionierskie. Skromny album to ciekawa podróż śladami śląskiego architekta.

**Bernard Kopiec, Paul Jackisch. Śląski architekt neogotyku, nakładem autora, Imielin 2022, s. 85.**

## KSIAŻKI NADESŁANE I NOWOŚCI WYDAWNICZE



Dmitrij Mereżkowski, *Myśli i przeczucia*. Wybór i przekład: Marian Kisiel. Wydawca: "Śląsk" Sp. z o. o. Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2022.



Kinga Kościak, *Nikita. Opowieść o czarownicy, wilku i ćmach*. Wydawca: "Śląsk" Sp. z o. o. Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2022.



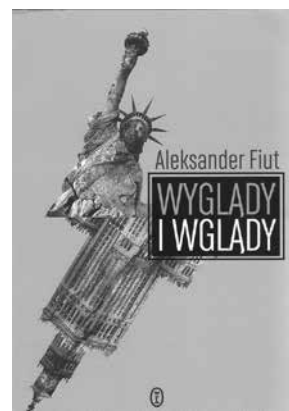
Marek Blaut, *Depozyt. Historia niezwykłego znaleziska dokonanego w carskiej Rosji*. Wydawca: "Śląsk" Sp. z o. o. Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2022.



Kazimierz Orłós, *Trzecie kłamstwo*. Powieść. Wydawca: Wydawnictwo Literackie Sp. z o. o., Kraków 2022.



Aleksandra Starczewska-Wojnar, *Leśne Zaczysze & Leśna Szkoła. Historia ośrodka wypoczynkowego w Głucholazach*. Wydawca: Fundacja „Dla dziedzictwa”, Fundacja Benevolens, Krapkowice 2022.



Aleksander Fiut, *Wyglądy i wglądy*. Wydawca: Wydawnictwo Literackie Sp. z o. o., Kraków 2022.

Zakrztusiła się, a chlorowana woda wpadła jej do ust i nosa. Sięgnęła na osłep, ale nie znalazła oparcia. Machając rękoma i nogami, jak w parodii ekstatycznego tańca, w końcu trafiła dłonią na sznur plastikowych boi prowadzonych między torami pływackimi. Przytrzymała się ich kurczowo. Nie mogła przestać kaszleć, zatoki boleśnie szczypały, jakby chlor wypalał jej mózg. Na sąsiednim torze dwie płynące obok siebie nastolatki przerwały rozmowę i spojrzały na nią z niepokojem. Machnęła im nie dbale ręką. Stopniowo wyrównywała oddech, a gdy uspokoiła się, spojrzała na zawieszony na ścianie zegar. No tak. Znowu pływała za długo. Straciła poczucie czasu i wpadła w ten błogi stan, w którym liczył się tylko równy oddech i rytmiczne uderzenia rąk i nóg. W wyobraźni ujrzała swojego fizjoterapeutę Leszka w absurdalnej scenie rodem z kreskówki: jak stoi na skraju basenu w białym fartuchu i spogląda na nią zdną zsuniętych na czubek nosa okularów, wygrażając jej palcem. Leszek wciąż powtarzał, że powinna uważać i się nie forsować, a ona po raz kolejny okazała się nieposłuszną pacjentką.

Podpłynęła do drabinek i wyszła na brzeg basenu. Do wnętrza wpadały promienie słońca filtrowane przez zaporowane szyby. Stąpając ostrożnie po śliskich płytkach czuła jak jej ciało sztywnieje i wraca dyskomfort stawu kolanowego. Jedynie w wodzie, w tym bezpiecznym, amortyzującym ruchu otoczeniu, nabierała lekkości i gracji. Po kilku latach od wypadku udało jej się do perfekcji opanować sztukę poruszania się tak, że jej kuśtykanie nie rzucało się w oczy. W skupieniu podeszła do drewnianej ławki, z której ściągnęła ręcznik i otuliła się nim.

Nagle z szatni wybiegła grupa dzieciaków, których krzyki i śmiechy wypełniły przestrzeń. Weronika zgarbiła się, niczym w próbie uniknięcia spadających kamieni, i ruszyła w stronę szatni. Jeden z chłopców wpadł na nią z rozpedu. Zachwiała się na mokrej podłodze.

– Przepraszam – rzucił przez ramię, prawdopodobnie nawet nie zapamiętując jej twarzy. Dobrze wytresowany, pewnie przez mamusię. Ciekawe czy szczeka „kocham cię” na zawołanie.

W szatni wyciągnęła z szafki kosmetyczkę i ubrania. Zerknęła na telefon – dostała wiadomość od rodziców: „Skype dzisiaj o 20. Do usłyszenia”. Dzwonili do siebie niemal codziennie, ale regularny Skype był rytuałem, którego pilnowali. Rodzice zawsze wybierali termin rozmowy, nie próbując choćby dla pozorów potwierdzić z Weroniką, czy na pewno jej pasuje. Ona sama nigdy nie zasugerowała zmiany dnia, czy godziny, nawet jeśli wołałaby spędzić ten czas inaczej. W końcu rodzice mieli tylko ją. Odpisała „w porządku”, żeby zachować złudzenie, że jej zdanie też się liczyło.

Musiąca zaczekać, aż zwolni się jeden z dwóch zamkniętych pryszniców. We wspólnym kilka kobiet myło się obok siebie. Mydliny spływały z ich ciał tworząc na posadzce spienione kałuże. Weronice na myśl, że mogłaby przez przypadek dotknąć ich gołą stopą robiło się nie-dobrze. Część kobiet było nagich, inne zostały w strojach kąpielowych. Starła się im nie przyglądać. Jak te kobiety dawały radę bez skrępowania przebywać tak blisko siebie, pozbawione zbroi z ubrań i dystansu?

Zamknięta w pojedynczej kabinie rozebrała się i starannie wyszorowała pod prysznicem. Zanim sięgnęła po ubrania przyjrzała się sobie. Najpierw, jak zwykle, oceniła stan

prawego kolana, jakby regularna inspekcja mogła przywrócić mu sprawność. Blizny po szwach przypominały odciski włochatych stonóg zostawionych w kamieniu setki tysięcy lat temu. Jej staw kolanowy stał się niemal tak samo bezużyteczny jak prehistoryczne skamieliny. Nie potrafiła się z tym pogodzić. Tamtego dnia, wraz z kośćmi zmiażdżonymi przez rozpędzony samochód, wszystko, na co pracowała, rozsypało się na kawałki. Tak, tak, miała szczęście, że przeżyła. Każdy jej to powtarzał. Tylko co z tego, skoro mogła pożegnać się z zawodami i medalami, z podium, a może kiedyś z wyjazdem na olimpiadę?

Dobrze, że nad resztą ciała była w stanie zapanować! Przejechała dłońmi po brzuchu i biodrach. Dotykała skóry i przyglądała się sobie z satysfakcją, ale pozbawioną próżności. Przypominała bardziej kogoś zadowolonego z wyprasowanych i posegregowanych kolorystycznie ubrań. Traktowała swoje ciało jak miernik nastrojów, kontrolowała je, nie dopuszczając, by kości miednicy, żebra i obojczyki schowały się pod tłuszczem. Gdy czuła się lepiej, pozwalała sobie na dodatkowy kilogram, albo dwa. W gorszych chwilach (jak teraz, bo Klara przebywała u n i e g o, na szczęście dziś ten koszmar miał się skończyć) jadła mniej i forsowała się na basenie i rowerze. Nie chciała widzieć na sobie niczego zbędnego – fałd, sterczących piersi, czy okrągłych pośladków. Tylko ścięgnięta, mięśnie i kości. Żadnej miękkości.

Ubrana, z wysuszonymi włosami i rzeczami spakowanymi do sakwy rowerowej, wyszła na betonowy plac, zalany promieniami październikowego słońca. Wystawiła twarz w jego stronę i przytknęła powieki wiedząc, że już niedługo będzie pozbawiona tej przyjemności przez parę miesięcy. Betonowe płyty, którymi wyłożono teren przed budynkiem basenu, odbijały jasne światło. Wokół wyrosły ponure, dwunastopiętrowe bloki z wielkiej płyty i kilka bezlistnych drzew, między którymi ustawiono drewniane, pokryte bazyliami ławki. Jak ludzie mogli mieszkać w tak obrzydliwym miejscu? Podeszła do stojaka, gdzie stał jej rower, przypięła sakwy do bagażnika, odczepiła kłódkę i wskoczyła na siodło. Chciała jak najszybciej uciec z tej betonowej pułapki.

\*\*\*

Po kilku kilometrach, gdy wyjechała za miasto, a asfaltowa droga zmieniła się w leśny dukt, Weronika zwolniła i uśmiechnęła się. Tutaj mogła czuć się wolna. Opadłe z drzew liście tworzyły złociste, lśniące od rosy dywany, a wśród ogołoconych gałęzi przelatywały ptaki i przebiegały wiewiórki. Oddychała głęboko wilgotnym, przesyconym wonią mchu i grzybów powietrzem, próbując oczyścić się z zapachu basenu, który wciąż pozostawał w nozdrzach niczym przykre, powracające wspomnienie.

Dojechała na skraj lasu, gdzie powoli wyrastało niewielkie osiedle domów jednorodzinnych. Stała przed obrosłym bluszczem ogrodzeniem oddzielającym jej drewnianą chatę od reszty otoczenia. Otworzyła furtkę. Niewielka, porośnięta głównie trawą i jabłoniemi działka, otaczała niegdysiejszą leśniczówkę, którą Weronika kupiła kilka lat temu. Powinna może myśleć o tym fakcie w liczbie mnogiej: którą kupili i wyremontowali. Miała stać się ich prywatnym rajem, enklawą, ale sielanka nie trwała długo.



fol. Tomasz Bierek

Kochała ten dom, a zarazem nienawidziła, i to z tych samych powodów. Wypełniało go echo dawnego życia, gdy Weronice wydawało się, że mogła zbudować coś dobrego. Próbowwała uciec od wspomnień, a zarazem kurczowo się ich trzymała, bo stanowiły dowód, że potrafiła być szczęśliwa, więc może to uczucie jeszcze mogło się odrodzić? Obiecywała sobie, że następnym razem tego nie popsuje, nie zacznie sabotować samej siebie. Udawała, że w to wierzy.

Gdy zdecydowali się kupić ten dom, Weronikę przepęniała euforia. Jeszcze dwa lata wcześniej nie spodziewała się, że kiedykolwiek spotka ją coś pozytywnego. Po wypadku popadła w dziwny stan zawieszenia, opuściła ją wola walki. Poddawała się operacjom i bolesnej rehabilitacji, ale nie wierzyła, że cokolwiek przywróci ją do życia. Zamieszkała z rodzicami w obawie, że po osiągnięciu względnej sprawności nie znajdzie pracy, a renta i odszkodowanie nie wystarczą jej na własne mieszkanie. Poza tym nie była w stanie prowadzić samochodu, więc to rodzice musieli zawozić ją na badania i rehabilitację.

Jej dom rodzinny został urządzony z gustem, w stylu – jak zwykła mówić matka, smakując to słowo, niczym crème brûlée we francuskiej restauracji – eklektycznym. Wśród mebli królowały antyki i współczesny design, na ścianach wisiły czarno-białe fotografie, plakaty Polskiej Szkoły, a na honorowym miejscu w salonie największa duma rodziców – olej Sasnała. W ich domu nie jadło się chipsów na kanapie do serialu, ani nie nosiło się spodni dresowych dla wygodności. Weronika nigdy nie poznała dziadków, ciotek i wujków od strony matki. Rodzice mówili o nich „ta część rodziny”, co w ich ustach nabierało ciężaru obelgi, i nie przyznawali się do wiejskich korzeni matki. Ojciec, jedyny syn pary nauczycieli, czuł się w obowiązku odwiedzać ich raz w miesiącu, na niedzielnym obiedzie. Po każdej takiej wizycie, już w samochodzie, Weronika wysłuchiwała uwag matki i ojca na temat panującego u dziadków „festiwalu kiczu” i „braku kulinarnej wyobraźni”. Weronika lubiła widywać się z dziadkami, chętnie z nimi rozmawiała i cza-

sem zjawiała się u nich sama, w tajemnicy przed rodzicami.

Jej powrót do domu rodzice przyjęli z zadowoleniem. Nie wypominali – co dziwiło Weronikę najbardziej – że od zawsze próbowali ją odwieść od kariery sportowej, która mogła ją zabić, bo przecież wypadek miała podczas treningu do zawodów. Zamiast tego rozpieszczali ją i nazywali „córeczką”. Przy każdej okazji powtarzali, jak świetnie zdała maturę i że kontuzja nie oznaczała końca świata. Chcieli, żeby poszła w ich ślady – jako dentystka lub notariuszka mogłaby pracować z nimi, a w końcu pójść na swoje. Na studia na pewno by się dostała, a gdyby tylko wyraziła taką chęć, rodzice postaraliby się o korepetycje i kursy, żeby przypomniawszy sobie materiał z liceum.

Nie chciała sprawić im przykrości, więc nie próbowała tłumaczyć, że jej to nie interesowało, a jedyne, czego pragnęła, to znowu doświadczyć palącego bólu mięśni i płuc, pokonać kolejny swój rekord, a na szyi poczuć ciężar medalu. W pewnym momencie uznała, że może im ulegnie i spróbuje pójść jedną z wytyczonych przez rodziców dróg, w końcu tak wiele im zawdzięczała i pragnęła, żeby byli z niej zadowoleni. Zanim się na to zdecydowała, stało się coś, co pomogło jej odnaleźć dla siebie inny scenariusz.

W tamtym czasie czytała wszystko, co wpadło jej w ręce, byle oderwać się od rzeczywistości. Uciekała w inne światy, utożsamiała się z bohaterami i bohaterkami opowieści, a gdy kończyła jedną książkę od razu zaczynała następną. Sięgała po książki w różnych językach, żeby odświeżyć sobie znajomość angielskiego i francuskiego. Traktowała to też jako ćwiczenia umysłu, przydatne na wypadek, gdyby miała podjąć studia. Pewnego dnia, czekając na wizytę u lekarza na oddziale ortopedycznym, poznała Pawła, pielęgniarskiego, który tam pracował. Zauważył, że czyta „Oddział chorych na raka” i przysiadł się do niej.

– Ciężka lektura. Nie wolałabyś czegoś bardziej kojącego?

Zdziwiła się, że odezwał się bez formy grzecznościowej, ale znali się z widzenia, więc nie zwróciła mu na to uwagi.

– Jestem na etapie noblistów, nie zależy mi na tematyce. Uniósł brwi z zainteresowaniem.

– To – wskazała na unieruchomioną szynami nogę – porrzyżowało mi plany życiowe, więc chwilowo zajmuję się rehabilitacją i czytaniem. Zamiast wypożyczać i kupować książki chaotycznie, próbuję jakoś je usystematyzować. – Przygryzła wargi, pomyślała, że zabrzmiała jak nudziara.

– Rozumiem. – Uśmiechnął się do niej. – Ja zazwyczaj czytam według autorów. Gdy jakaś książka mi się spodoba, muszę potem przeczytać inne tego samego pisarza lub pisarki. To chyba jakiś rodzaj natręctwa.

Rozluźniła się i odpowiedziała uśmiechem.

– Albo kwestia dobrej organizacji – zażartowała, a Paweł się roześmiał.

– Można tak to nazwać.

Rozmawiali jeszcze chwilę, a zanim weszła do gabinetu, Paweł wzięł od niej numer telefonu. Zadzwoił tego samego dnia i umówili się na spotkanie.

Ich znajomość rozwijała się naturalnie i bez pośpiechu. Weronika przy Pawle czuła, że nie musi niczego udawać. Tylko czasem zastanawiała się, co on właściwie w niej widział? Czy zainteresował się nią z litości? Jak mogła mu się podobać z tym strzaskanym kolanem i brakiem perspektyw?

A jednak wszystko wskazywało na to, że Paweł uważał ją za atrakcyjną i chciał spędzać z nią jak najwięcej czasu. Rodzice nie komentowali ich relacji, do Pawła odnosili się z uprzejmą rezerwą. To on namówił Weronikę na udział w konkursie na tłumaczenie opowiadań z francuskiego, który Weronika wygrała. Później łapała zlecenia na tłumaczenia, skończyła kilka kursów i po pewnym czasie nie mogła narzekać na brak pracy.

Normalność ich związku dziwiła Weronikę i cieszyła. Nie sądziła, że tak właśnie wyglądało życie we dwoje i że tyle radości sprawiały spędzone razem poranki, wycieczki rowerowe (po kilku miesiącach rehabilitacji w końcu mogła zacząć jeździć rowerem rekreacyjnie), czy obejrzyany w telewizji film dokumentalny. Coraz częstsze spotkania przerodziły się we wspólne zamieszkanie w kawalerce Pawła. Potem pojawiła się Klara i mieszkanie w bloku stało się dla nich za ciasne. Zaczęli rozglądać się za domem i gdy trafili na ten idealny, od razu postanowili go kupić.

Weronika, nie wiedząc jak rodzice zareagują na wiadomość o kupnie domu, pojechała powiedzieć im o tym bez Pawła. Po wstępnej wymianie uprzejmości i wysłuchaniu plotek o wspólnych znajomych, Weronika zebrała się w sobie:

– Mamo, tato, postanowiliśmy kupić z Pawłem dom. Mam zdjęcia w telefonie, chcecie zobaczyć? Wymaga gruntownego remontu, ale ma potencjał i jest w pięknym miejscu.

Rodzice milczeli, z ich twarzy nie była w stanie wyczytać emocji. W końcu wymienili spojrzenia.

– Słuchaj, córeczko – zaczął tata – nie chcieliśmy się wtrącać, bo Paweł pomógł ci się pozbierać po wypadku. Ale jesteś pewna, czy ten dom to dobry pomysł?

– Co to znaczy, że nie chcieliście się wtrącać?

Ojciec odwrócił wzrok, matka ciężko westchnęła.

– No wiesz, ten cały Paweł... Stać cię na kogoś lepszego.

– Nie rozumiem.

– Naprawdę nie rozumiesz? – zapytała mama. – Ty, taka zdolna i ambitna, z takiego domu! A Paweł? Co on właściwie ma tobie do zaferowania? Rodzice prowadzą warszawianki, on sam w budżetówce... – mówiła coraz szybciej, na ozdobionym złotym naszyjniku dekolcie wykwitły czerwone plamy. – Byliśmy pewni, że sama się w końcu opamiętasz. A teraz nagle wspólny kredyt? Nie wiesz, jak to się mówi? Że kredyt wiąże bardziej niż małżeństwo? Potem będzie ci się trudno z tego wyplątać!

– Ale ja go kocham... – powiedziała cicho, z trudem hamując łzy.

– Oczywiście, że go kochasz – powiedziała mama, a ton jej głosu złagodniał. – W końcu to dobry, poczciwy chłopak. Potrafi się tobą zaopiekować.

– Jednak stać cię na kogoś lepszego. – Ojciec położył dłoń na jej plecach.

– Nie zerwę z nim. Nie ma mowy. – Czuła, że jej słowom zabrakło przekonania. Spojrzała rodzicom w oczy i widziała, że jej nie uwierzyli.

Nie opowiedziała Pawłowi o tej rozmowie, ale słowa rodziców wciąż do niej wracały. Zupełnie, jakby zasiali w niej ziarno, z którego wyrosła trująca roślina, oplatająca wszystkie narządy i wypełniająca jej umysł. Gdy podpisali z Pawłem umowę kredytową w banku, spacerowali z Klarą, podczas ustaleń z ekipą remontową, a nawet w łóżku, gdy się kochali, Weronika słyszała: „stać cię na kogoś lepszego”. Stała się oziębła i złośliwa, szukała powodów do kłótni. W końcu, pewnego wieczoru, jakiś rok po rozmowie z rodzicami, to zdanie wypłynęło z niej, jakby bez udziału jej woli:

– Stać mnie na kogoś lepszego niż ty, Paweł.

Potem wydarzenia potoczyły się w błyskawicznym tempie. Rozstali się w złości, wśród roztrzaskanych talerzy i krzyków. Paweł zniknął i przez jakiś czas w ogóle się do niej nie odzywał. Jednak musieli omówić kwestię kredytu i opieki nad Klarą. Zmuszeni do rozmów, wymieniali słowa suche, jakby ich gardła pokryła warstwa pustynnego piasku. Unikali patrzenia na siebie. Po każdym spotkaniu, Weronika wsiadała na rower i jeździła tak długo, aż zmęczenie i ból całego ciała zastępowały rozgoryczenie i żal. Zdarzało się, że po powrocie do domu zasypiała z wyczerpania, albo miała krwotok z nosa. Czuła wtedy dziwną satysfakcję, jakby odbywała zasłużoną karę.

To wszystko należało do przeszłości. Teraz widywali się z Pawłem co dwa tygodnie, by wymienić się Klarą. Weronika nienawidziła tych rozstań. Podczas jej nieobecności, wypełniała sobie czas zajęciami. Planowała każdy dzień, by samotność nie pojawiła się u niej w domu nawet na sekundę. Mogłaby się wtedy rozgościć i objąć w posiadanie każdy zakamarek domu i Weronika już nigdy by się jej nie pozbyła.

\*\*\*

Usłyszała odgłos hamującego samochodu, a po chwili zadzwonił dzwonek przy furtce. Zerknęła na zegarek – to był on. Jak zawsze punktualny, żeby nie mogła mu niczego zarzucić. A może wiedział, jak źle działała na nią każda chwila przedłużającej się nieobecności Klary?

Wyszła na zewnątrz, zeszła po schodkach i zorientowała się, że miała na stopach tylko skarpetki. Paweł otworzył furtkę, a Klara wbiegła do ogrodu, który od razu wypełnił się jej radosnym szczekiem. Weronika kucnęła i przyjęła ją w otwarte ramiona, w które Klara wpadła z impetem, niemal przewracając Weronikę na ziemię. Poczula szorstki język na policzkach i rękach. Roześmiała się i wtuliła twarz w miękkie, rdzawe futro, unikając spojrzenia na Pawła. Czy on na nią patrzył? Czy powie coś do niej? Jak powinna zareagować? Klara pachniała tak jak on. Weronika też chciała by nim przesiąknąć, stać się nim, zamknąć się w szklanej buteleczce, żeby Paweł codziennie rozpylał ją na swoją skórę. Ale straciła swoją szansę, wszystko przepadło i gdyby nie Klara, nie wiedziałaby nawet, czy on nadal żyje.

Dopiero gdy usłyszała dźwięk zapalnego silnika i odgłos opon na zwirowanej alejce, podniosła wzrok napotyając spojrzenie kasztanowych oczu Klary.

– Dobrze, że wróciłaś. Nie lubię zostawać tutaj sama.

# LUCJAN KOWALEWSKI (1950–2022)

## Jasność i tajemnica

ALEKSANDER NAWARECKI

### Magiczna pułapka

Lucjan umarł 30 sierpnia, kiedy pisałem ten tekst, anonsowany w sierpniowym numerze „Śląska”. Zapowiedzią był obraz „Magiczna pułapka wiecznego zagubienia”, jego tytuł brzmi niepokojąco, zwłaszcza teraz, ale wiem, że ten mądry człowiek i niezależny artysta nie bał się niczego, nawet wieczności, więc zapewne wyszedł zwycięsko także z ostatniej próby. „Magiczną pułapką” – radosną i życiodajną – pozostaje jego sztuka, a ja próbuję przypomnieć sobie, jak przed ponad 30 laty uległem tej magii.

Działo się to jeszcze w minionym stuleciu, pułapka czyhała na witrynie krakowskiej galerii Tadeusza Nyczka, obok której przechodził mój przyjaciel, Aleksander Rybczyński. Na widok wystawionego obrazu stanął jak wryty i natychmiast go kupił wydając wszystkie oszczędności. Znał się na rzeczy, bo studiował historię sztuki, lecz tu zadecydował impuls, olśnienie. Obraz emanował wolnością, radością i energią, jakiej nie znaleźliśmy wtedy w szarej i smutnej Polsce. Alek był ciekaw, kto tak maluje, więc odszukał autora, by zdziwić się po raz drugi. Zobaczył figurę podobną do rozbójnika Rumcajsa (sylwetka zapaśnika, ciemna broda, krzaczaste brwi i bystre, figlarnie uśmiechnięte oczy), a potem usłyszał potężny głos o barwie barytonu. Chyba się trochę przestraszył, bo przy następnej wizycie nalegał, żebym mu towarzyszył, więc razem powędrowaliśmy do Lucjana, jak pielgrzymi, przez góry...

### Krościenko

Lucjan Kowalewski urodził się w Bielsku-Białej, wychowywał w Raciborzu, ale maturę zdał już w Krościenku i temu miejscu pozostał wierny. Na Górnym Śląsku został rodziną, w Krakowie licznych przyjaciół i ceniących go krytyków (choć nigdy nie studiował w Akademii!), ale wybrał Sądcecczyznę. Pewnie zaważyła bliskość domu dziadków z rodu Heskich, zasłużonego dla „królewskiego” miasteczka, ale niemniej ważna była bliskość Pienin i Dunajca. W lodowatej wodzie zwykle brodził o świcie ścigając pstrągi i lipienie, których lśnienie i ruchliwość mogły stać się natchnieniem artysty. Od rzeki miał niewiele kroków do domu i ogródka, gdzie gołębnik i kurник, a tam, obok swojskiego drobiu błyszczą egzotyczne ptaki, a pod dachem słychać szczekanie psów, miauczenie kotów i ludzki gwar. Głosy żony, dzieci, wnuków, krewnych, przyjaciół i sąsiadów wypełniają dom-zwierzyniec jak u Reja albo Mickiewicza. Obrazy

jednak potrzebują ciszy i światła, więc powstawały w pracowni na strychu skąd potem ruszały w świat – do Włoch i Hiszpanii, Meksyku i Japonii. Najczęściej jednak do Anglii, USA, Kanady i Australii, jakby Anglosasi rozumieli go najlepiej. Może pomogła brytyjska tradycja, a dokładniej lekcja Williama Turnera, romantycznego „malarza żywiołów”? Jego wyobrażenia zdaje się pokrewna artyście znad Dunajca.

### Żywioty

Abstrakcyjność sztuki Kowalewskiego jest uderzająca nawet dla laika, krytycy dodają jeszcze przymiotnik „liryczna” albo „ekspresyjna”, czasem wspominają o „informelu”, jednak zawsze z zastrzeżeniem, że to nietypowa abstrakcja, a nawet złudna. Bo choć jego obrazy niczego nie przedstawiają, nie imitują przeciw natury, to jej obecność zdaje się wręcz dotykalna. Czyżby wielobarwne plamy i splątane linie miały coś wspólnego z kłębamii chmur, wodnymi wirami, erupcją lawy, albo strukturą kamienia? To naiwna interpretacja, ale pociągnę ją dalej – czujemy bliskość sił przyrody, ale ich nie rozpoznajemy, bo artysta postrzega je w ruchu – falowaniu, pękaniu, spalaniu... Jakby podziwiał kosmiczny spektakl, walkę czy raczej miłosne zapasy, których bohaterami są żywioty: Ziemia, Woda, Powietrze, Ogień.

### Niebiańskie laserunki

Malarstwo Kowalewskiego nie wydawałoby się tak „żywiotowe”, gdyby nie siła kolorystyki. Jej intensywność, zdaniem Rybczyńskiego, wiąże się ze „Sztuką kładzenia laserunków”. Idzie o umiejętność nakładania kolejnych warstw przezroczystej, lekko zabarwionej farby rozświetlającej to, co wcześniej wyszło spod pędzla. Laserunki Kowalewskiego są coraz doskonalsze, ich blask coraz subtelniejszy, jakby artysta chciał malować samym światłem. Na fakturze pojawiają się niekiedy świetliste nitki, niby żyłki lśniącego kruszcu, a zdarza mu się nawet używać płatków złota albo inkrustować płótno połyskującymi kamykami. Po swojemu nawiązuje do tradycji gotyckich złotników i miniatorów, pewnie też do bizantyńskich mistrzów ikony, dla których obraz „był oknem do nieba”. Za każdym razem idzie o światło (łac. lux), które przecież wpisane jest w imię Lucjana.

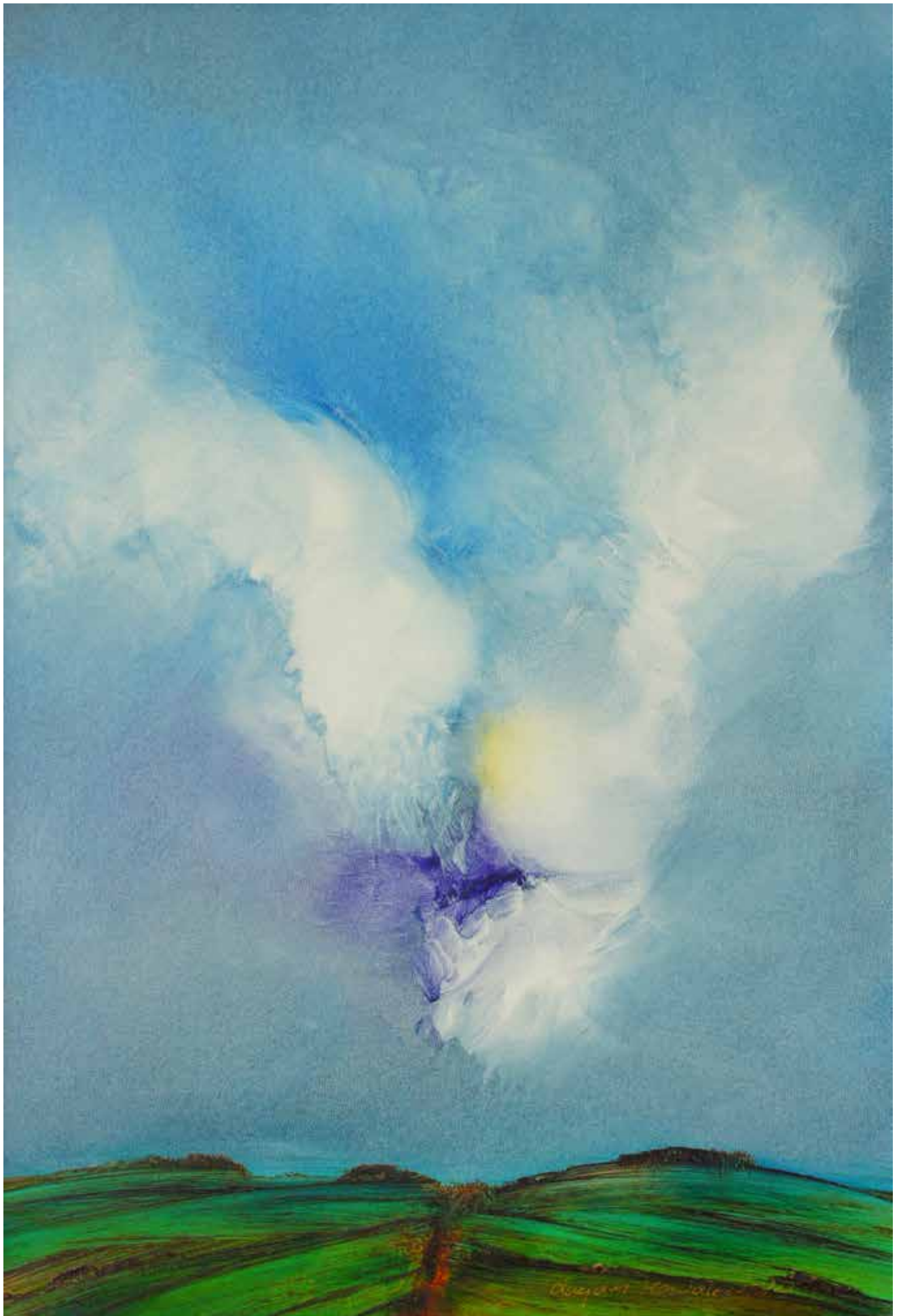
### Blask słowa

Ikony – przypomnijmy – nie są malowane, lecz „pisane”, więc ikonopis ma znamio-

na pisarza, jednak Kowalewski jest nim całkowicie i dosłownie, zwłaszcza wtedy, gdy swoim kompozycjom nadaje nazwy czy imiona. Tytuły brzmią jak poezja, co słychać w „Magicznej pułapce wiecznego zagubienia”, ale jeszcze lepiej, kiedy są lakoniczne, ledwie dwuwyrzowe: „Przebieg wewnętrzny”, „Nadzieja dziedziwna”, „Zmiłowanie jasne”. Najpierw „kładzie” abstrakty (terminy filozoficzne, teologiczne, moralne), a potem dodaje do nich zaskakujące epitety, już to dojmujące konkretne, już to zabawne. Pary słów chętnie dobiera na zasadzie sprzeczności: „Wielkość tego co małe”, „Ciemność zagasła”, „Wieczność ulotna”, „Niepodobieństwo zielone”, „Brzęg chaosu”, co nie powinno dziwić, bo uduchowiona sztuka chętnie ucieka się do paradoksów. Paradoksalna bywa też wiara, ufność w zwycięstwo światła nad mrokiem. Dlatego gwałtowność wizji łagodzą najdelikatniejsze słowa, tytuł staje się aktem szerlistym i miłym westchnieniem. Uwielbiam te Lucjanowe zaklęcia: „Przemijanie tkliwe”, „Udobruchanie”, a zwłaszcza „Potakiwanie złociste”, gdzie słychać afirmatywne fiat (tak, yes, da).

### Irys

Sztuka abstrakcyjna, lecz oto na jednej z ilustracji rozpoznajemy pejzaż! „Powrót wspomnień” stanowi wyjątek, kaprys czy koncept artysty wracającego do przeszłości i zarazem do młodzieńczego sposobu malowania. Ale w środku kompozycji, nad horyzontem unosi się osobliwy kształt nie pasujący do krajobrazu. W zamglonym zarysie można rozpoznać formę kwiatu, domyślam się, że to irys, bo Kowalewski przedstawiał kwitnienie tej rośliny dziesiątki, może setki razy. Najczęściej swojskie fioleto-we kosańce, ale malował też inne odmiany w niezliczonych kolorach. Jak w tęczy, która symbolizuje Iris, skrzydlatą boginię, Irydę w rydwanie niesionym przez pawie, zasilającą wodą chmury i suche grunty, łączącą niebo i ziemię. Irysy mogą też oznaczać zstępującego po stopniach Buddę, misję Maryi, mękę Chrystusa... Wracam do obrazów Kowalewskiego, które są intelektualnym skandalem, bo na jakiej zasadzie do abstrakcyjnej kompozycji można dodać kwitnącą bylinę? Skąd ta irysowa obsesja i zarazem znak rozpoznawczy autora? Nigdy nie zapytałem o to Lucjana, bo to tajemnica. I nie pytam Cię teraz przyjacielu, bo wszystko jasne. ■



Lucjan Kowalewski, „Powrót wspomnień”, 2009



Lucjan Kowalewski, „Cicha noc, Święta noc”, 2008







Lucjan Kowalewski, „Ziół miłosna woń”, 2015

# Aresztowanie księdza Korczoka

(fragment powieści „Sprawa księdza Korczoka”)

JACEK OKOŃ

Kłopot z policją polityczną miał zrazu charakter precedensowy, pojedynczy i epizodyczny. Tak to z punktu widzenia księdza Antoniego Korczoka, proboszcza z Sosnity, wyglądało. Ot, nadmiar gorliwości po obu stronach. W dzień świętej męczennicy Agnieszki 1937 roku stawić się musiał w siedzibie Gestapo w Gleiwitz, by złożyć stosowne wyjaśnienia na okoliczność kazania, które „głęboko zraniło uczucia wielu obywateli”. Chodziło o Ludendorffa, bohatera spod Liège (Lüttich) i szefa sztabu w armii Hindenburga. Tenże, po wojnie odsunięty od wpływów, usunięty też z NSDAP, wpadł w sieć chorych myśli, rojąc sobie różne dziwactwa. Tak to w każdym razie wyglądało w homiletycznym opisie księdza Korczoka, ale nie tylko jego.

Założył Ludendorff własny Kościół, właściwie sektę, pod nazwą Niemieckie Poznanie Boga, dowodząc, że każdy naród ma własną wizję Boga, a on właśnie odkrył wizję niemiecką. Był w tym zarówno panteizm jak i antropocentryzm, wymieszane i podlane niby religijnym sosem, jak to w sektach. Dziwactwo ludendorffianizmu było na tyle oczywiste dla trzeźwego umysłu, że zaraz po dojściu do władzy Hitler kazał toto rozwiązać. Jednak śmierć zasłużonego starego wiarusa i pioniera nazizmu wiele zmieniła. Organizacji pozwolono odrodzić się pod nazwą Ludendorffiańskie Poznanie Boga. Zaraz po śmierci Ludendorffa, gdy jeszcze o niej powszechnie rozprawiano, przypominając różne sensacje, jakie towarzyszyły jego życiu, na księdza proboszcza Korczoka przypadła kolej wygłoszenia niedzielnej homilii. Nie sądził, że takie słowa, dodane tylko jako przykład, mogą kogoś zaboлеć.

– Ludendorff, jako wódz polowy, był wielki, ale jako założyciel religii był człowiekiem małym. A teraz stał się prochem i popiołem, natomiast Chrystus będzie żył wiecznie!

Przed gestapowcem potwierdził, że tak właśnie powiedział, ale od razu zaznaczył, że w tej sprawie nie ma nic do dodania, i w protokole zostały tylko te jego słowa, w pełni odzwierciedlające jego przekonania. Gestapowiec chciał jeszcze wiedzieć, czy zrozumiął swój błąd i kto go namówił do wygłoszenia „tak nieludzkiej, zważywszy na czas załoby, opinii”. Feldmarszałka Ludendorffa oplakują bowiem nie tylko najbliżsi, ale cały Naród. Od gestapowca ciągnął ziąb, odczuwalny w całym ciele rozmówcy.

Jaki błąd ma na myśli ten człowiek? – zastanawiał się chwilę, nim zrozumiał, że to tylko taka figura retoryczna, żeby było miło, i że gestapowiec wcale nie czeka na odpowiedź. Został pouczony o konieczności uwzględniania w kazaniach racji odmiennych, powszechnie wyznawanych przez Naród.

– Będziemy się przyglądać działalności księdza, może być ksiądz tego pewien. Zwłaszcza, że z dawniejszych czasów pamiętamy to i owo. Aha, i radziłbym ze swej strony ograniczyć kontakty z księdzem Koziolkiem. Pożytku z tego żadnego, i kłopotów będzie mniej. No i Ulitzka z tym swoim śląskim separatyzmem. Po co się tak z tą znajomością afiszować? – Na koniec uśmiechnął się pojednawczo: – Mam nadzieję, że widzimy się tu po raz ostatni. Przynajmniej w takim charakterze.

Kolejne dwa lata przeszły bez konsekwencji. Zdawały się wszakże dowodzić prawdy, że „wiele nieszczęść spada na

sprawiedliwego, lecz ze wszystkich Pan go wybawia”. Ciosy spadały jeden za drugim, raz słabsze, raz silniejsze i celniejsze. Kościół i jego słudzy przybierali postawę defensywną, czując się raczej obelżonymi w swych twierdzeniach niż współobywatelami państwa. Co raz to któryś nie wytrzymał nerwowo i szczerze mówił co o tym myśli, a myślał to, co i inni księża myśleli. Przegrywało się w sprawach drobnych, błahych; rosły obawy, że przegra się w końcu także w sprawach naprawdę ważnych, które z pewnością nadejdą. Któryś z parafian powiedział, że rozumie teraz dłaczego święty Piotr wyjął miecz i odciął ucho słudze arcykapłana. „Z nimi nie można inaczej! Tylko tak!”. Przynajmniej słowami trzeba było potencjalnym Malchusom przywracać odcięte uszy nim zostały odcięte, a zdesperowanych wzywać do opamiętania, nim wieść o ich gniewie dojdzie do Gestapo. Znaki czasu wróżyły jak najgorzej. Pociaszano się wszakże, że to tylko nowa forma Kulturkampfu i że w końcu przyjąć przecież musi podobne opamiętanie. Trzeba to przeczekać.

\*\*\*

Gorące modlitwy, zawsze kiedyś wysłuchiwane prawie natychmiast, teraz wydawały się być bez odpowiedzi. Znaczyło to, że dobroczynne skutki objawią się w dalszej przyszłości i być może nie będą już tak cieszyły, jakby dziś jeszcze mogły. Trzeba wszakże prosić i ufać. Oto wybrał się z mężczyznami na pielgrzymkę na Górę św. Anny. Czerwiec był upalny. O sanktuarium wiele się mówiło. W zeszłym roku otwarto tam w dawnych kamieniołomach wielki amfiteatr i mauzoleum ku czci pięćdziesięciu bojowników Selbstschutzu, poległych w walce z polskimi powstańcami.

Wielki tam teraz ruch: Baldur von Schirach wybudował dla młodzieży harcówkę. Franciszkanie, których w XIX wieku wypędzono z klasztoru dwukrotnie, mówią, że i teraz nie znają dnia ani godziny. Dopiero co władze odebrały im Dom Pielgrzyma, przeznaczając go na świeckie cele; mają tam podobno umieścić przesiedleńców niemieckich ze wschodu. Ale apetyty na własność kościelną są, zdaje się, większe. Nieżyczliwość władz nie zdołała się już kryć pod uprzejmą zewnętrzną powłoką.

Tym razem nowe utrudnienia – w miejsce dawnej życzliwości i ułatwień. Władze kolejowe nie zgodziły się po raz pierwszy na zestawienie składu pociągu specjalnego dla pielgrzymów: „Istniejące połączenia są wystarczające, nie ma potrzeby wprowadzania dodatkowego chaosu na koleji”. Być może było to spowodowane wzrostem natężenia ruchu. W kierunku granicy zdążyły teraz często wojskowe eszelony, kierowane tam w związku z narastającym zagrożeniem ze



Ks. dr Antoni Korczok, proboszcz kościoła NMP Wspomożenia Wiernych w Gliwiczach-Sośnicy (w latach 1929–1941). Fotografia ze zbioru archiwalnego ks. infułata Pawła Pyrczaly

strony Polski. Ale czym wytłumaczyć, że zwykła w takich razach praktyka 50-procentowej niżki dla grup zorganizowanych nagle została zlikwidowana?

Wyczuwał to narastające zagrożenie. Nie żeby coś zagrażało jego wierze, przekonaniom czy życiu – w tych sprawach odczuwał pokój ducha i sumienia. I parafianie dobrze się trzymali, chyba że któryś nierozważnie zapisał się do NSDAP. A kto ich tam wie, tych kilku, czy nierozważnie czy w pełni świadomie. Wiedział, że szybko staną się wrogami Kościoła, otrzymując informacje z jednej tylko propagandowej tuby. Będą mówili: Kościół – tak, wynaturzenia – nie. Będą „tylko” przeciw kapłanom bogaczom, przeciw kapłanom pijakom i żarłokom, przeciw kapłanom niemoralnym. Ilu już takich pseudoświątych w życiu spotkał, którzy naprawiali Kościół, nie znając nawet dziesięciu przykazań, nie mówiąc już o ich przestrzeganiu! Jeśli dobro Kościoła tak im leżało na sercu, dlaczego wypisywali się z niego, jawnie grzesząc apostazją?

Jeśli chodzi o zagrożenia, to odczytywał je głównie z otaczającej atmosfery. Nie trzeba było mieć nadzwyczajnego zmysłu, by wyczuć, że świat przebiega ku katastrofie. Dwudziestego szóstego sierpnia 1939 roku, gdy poczuł, że atmosfera zagęściła się niemożliwie i że nie sposób już tego wyjaśnić spadkiem ciśnienia, ani złym samopoczuciem, sięgnął po czystą kartkę i pióro, po czym już bez wahania zapisał w nagłówku: „Testament proboszcza Antoniego Korczoka z Gleiwitz-Oehringen”. Była już noc. Na dworze cisza. Czuł nadciągającą burzę. Rok szkolny został przesunięty, bo w okolicznych szkołach już w połowie sierpnia rozlokowały się oddziały VIII dywizji piechoty. Najpierw uposażył swoją siostrę, Marię Witeczek, czyniąc ją uniwersalną spadkobierczynią. Pisał dalej w noc:

„Chcę, o ile to możliwe, być pochowany w Gleiwitz-Oehringen, nie w grobowcu, tylko w prostym grobie. Duchowny, który odprowadzi mnie do grobu, niech nie wygłasza żadnej mowy pogrzebowej, tylko przy grobie niech wypowie kilka słów wdzięczności, najwyżej trzy minuty. Bardzo o to proszę.

P.S. Życzę sobie prostą trumnę, żadnej polerowanej ani dębowej, lecz zwykłą trumnę robotnika”.\*

Pomyślał bowiem, że okazała trumna niezbyt by pasowała do jego sfatygowanych butów, których na co dzień używał, jak tamte poprzednie – „aż do całkowitego znoszenia”. Jakoś nie przyszło mu do głowy, że do trumny ubiorą go w nowe, eleganckie buty, specjalnie na tę okazję zakupione. Żeby nie było ludzkiego gadania...

Pięć dni później o ciemnej godzinie radio berlińskie podało:

– Dzisiaj, w godzinach wieczornych, bojówki polskie złożone z tak zwanych byłych powstańców śląskich w wielu punktach przekroczyły granicę naszej Ojczyzny, próbując utworzyć drogę nacierającej armii polskiej. W Gleiwitz polscy dywersanci zajęli budynek radiostacji i nadali wezwanie do żywiołów propolskich, by wsparły wojsko polskie. Napastnicy zostali wyparci, pozostawiając na miejscu kilku zabitych. Wschodnia granica naszej Ojczyzny została naruszona.

– Armia polska otworzyła ogień na naszym terytorium. Jest wielu zabitych i rannych. Władze wojskowe zapewniają, że nie pozostaną biernie wobec prowokacji!

– Nasze wojsko bohatercko odpiera agresję i jest gotowe do kontrnatarcia. Oczekiwane jest ważne oświadczenie Führera. Heil Hitler!

To było w zeszłym roku. Życie potoczyło się dalej swoim zwykłym kościelnym trybem. Parafialna kancelaria otwarta była w tych samych dniach i godzinach co wcześniej. Ludzie żenili się i umierali. Zgłaszano dzieci do chrztu, proszono o odwiedzenie chorych. Rok liturgiczny zakreślał swój kolejny okrąg, wywołując doroczne wydarzenia.

Wierni nie pozostawali bez pociechy duchowej, a wiara, nadzieja i miłość musiały przecież wydać kiedyś w końcu owoce. Wyjątkiem pozostali jednak robotnicy przymusowi z Generalnego Gubernatorstwa, których w dużej liczbie

srowadzono do Gleiwitz i miast sąsiednich dla uzupełnienia braków kadrowych spowodowanych mobilizacją. Nosiłi duże litery P na roboczych kitlach. Na ulicach nie spotykało się ich zbyt często. Mieli zakaz wstępu do restauracji, kin i teatrów, o czym informowały dwujęzyczne afisze na słupach ogłoszeniowych. Całkiem wyraźnie i jednoznacznie zostali objęci zakazem uczęszczania do kościoła. Odwiedziny kapłańskie w obozie, gdzie zostali skoszarowani, miały charakter nieoficjalny, tylko dlatego przez administrację obozu dopuszczony, że w zarządzeniu niczego nie zakazano księżom.

Przez tę lukę prawną jak przez dziurę w płocie udawało się od czasu do czasu wejść do środka z ministrantem. Baraki, zwane tam „pawilonami”, stały na terenie ośrodka, gdzie w czasach pokojowych odbywały się ćwiczenia i musztra młodzieży hitlerowskiej. Miał tu więcej roboty niż w czasie poprzedniej wojny wśród jeńców rosyjskich. Prawie wszyscy robotnicy byli katolikami. Cieszyli się, że mogą wypowiadać się po polsku. „To jeden z naszych” – tak go nieoficjalnie przedstawił jeden drugiemu, a to rozniosło się dalej. Czuł się wśród nich rzeczywiście jak wśród swoich, ale dla niego oznaczało to, że jak wśród swoich parafian z Sosnitzy. Dziwił się zarazem ich optymizmowi. Niemal wszyscy byli dobrej myśli: oto już wkrótce Francja i Anglia rozprawią się z Niemcami należycie – „sędziami wówczas będziem my”.

Tylko partyjni w większej niż wcześniej liczbie przychodzili do kancelarii, przynosząc oficjalne odpisy zaświadczeń z Urzędu Stanu Cywilnego o ważnie dokonanym wystąpieniu z Kościoła Rzymskokatolickiego. Niezależnie od tych osobistych stawiennictw w kancelarii, właściwą drogą powiadomienia o apostazji było zawiadomienie o tym fakcie nadesłane pocztą przez Urząd Stanu Cywilnego w Gleiwitz. Fakt taki, jako mający charakter urzędowy i prawomocny, a zarazem wywołujący skutki kanoniczne, musiał być w księgach parafialnych odnotowany. Data wystąpienia z Kościoła stawała się dla apostaty dniem uwolnienia się od podatku kościelnego. Gdy odstępca był na tyle odważny, by przyjść jednak osobiście, wówczas zgodnie z zaleceniem i sumieniem ksiądz Korczok uświadamiał mu prawdziwe, tragiczne znaczenie tego aktu, próbując zawrócić go znad przepaści. Nie udało się to w ani jednym przypadku. Partia była teraz silna jak nigdy wcześniej.

W marcu 1940 roku zgłosił się z tym do kancelarii towarzysz partyjny Johann Kleinert, urzędnik w dyrekcji kopalni „Consolidierte Oehringen”, wulgarny pijak, w przeszłości nie przebiegający wobec kapłanów w słowach. Przedłożył stosowny odpis z Urzędu. Ostrzeżeń słuchać nie chciał. Przyszedł po co innego, proszę że wykonać! Jego życzeniu stało się zadość. Ksiądz Korczok szybko o nim zapomniał, choć w tamtej chwili serce bolało.

W tym czasie walki wojenne rozgorzały na nowo, tym razem w Norwegii, a zaraz potem na Zachodzie.

Zwycięstwa były imponujące!

\*\*\*

Sukcesy na froncie okupione są zawsze krwią. Do końca kampanii francuskiej parafia w Sosnitzy straciła czterestu młodych parafian. Ale 28 maja 1940 roku, kiedy poległ Waldemar Kleinert, syn Johanna, jeszcze tylu nie liczono. Tego dnia Wehrmacht rozdzielił resztki armii belgijskiej od sił anglo-francuskich, które zaczęły cofać się ku Dunkierce. Belgia skapitulowała.

Ksiądz Korczok wycinał właśnie zawiązki owoców, na których dostrzegł chorobowe plamki, gdy usłyszał głos sekretarza parafialnego, wzywający go do interesanta. Stojąc u szczytu drabiny, odwrócił się, żeby sprawdzić, czy aby nie przesłał się, ale nie. Pani Hildegarda stała na progu i przywołującym gestem ręki podkreśliła znaczenie wypowiedzianych słów. Trudno, trzeba zejść. Lubił pracę w ogrodzie, zwłaszcza w sadzie. Czyż nie był synem ogrodnika? Gołąbki po-

gruchiwały nad głową ze swego gołębnika, majowe słońce łagodnie oblewało korony jabłonek, trawa była świeża, zieleni delikatna i młoda. Mieli mu też dziś przywieźć korę do obłożenia nasady pni, nie powiedzieli o której.

– Proszę powiedzieć, że za dziesięć minut będę!

Tylko umyje ręce i wdzieje sutannę. Butów nie będzie zmienił, bo nie ubrudził. Co innego, gdyby pracował w ogrodzie przy grządkach, wtedy miałyby przywdziane gumki, które do sutanny nie pasują.

Po upływie dziesięciu minut wszedł do kancelarii. Interesantów było dwoje, najwyraźniej małżeństwo, młode. Podnieśli się z krzeseł na jego widok. Nie przypominał ich sobie nawet z widzenia, pewnie uczęszczali na msze w kratkę, może chowali się za filarem, może nie byli stąd. On przybity, przygarbiony, z grymasem i kolorem cierpienia na twarzy. Ktoś umarł. Ona elegancka i ufryzowana, zmartwiona jakimś wydarzeniem, które za chwilę pewnie ujawnią, a może tylko cierpieniem męża, na które nie miała lekarstwa i tylko okazywała solidarność, nie cierpiąc fizycznie tego samego. Ursula Kleinert, Paul Kleinert – przedstawili się. On jest żołnierzem, feldfeblem w sztabie dywizyjnym, teraz na przepustce okolicznościowej. Księdzu Korczokowi przypomniało się, że już słyszał to nazwisko, ale nie kojarzył z żadną twarzą.

– Chciałem prosić o modlitwę, o jakieś nabożeństwo... Jestem bratem Waldemara Kleinerta. Mój brat zginął na froncie francuskim, dwudziestego ósmego, właśnie otrzymaliśmy zawiadomienie. – Podał kartkę, którą dzierżył w lewej dłoni. Zwykle w takich razach suche zawiadomienie okraszone owym pełnym chwały „für Führer, Volk Und Vaterland”.

– Rodzice są zrozpaczeni, nie mogli przyjść. Poza tym ojciec... – zaważał się, jakby nie wiedząc, jak to powiedzieć i czy w ogóle mówić.

– Co ojciec?

– Ojciec jest partyjnym, niewierzącym. Pracuje w dyrekcji kopalni. Niedawno wypisał się z Kościoła, pewnie ksiądz pamięta. Więc pomyślałem, że może będzie lepiej, jeśli to ja, to znaczy my... – wskazał głową na żonę, która milcząco przytaknęła.

A więc to był syn towarzysza Johanna Kleinerta. A drugi syn właśnie poległ na froncie.

– Mama jest wierząca, my też. Ojciec też nie jest zły, chyba że popije. W sprawie kościelnej to mu kazali. Partia.

– Czy brat pochodził z naszej parafii?

Upewniwszy się co do tego, obiecał sprawdzić w księdze chrztów i otrzymawszy zapewnienie, że brat był wierzący i płacił podatek kościelny („Tylko ojciec nie płacił”), zapewnił, że odprawi mszę za poległego. Stał na progu sekretariatu i zapytał sekretarkę o najbliższy wolny termin. Podała.

– Czy pasuje?

Pasowało. Dodał jeszcze, że sprawy między Kościołem a ojcem Johannem Kleinertem są obecnie rozwiązane i Kościół nie może mu w niczym pomóc. Nie może on uczestniczyć we wspólnych modłach czy korzystać z posługi sakramentalnej. Takie są konsekwencje apostazji z punktu widzenia prawa kanonicznego. Paul Kleinert skinął ze zrozumieniem głową.

– Dlatego to właśnie nas mama wysłała.

Kiedy odeszli, musiał najpierw dojść do siebie, ochłonać. Pierwszy raz przyszło mu postawić prawo kanoniczne ponad ludzkim cierpieniem. To znaczy stanowczo bronić tego prawa przed wyłudzeniami apokatów. Ci dwoje nie byli tu nic winni, ale milczenie z jego strony byłoby czymś złym. Grzech apostazji był jednym z najcięższych grzechów, nikt nie miał prawa litować się nad odstępcą, póki nie okaże skruchy i chęci powrotu. Naciski ze strony partii nie były usprawiedliwieniem dla grzechu, który jest indywidualną winą. Był to grzech śmiertelny. Johann Kleinert musi to zrozumieć, jeśli chce powrócić do Kościoła. Być może ta niewinna śmierć syna (bo cóż są ci młodzi chłopcy winni)

wstrząśnie nim, przywróci myśl o świecie nadprzyrodzonym, o Bogu. Ileż razy nawracano się nad grobem dziecka, rodziców, współmałżonków! Przykro mu było, że musiał to powiedzieć teraz temu młodemu feldfeblowi ze sztabu dywizyjnego, ale wolał uprzedzić o zakazach obejmujących obecnie jego ojca, niż potem dopuścić do obrazy Bożej, gdyby przyszło do możliwej scysji wewnątrz świątyni. Musiałby bowiem wyprosić Johanna Kleinerta jako nieuprawnionego do przebywania w Domu Bożym.

Wkrótce potem w „Oberschlesische Wanderer” ukazał się nekrolog podpisany przez żyjących członków rodziny Kleinertów, poświadczający śmierć Waldemara Kleinerta – za Führera, Naród i Ojczyznę.

Wówczas ksiądz Korczok, wiedziony szczerym współczuciem i próbując mimo wszystko otworzyć jakąś furtkę dla odstępcy (pewny był i teraz, że śmierć syna wstrząśnie tym sumieniem), sięgnął po pióro i napisał list kondolencyjny, kierując go tradycyjnie na mężczyznę w rodzinie.

„Wielce Szanowny i Drogi Panie Kleinert!

Dzisiejsze ogłoszenie w »Wanderer« potwierdziło smutną wieść, że pana kochany syn oddał swe życie za Führera, Naród i Ojczyznę. Przeto wyrażam Panu, drogi Panie Kleinert, i drogim członkom Pańskiej rodziny moje najserdeczniejsze, najgłębsze współczucie.

Jak Pan zapewne wie, Pańska rodzina zamówiła w naszej parafii mszę świętą za drogiego nam wszystkim zmarłego. Chcemy go polecić w modlitwie miłosierdziu Boga.

Niestety, Drogi Panie Kleinert, pozwolę sobie przypomnieć, że nie będzie Pan mógł wziąć osobiście udziału w kościelnej uroczystości pożegnania Pańskiego kochanego syna, jako że w dniu 20 marca 1940 roku oficjalnie zadeklarował Pan swoje uwolnienie się od Chrystusa, co powoduje znane Panu skutki kanoniczne.

Lecz błagam Pana, drogi Panie Kleinert, aby pozwolił Pan przynajmniej swoim drogim członkom rodziny skorzystać z pocieszenia, które ofiarowuje wiara, ta wiara, która nas poucza, że zmarli żyć będą, że zmartwychwstaną, że kiedyś znowu się z nimi zobaczymy.

Tak, owo pocieszenie, którego udziela wiara, jest zarazem jedynym prawdziwym pocieszeniem; bo wszelkie pociechy świata to właściwie frazesy, puste ludzkie słowa.

Jeśliby jednak Pan, drogi Panie Kleinert, poczuł szczerą pragnienie, by nad grobem swego ukochanego syna znowu w pełni i całkowicie doznać owego prawdziwego pocieszenia płynącego z wiary, wtedy w wielką radością jestem gotowy to Panu ułatwić.

Wyrażając moje najgłębsze współczucie w obliczu śmierci Pana ukochanego syna, pozostaję z najserdeczniejszymi pozdrowieniami.

Oddany Panu

Dr Anton Korczok, proboszcz”.

Krew Waldemara Kleinerta nie poszła na marne. Wojska niemieckie, jak gdyby mszcząc to młode niewinne jeszcze życie, zgaszone przez francuską lub belgijską kulę, miały już wkrótce dopełnić dzieła na Zachodzie. Po haniebnej ucieczce Anglików z kontynentu, Francja została sama. A przyszła teraz kolej i na nią. Tamto zwycięstwo spod Dunkierki zostało okrzykane zwycięstwem w „największej bitwie wszystkich czasów” i Hitler rozkazał, by przez trzy dni od piątego czerwca biły na wiwat wszystkie dzwony kościelne. Miał już bowiem władzę nad dzwonami. Gdyby chciał, kazałby je zdjąć i przetopić na coś pożytecznego. Rozdzwoniły się więc dzwony w Sosnitz. I te u św. Macieja w Matthia-sdorf i u św. Andrzeja i u św. Józefa w Hindenburgu zgodnym chórem obwieszczały, że zmuszono je do dania głosu w obcej, bo przecież nie Bożej sprawie. Ludzie przychodzili do kancelarii i pytali o przyczynę. Czy to na trwogę? Pali się gdzieś? Przykro byłoby powiedzieć wprost, że to na rozkaz Hitlera, więc mówił, że to „takie, niestety, zarządzenie państwowe; marudzą ostatnio i wydziwiają”.

Gdy odprowadzał mszę za poległego parafianina, Wehrmacht wkroczył tryumfalnie do Paryża, a na alzacko-lotaryńskim odcinku frontu jednym ciosem przełamana została linia Maginota. Droga w głąb Francji stała otworem.

Robotnicy przymusowi w Sosnitzynie niepokoił się rozwojem wypadków, lecz nie tracili ducha.

\*\*\*

Pisząc list do Johannesesa Kleinerta, miał nadzieję, że jego słowa przemówią do serca zbolełego ojca, pocieszą go po utracie syna, pokrzepią. Serdeczna rozmowa z bratem poległego pozostawiła w jego pamięci jak najlepsze wrażenie. Fakt zamówienia przez rodzinę Kleinertów mszy za zmarłego był oczywistym dowodem, że sprawy zbawienia nie są u nich na ostatnim miejscu, lecz traktuje się je z całą należną powagą. A jeśli były tam nawet jakieś wahania, wynikające pewnie z apostazji ojca, to otrzymany od wojennego losu cios w serce wystarczyłby, żeby powrócić w progi świątyni parafialnej. Co najwyraźniej stało się także w tym przypadku. Rodzinna tragedia nie mogła nie wpłynąć również na odstępcę. Iluż już takich powróciło! I to nawet wkrótce po apostazji! W każdym razie ksiądz Korczok wcześniej śmierci by się spodziewał niż jakichś trudności ze strony niespodziewanej. Gdyby go ktoś zapytał, co napisał w tym liście, odpowiedziałby szczerze, że był to pełen miłości, serdeczny list z kondolencjami, z którego w żadnym razie nie musi niczego skreślać. A słowa o niemożliwości wzięcia przez Kleinerta udziału we mszy żałobnej nie należą do jego Korczokowych osobistych uczuć czy inwencji, lecz stanowią rutynową formułę stosowaną w takich razach. Nie wolno mu było ich opuścić, choć wiedział, że czasem sprawiają przykrość, nawet gniew, i że odczytywane bywają jako gruby nietakt lub wręcz jako gruboskórność. „Nie będzie Pan mógł wziąć udziału w kościelnej uroczystości pożegnania Pańskiego kochanego syna, gdyż w dniu 20 marca 1940 roku oficjalnie zadeklarował Pan swoje uwolnienie od Chrystusa”. Nie mógł tego nie napisać. Nie należy stosować ludzkich miar do spraw najważniejszych, a już zwłaszcza miar, jakimi mierzą grzesznicy i odstępcy. Umożliwić powrót do Kościoła – tyle mógł jedynie Kleinertowi zaproponować, jako już teraz jego były proboszcz. Gdyby nawet list zaginął przed wysłaniem (a niby dlaczego by miał zaginąć?), drugi taki zostałby napisany bez trudu i zawierałby dokładnie to samo. Wiedział, że ani Ulitzka, ani Bennek, ani Koziółek – nie napisaliby inaczej.

Tymczasem piekło uaktywniło swe ziemskie przyczółki, uderzając z całą mocą...

Od mszy świętej odprowadzonej za poległego Waldemara Kleinerta upłynęło już kilka tygodni; inne codzienne obowiązki przytłumiły pamięć o tamtym wydarzeniu, bardzo typowym dla posługi kapłańskiej, gdy nagle wszystko odżyło w wymiarze wręcz gigantycznym, nieproporcjonalnym do rzeczywistego znaczenia sprawy.

Nie od razu dowiedział się o tym. Gazety, w których został tak jednostronnie opisany, nigdy by nie trafiły na plebanie. Nie czytał ich, podobnie jak żaden uczciwy Niemiec czy Polak. Rozchodzili się w wąskim ideowym kręgu ludzi oderwanych od zwykłego ludzkiego myślenia, zaślepionych bezbożną ideą. Czytać te gazety – prędzej czy później grzech pewny! Oczywiście bocznymi drogami doszłoby to do niego. Jakiś uśmiech złośliwy lub triumfujący, jakaś aluzja, wbita szpila, obelga zza węgła, napis kredą na murze. Wystarczające, by zrozumiał, że zagęściła się wokół niego atmosfera i dużo czasu będzie potrzeba, i dużo modlitw, by rozproszyć ciemności. Powód był zawsze mniej istotny, zawsze jakiś był. „Teraz raduję się w cierpieniach za was i dopełniam braki udreń Chrystusa w ciele moim...”. W końcu jakiś parafianin przyniósłby gazetę z artykułem, pytając „czy ksiądz proboszcz już czytał, czy wie?”. Przynajmniej niezrozumiałe zjawiska stałyby się zrozumiałe, a przez to też nie tak nie-

pokojące. Bo niby skąd miał wiedzieć, że piszą o nim w organie SS i ma już tam nawet nadane przezwisko „kościelny naganiacz”. Został tam zdemaskowany jako bezduszny służbista bez krzty współczucia dla rodziny bohatera, jako pijak i polski podżegacz! Nie trzeba chyba mówić, że był abstynentem, a Niemców i Polaków traktował „po równo”, bardziej dbając o ich dusze niż ciała, nie mówiąc o dalszych „bytach przypadłościowych” jak język czy narodowość. Jeśli ostatnio zabierał w tych sprawach głos, to z powodu niesprawiedliwych obostrzeń językowych skierowanych przeciw językowi polskiemu. Ale i tu trzymał się w praktyce duszpasterskiej polecenia kardynała Bertrama, by przeczekać zły czas, nie prowokując w tej materii obecnych władz.

Czwartego lipca 1940 roku, gdy zieleń traw i liści w sadzie tak pięknie migotała w słońcu, że chciało się tam siedzieć i siedzieć, ukazał się w ogólnokrajowym tygodniku „Das Schwarze Korps” artykuł opatrzony tytułem, ni mniej, ni więcej, tylko „Korczok, kościelny naganiacz”. Pismo ukazywało się w każdą środę i rozdawano je za darmo w miejscach pracy, a w kioskach wydawane było osobom uprawnionym. Miało podtytuł, który już teraz raczej jeżył włosy na głowie niż informował o opcji politycznej zespołu redakcyjnego: „Zeitung der Schutzstaffeln der NSDAP”. Ktoś mu to podrzucił do skrzynki na listy. Zaraz się zresztą wyjaśniło, że sam Johann Kleinert, bowiem pomiędzy szpalt tygodnika wypadł list podpisany przez tegoż.

W artykule powtórzono to, co tylko Kleinert mógł opowiedzieć redaktorom. Była to owa krzycząca jednostronna ocena, jakże niesprawiedliwa, przemieniona teraz jeszcze pod piórem piszącego w zbrodnię przeciw narodowi niemieckiemu, w wielką winę, w zło, w grzech. Jakby tego było mało, na koniec dokonano druzgocącej oceny jego osoby i działalności, ogłaszając, że nigdy nie był Niemcem: „Współobywatele proboszcza Korczoka dobrze pamiętają rolę jaką odegrał on podczas walk wyborczych plebiscytowych na Górnym Śląsku, gdy walczyliśmy przeciw Polakom. Jak wczoraj wzywał on do głosowania za Polską, tak teraz występuje już wprost przeciw Niemcom”.

Również „Der Stürmer”, antysemicka i antykościelna tuba NSDAP, pełen paszkwili i karykatur, przydał mu chwytliwe przezwisko „Łowca dusz”, zamieszczając artykuł „Korczok der Seelenfänger”. O tym też dowiedział się z opóźnieniem, utwierdzając się wszakże w przeświadczeniu, że jest źle.

Bynajmniej to nie rutynowe słowa o zakazie kanonicznym uczestniczenia w nabożeństwach po apostazji, ale właśnie szczerze, serdeczne i pełne miłości kondolencje rozsierdziły Johanna Kleinerta. Jeśli użytym słowom można nadać temperaturę ludzkich uczuć, to ojciec poległego Waldemara pienień się i szalał. Któż to ośmiela się mu współczuć! Jakże można współczuć komuś, kto jest ojcem bohatera, który oddał życie za Wodza, Naród i Ojczyznę! Czy można dostąpić większego zaszczytu niż ten, gdy kto życie syna oddaje za Ojczyznę swoją? Ni mniej, ni więcej, tylko uważał Johann Kleinert, że należą mu się od Korczoka gratulacje, a nie współczucie, które go obraża!

Śmieszne? Jak dla kogo...

Cóż tam pisał dalej w liście oburzony Kleinert?

„... a ten dołączony artykuł jest dla ciebie, przeklęty klecho, to jedynie słuszna odpowiedź na pismo kondolencyjne, którym chciałeś pamięć mojego syna splamić. Na szczęście przyjdzie wnet czas, że tobie, rozpity grubasie, łeb rozwałę i pałą wybiję ci z niego bezbożną polską prasę. Heil Hitler! Kleinert, Glückaufstrasse. Ojciec poległego niemieckiego bohatera”.

Zeby tylko na tych słowach kończyły się obelgi! Niestety, początek listu zawierał ich więcej, niemożliwych do powtórzenia.

No więc to właśnie się stało w Sosnitzynie. Nie wiadomo, czy pójść z tym listem na policję, czy tylko śmiać się.

Na świecie w tym samym czasie działy się rzeczy pewnie

nie mniej ważne i nie mniej niezrozumiałe. W dniu, w którym spod pras drukarskich wychodził „Das Schwarze Korps” z rzeźnym paszkwilem, losy wojny szykowały już kolejną sensację godną wielkich liter na pierwszych stronach gazet. Oto Anglicy, nie mogąc pogodzić się z faktem, że Francuzi wybrali w końcu pokój i odmówili przekazania swej potężnej floty pod banderę brytyjską, otoczyli port Mers el-Kebir koło Oranu i zatopili okręty Francuzów. Zginęło ponad tysiąc francuskich marynarzy. Kolejnej nocy, stosując prawo odwetu, samoloty francuskie zbombardowały Gibraltar, a rząd marszałka Petain’a zerwał stosunki dyplomatyczne z Anglią. Uważana dotychczas za wystarczająco silną koalicja antyniemiecka przestała istnieć. Samotna Anglia niewiele już będzie mogła wskórać. Wszystko to jeszcze nie do pomyslenia przed dwoma miesiącami, ale cóż: człowiek myśli, Pan Bóg kryśli.

W dniu, w którym Francuzi ostatecznie rozdzielili się z Anglikami, odwołując swego ambasadora z Londynu, ksiądz Korczok nadal tytułował Kleinerta „Wielce Szanownym Panem Kleinertem” i „Bardzo Czcigodnym Panem Kleinertem”, ale to, co umieścił pod tymi zwyczajowymi listowymi nagłówkami, przypominało już raczej aide-mémoire, notę dyplomatyczną. Należało w każdym razie jakoś odnieść się do otrzymanego listu.

Napisał więc:

„...Bardzo Czcigodny Panie Kleinert!

Ten, kto pisze takie listy, sam siebie osądza. Nie znam Pana osobiście, niemniej chciałbym zauważyć, co następuje:

Pański syn sierżant przyszedł do mnie i prosił mnie o odprawienie mszy świętej za swego świętej pamięci poległego brata. Pański syn był przy tym tak uprzejmy, że zarówno z nim jak i z towarzyszącą mu jego małżonką spędziłem dłuższy czas na miłej rozmowie.

Jeżeli jakaś rodzina prosi o odprawienie mszy świętej, to domniemywam, że myśli ona po chrześcijańsku. Wiedziałem wszakże, że jakiś Kleinert wystąpił 20 marca 1940 roku z Kościoła. Dlatego napisałem do Pana tamten uprzejmy i serdeczny list, w którym także dzisiaj nie skreśliłbym ani jednego zapisanego słowa. Jeżeli więc nawet umieścił Pan artykuł w »Das Schwarze Korps« i mnie, swego wieloletniego proboszcza, który nigdy nie wyrządził Panu krzywdy, nazywa słowem »der Anreißer«, jeżeli mój prywatny list, skierowany tylko do Pana, a w każdym razie przeznaczony tylko dla wąskiego kręgu Pańskiej rodziny, ujawnia Pan w ten sposób szerokiej publiczności, to właściwie niezbyt mnie to niepokoi. Ale otrzymanego dziś od Pana listu nigdy bym nie przypisał osobie tak wykształconej jak Pan, który przez długie lata doświadczał błogosławieństwa Kościoła, nigdy bym się po Panu nie spodziewał takiego tonu i nigdy w życiu nie przyszłoby mi na myśl, że taki list może być w ogóle opublikowany w prasie.

Zastrzegam sobie jednak prawo w odpowiednim czasie tę moją dzisiejszą odpowiedź przeczytać w obecności zaprzyjaźnionych, wysoko stojących w hierarchii partyjnej towarzyszy, żeby wiedzieli, że nie odpowiedziałem Panu w takim samym tonie, w jakim napisał Pan swój list.

W ten sposób uważam tę sprawę za załatwioną.

Dr Anton Korczok, proboszcz”.

Przeszedł lipiec i nic się w tej materii nie zmieniło. Myślał już, że sprawa ucichła. Nikt nie próbował przeszkodzić w dwóch pielgrzymkach do Piekar, dokąd za 40 fenigów można było dojechać tramwajem. Modlono się o pokój „na świecie”, ale znaków pokoju nie dało się odczytać wśród napływających informacji gazetowych.

Bitwa powietrzna nad Anglią gorzała w najlepsze, gdy pod plebanię w Sosnitz zajęchała czarna elegancka limuzyna. Wyszli z niej dwaj rośli mężczyźni, kierowca pozostał za kierownicą. Kiedy ksiądz Korczok, wezwany do kancelarii przez bladą jak płótno sekretarkę, zszedł na dół, rozpoznał w jednym z nich gestapowca z urzędu w Gleiwitz,



Tabliczka z nazwą ulicy Korczoka w Zabrze-Zaborzu. Podobne znajdują się na ul. Korczoka w Gliwicach-Sośnicy. Ks. Korczok patroluje dziś ulicom w miejscach swej posługi kapłańskiej. Fot. Piotr Okoń

który przesłuchiwał go w sprawie kazania o Ludendorffie.

– Ostrzegalem pana – przypomniał gestapowiec. – Naprawdę nie wiem, po jakiemu trzeba do was mówić, żebyście zrozumieli.

Dowiedział się na razie jedynie, że Naród wykrwawia się, a on szarga pamięć poległych bohaterów. Domyślił się, w jakiej sprawie przyszli, choć na razie nie chcieli niczego wyjaśniać.

– Dowie się pan na miejscu.

Nawet ucieszył się, że łatwo będzie wyjaśnić to nieporozumienie. Zwykła błędna interpretacja niewinnych słów!

Ale kiedy skuto go kajdankami i tak wyprowadzono na zewnątrz, kiedy zobaczył oniemiałe twarze przypadkowych przechodniów-parafian, z których ani jeden nie ośmielił się nawet zapytać, o co chodzi, dlaczego tak traktują proboszcza, nasza go myśl, że wykazanie swej niewinności może zostać bardzo utrudnione. Szedł posłusznie dziedzińcem kościelnym ku czekającej na ulicy czarnej limuzynie. Teraz już nie miała to być rozmowa ostrzegawcza, po której wróci do domu. Czyż nie usłyszał na wstępie: „Jest pan aresztowany”? Dobrze że zdążył przekazać pani Hildegardzie, że do jego powrotu ma się wszystkim zająć ksiądz Sewera.

– Co za Sewera i czym ma się zająć? – od razu chciał wiedzieć gestapowiec.

– Wikary. Ktoś przecież musi się zająć sprawami kościelnymi. Przecież porządek musi być.

Gestapowiec zastanawiał się przez krótką chwilę, czy nie ma w tej odpowiedzi ukrytej bezczelności czy jakiegoś protekcyjnego tonu, ale widocznie nie dopatrywał się, bo kiwnął głową ze zrozumieniem.

– To też prawda.

Sprawa, którą każdy uczciwy sędzia musiałby zakończyć wyrokiem uniewinniającym, w owej chwili bynajmniej już na taką nie wyglądała. Dla gestapowców jakaś ta jego bliżej jeszcze nie sprecyzowana wina najwyraźniej była aksjomatem. W samochodzie młodszy, ten nieznanemu gestapowiec zwrócił się do niego per ty, a na zwróconą uwagę, że mówi do księdza katolickiego, drgnął złowrogo i spojrzawszy pytająco na kolegę, który chyba kierował akcją zatrzymania. Ten pokręcił przecząco głową, co mogło znaczyć „nie, jeszcze nie teraz, później” i temat nie był kontynuowany. Funkcjonariusze mało zresztą między sobą rozmawiali, zdaje się, że rozumieli się bez słów. Takie kursy z zatrzymanymi to była ich praca, która miała jakieś tam swoje niuanse i punkty stałe. Ale z tej sytuacji wywnioskował, że trudno mu będzie obronić swą godność przed „tykaniem”, jeśli i ono należy do standardowych, profesjonalnych zachowań. Nie chodzi zresztą o niego samego, o Antoniego Korczoka. Póki sił, będzie jednak przypominał w razie czego, że mają do czynienia z osobą konsekrowaną, cokolwiek to dla nich znaczy. Coraz wyraźniej docierało do niego, że choć sprawa jest obiektywnie lekka, czyli o niskim ciężarze gatunkowym, z pewnością nie warta ponoszonych trudów i kosztów urzędniczych, to jego adwokat (właśnie, trzeba wynająć adwokata!) będzie miał jednak trudne zadanie. ■

\* Zacytowana tu korespondencja i dokumenty podane są z wykorzystaniem przekładów ks. Pawła Pyrchala z oryginału niemieckiego, zamieszczonych [w:] P. Pyrchala, Ks. dr Antoni Nikodem Korczok I VI 1891–5/6 II 1941, Zabrze 2012.

# Staropolskie skandale rodowe. Liber chamorum

JAN MALICKI

Siedząc wśród rękopisów i starodruków Biblioteki Narodowej, po zwycięskiej batalii z prof. Januszem Tazbirem o miejsce przy stoliku z widokiem na dachy Warszawy, zwróciłem uwagę na niepozorną postać starszego pana, który od kilku tygodni przychodzi tu w każdy wtorek i piątek. Na jego stoliku leżą stopy dawnych, opasłych ksiąg oprawnych w półskórek, ze złożonymi monogramami. Są to przeróżne herbarze – Paprockiego, Okolskiego, Potockiego, Niesieckiego; niezbyt często czytowane kroniki polskie, od Anonimowego Galla, Mistrza Wincentego zwanego Kadłubkiem, interpolowaną Kronikę wielkopolską, Długosza, Bielskiego, Kromera, aż po Lelewela; mapy Polski, Europy i Azji o zartartych nieraz konturach.

Kiedys zagadnąłem owego pana o cel jego pracy. Odpowiedź była dla mnie wielkim zaskoczeniem. Opowiedział mi wówczas o swoich wieloletnich fascynacjach przeszłością, ale nie tą znaną nam doskonale z podręczników szkolnych, ale o poszukiwaniach genealogii teraźniejszości, o próbach rekonstrukcji dziejów swojego rodu, który miał przybyć na tereny naszego kraju z legendarnym Lechem – bratem Czecha i Rusa – i jego liczną świtą, wraz z protoplastami tak sławnych rodów jak: Junosza, Nałęcz, Ostoja. Ale też – i jest to jego największe osiągnięcie i chluba – udało mu się w oparciu o żmudną analizę nazw topograficznych wykreślić szlak wędrówek przodków wraz z Sarmatami z Azji na ziemię między Odrą i Wisłą.

I byłaby to może ciekawa, czy może i niezwykła dykteryjka o niezwykłych ludzkich pasjach, gdyby nie jej cecha znamienne. Od wielu już bowiem lat istnienia i w rzeczy samej obowiązywania innego społecznego wzorca kulturowego niż szlachecki, a raczej drobnoszlacheckiego, istnieje ni-

gdy niezanikająca moda na kulturę wiejskiej karczmy w

stylu glamour, której swojską pozłotę stanowi nierzadko preferowany model zachowań nieakceptowalny gdzie indziej, w innej rzeczywistości historycznej i dorabia nie rodowodów naszym przodkom, ocenianych z perspektywy preferowanych współczesnych wartości politycznych. Daje to mieszaną wybuchową, na którą składają się relikty

zdegenerowanej nierzadko szlachetczyzny z rzeczywistością dziś dezintegrującą. Od razu dodam, że nie mam pretensji do tych rodzin, które w sposób szlachetny pielęgnują

dawne, drobne tradycje, nawarstwiające się z pokolenia na pokolenie, wzbogacające kulturę każdego domu, będące – nie waham się użyć wielkich słów – więzią spajającą wszystkich członków rodziny, bliższej i dalszej, wytwarzające zarówno niepowtarzalną atmosferę domu rodzinnego i najbliższego otoczenia, jak też i wartości etycznych, tak ważnych a niepodważalnych zawsze, w każdym pokoleniu, w każdym modelu kulturowym. Przeciwnie. Idealizuję, teoretyzuję i zaklinam rzeczywistość.

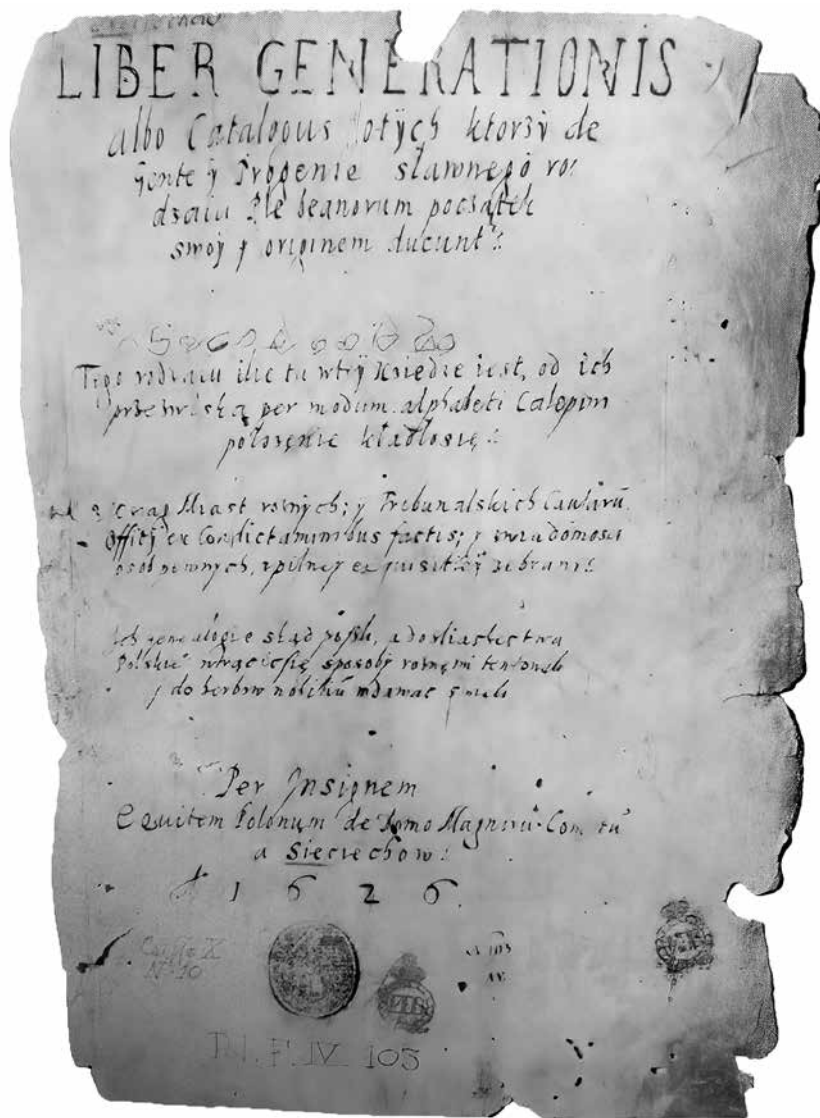
Codziennosc jest inna; grabieżcza, barbarzyńska, bezlitosna... Chociaż nie, z przeblyskiem klasycznego człowieczeństwa. Jak w wielkich wydarzeniach społeczno-charytatywnych i wśród dzieci na moim podwórku.

Daleki jestem też od potępiania w czambuł ciągotek genealogicznych. One też spełniają swoje rozumianą rolę integrującą. Chociaż, gdy usłyszę pytanie: „A z których to...?”, lekko się zżymam. A wtedy zawsze natrętnie przypominam sobie, nie wielkie herbarze, anonse biur heraldycznych, wszelakie lamusy historyczne, a skromną, wydaną w 1963 roku niezwykłą księgę „Liber generatio nis plebeorum”, bardziej znaną pod nieco innym tytułem: „Liber

chamorum” Waleriana Nekandy Trepki, którą pisał w latach 1624–1640. To – powtórzmy słowa jednego z badaczy – „coś w rodzaju puszki Pandory, a ten kto odważyłby się ów manuskrypt opublikować, ryzykował poważne ściągnięcie na siebie ostracyzmu towarzyskiego”.

Kim był zatem ów szlachecki sygnalista, zbierający i kolekcjonujący donosy, plotki, czy pomówienia współrodaków? Niewiele faktów z jego życia dotarło do naszych czasów. Wiemy, że urodził się przeszło 400 lat temu w rodzinie skoligaconej ponoć ze szlachtą sabaudzką przybyłą do Polski wraz z królową Boną. Ów szlachcic, zamieszkały w Krakowie, któremu ze swojego szlactwa pozostał jedynie kontusz i safianowe buty, niezbywalny symbol przynależności do stanu uprzywilejowanego, trudnił się wszystkim, tylko nie pracą na swoim folwarku. Ale za to przekroczył wszystkie możliwe zakazy ludzkie i boskie. Być może to jedynie dalekie echo krzywd z młodości, jakie miał mu uczynić Mikołaj Spytek Ligęza, starosta biecki, który Imć. Pana Waleriana pojmał, uwięził w swojej posiadłości i osadził w Bieczu – mieście, nomen omen, katów oraz wielu wybitnych osobistości tamtych czasów, by przypomnieć jedynie bpa Marcina Kromera, historyka o formacie europejskim. Prawie dwadzieścia lat czekał Trepka na swoją zemstę. A uczynił to na swój sposób, pozostawiając złą pamięć o swoim adwersarzu. I to na wieki. Ów Ligęza znajdzie się bowiem w „Księdze chamów”, gdzie Trepka wątpić będzie w prawowitość jego urodzenia, natomiast żona zostanie ukazana jako jego niedoszła truciela, dybiąca na mężowskie życie. Musimy jednak przyznać, że nie był on ani oryginalnym wyjątkiem, ani nawet mistrzem wśród przestępców w kontuszach. Jego rówieśnikiem był bowiem sam Sa-





muel Łaszcz Tuczapki, strażnik wielki koronny, waleczny żołnierz, a przy tym awanturnik, warchoł, infamis z 236 wyrokami skazującymi na banicję i 47 na infamie. Wyrokami, którymi ponoć podbił delię swojego płaszcza.

Walery Nekanda Trepka miał też niezwykle ciężką rękę zwłaszcza dla tych poddanych, którzy wybierali „hultajskie ścieżki”, uciekając od niego, ale i przypadkowych wędrowców, spotykanych na swojej drodze. Miał się o tym przekonać niejaki Stanisław Broda spod Olkusza. Trudnił się on biciem fałszywej monety i lichwą, pożyczaniem wokół na wysoki procent. Ale to jedna zaledwie niecność opisywana przez Trepkę. Inną, stale się zresztą powtarzającą, był mezalians; nigdy nie zmazana hańba rodziny. Tak się stało ze znanym nam doskonale rodem Kochcickich, opiewanych przez znakomitych poetów łacińskich, ale i zwykłych pisorymów. Niejaki bowiem Walerian Panek, syn kuźnika „uwiódł beł

ze Śląska Słężankę Kochcicką, iż zjechała z nim anno 1625 i brał z nią ślub. Udawał się za możnego szlachcica, a gdy przyjechała z nim do owego młynku, obaczy, że ubogi kuźnik, do tego dowiedziała się, że chłop, odjechała od niego. Kochciccy dowiedziawszy się o tem chcieli go rozsiekać. Zjeżdżali nań kilka razy, ale go nie mogli nigdy zastać”.

Karierę próbowali robić w Polsce – pochodzący ze Śląska – Błażej i Jan Sadowscy. Pierwszy z nich uczył się w Strumienu na tkacza. Ukradłszy pieniądze i płótno, uciekł do cieszyńskich górali. Stamtąd do Rzeczypospolitej, do Wiśnicza Lubomirskich. Odtąd już występował jako nobilis, szlachcic. Nieco prostsza była kariera drugiego z braci. Został kowalem. Pociągała go kariera wojskowa w czasach wszak niezwykle burzliwych. Został więc oficerem.

Jeszcze inaczej potoczyły się losy niejakiemu Grodeckiemu „co w Chropaczowie pod Bytomiem na Śląsku mieszka”. Początkowo

pomagał on celnikom z Będzina, którzy wcale nierzadko nie potrafili ani czytać, ani pisać. Potem, wzbogaciwszy się, pojął za żonę córkę jednego z urzędników granicznych. Z czasem pożyczał na procent. Wreszcie – pisze Trepka – kupił wieś, uzurpując sobie „tytuł szlachecki”.

Oczywiście bardzo wczesnie poznawano się na owych próbach przekraczania

„prawem i lewem” granic stanowych. Doskonale je widać u Waleriana Nekandy Trepki. Owa „słoma z butów”, jak wiemy objawia się w słowach, zachowaniach, gestach. Ale i w

„Księżde chamów” czytamy też o różnych sposobach demaskowania plebejskości. Zresztą i sami „hultaje” zdradzali się swoim pochodzeniem. Chociażby ów „Storc, Niemiec ze Śląska, który słał panie Morawieckiej wieńce na półmisku, drugim przykrywszy”, z czego poznano, że był chłop i dano mu odprawę”.

Z ogromnym zainteresowaniem czytałem tę przedziwną księgę. Nie wiem, czy autor miał czyste intencje. Każdy tego rodzaju zbiór prowokuje do przekraczania granic przyzwoitości i włączania doń swoich wrogów, przeciwników, czy zwykłych spotykanych ludzi, którym się w życiu cokolwiek udało. Zawzięć i zazdrość to przywary dyskredytujące każdego. A jeśli przy przekraczaniu granic przyzwoitości ma się możliwości unieśmiertelniania à rebours tego drugiego, to wewnętrzna satysfakcja opisującego jest pełna.

Może się jednak mylę? Ale oczami wyobraźni widzę autora tej księgi, dbającego wszak ortodoksyjnie o czystość szlachectwa i wędrującego po Krakowie. Jako ubogi szlachcic żyjący w tym bogatym mieście, musiał mocno odczuwać swój upadek. Przypatrywał się więc bogactwu patrycjuszowskiemu, któremu mógł jedynie przeciwstawić starożytność rodu prawdziwą lub fikcyjną, ale o korzeniach włoskich. Symbolem wspólnoty szlacheckiej były jednak safiano-we buty, które raziły i śmieszyły na krakowskim bruku. Wspólnoty, którą trzeba było zawsze bronić. Przynajmniej w dialogu dwóch odmiennych kultur codzienności na krakowskim rynku.



# Saaremaa Opera Festival 2022

WIESŁAWA KONOPELSKA / Opera Śląska

Opera Śląska stała się częścią kulturalnego lata w Estonii, dzięki występom na najstarszym i prestiżowym festiwalu w Kuressaare, które w tym czasie staje się stolicą kraju, czego dowodzi obecność najważniejszych przedstawicieli władz państwowych. Bilety na festiwal cieszyły się ogromną popularnością i zostały wyprzedane z rocznym wyprzedzeniem. To było pięć dni pełnych niesamowitych wrażeń i doświadczeń, które zapisały się na kartach historii bytomskiego teatru.

Estońska publiczność oklaskiwała prawie 200-osobowy zespół Opery Śląskiej. Bilans pobytu w Estonii jest imponujący: 5 dni festiwalowych emocji w ciągu których na dziedzińcu średniowiecznego zamku biskupiego w Kuressaare na wyspie Saaremaa zaprezentowano 7 produkcji. To także przejechanych 2600 km.

Bytomski teatr wyruszył w podróż 19 lipca, aby dzień później zainaugurować jeden z najważniejszych festiwali operowych w krajach bałtyckich. Z Polski wyjechało 7 tirów z 20 tonami dekoracji i kostiumów, 2500 par butów, 700 sztuk kostiumów, 1250 wyciągów nutowych, a wszystko po to, by ponad 15-tysięczna publiczność mogła zobaczyć najlepsze spektakle operowe i muzyczne w wykonaniu artystów Opery Śląskiej. Większość przedstawień, które zostały zaprezentowane podczas festiwalu to realizacje cenionego reżysera teatralnego i operowego Michała Znanieckiego, który w tym

roku obchodzi 30-lecie pracy artystycznej. Nad całością artystyczną wydarzenia czuwało dwóch dyrygentów: Przemysław Neumann oraz Maciej Tomasiewicz.

– *Udział w festiwalu to wielki zaszczyt dla Opery Śląskiej. Saaremaa Opera Festival to prestiżowe wydarzenie, cieszące się dużą popularnością przede wszystkim w krajach bałtyckich. Organizowany jest od 1999 r. na wyspie Saaremaa. Dzięki tradycji stał się integralną częścią kulturalnego lata w Estonii, zrzeszając rokrocznie wszystkich miłośników opery na koncertach i spektaklach w wykonaniu najlepszych teatrów operowych z całej Europy i ze świata. W tym roku nasz teatr mógł zaprezentować swoje produkcje, które zostały docenione w Polsce zarówno przez recenzentów, jak i publiczność. Niezmiernie cieszy mnie fakt, że estońska publiczność z wielkim entuzjazmem przyjęła nasze realizacje, a na widowni znaleźli się wyjątkowi goście jak Prezydent Estonii Alar Karis z małżonką, była Prezydent Kersti Kaljulaid oraz Ambasador RP Grzegorz Kozłowski, który wraz z małżonką był obecny na każdym spektaklu. Warto zauważyć, iż kultura w życiu Estończyków ma niezwykle istotne znaczenie, gdyż dzięki niej budują oni swoją tożsamość, a samo wydarzenie zyskuje wyższą rangę. Myślę, że to początek wspólnie wielowymiarowej współpracy umożliwiającej wymianę kulturową pomiędzy naszymi krajami, która została zainicjowana podczas spektakli. Opera Śląska nie tylko*

*wystawiła spektakle, ale również stworzyła możliwość zaprezentowania się estońskiej artystce w polskim spektaklu, a naszym solistom zaśpiewania w języku estońskim – mówi Łukasz Goik dyrektor Opery Śląskiej w Bytomiu.*

Saaremaa Opera Festival 2022 rozpoczął się spektaklem *Romeo i Julia* Charlesa Gounoda, Ewelina Szybliską i Andrzejem Lampertem w rolach tytułowych; w kolejny dzień odbyła się *Noc z Mozartem*, podczas której został zaprezentowany spektakl *Sekret Requiem* Michała Znanieckiego oraz widowisko baletowe *Requiem d-moll* Wolfganga Amadeusza Mozarta dedykowane ofiarom wojny na Ukrainie. Tuż przed północą w tajemniczej atmosferze średniowiecznego zamku solistki Opery Śląskiej wraz z estońską śpiewaczką Juuli Lill zaprezentowały *Czekając na Chopina*; w piątkowy wieczór estońska publiczność gromkimi brawami oklaskiwała *Traviatę* Giuseppe Verdiego z Ruslaną Koval i Andrzejem Lampertem w rolach głównych. W ostatni wieczór podczas *Wielkiej Gali Operowej* melomani wysłuchali najpiękniejszych arii w wykonaniu solistów, chóru, baletu i orkiestry Opery Śląskiej pod kierownictwem Przemysława Neumanna. Artyści pożegnali się z publicznością polskim akcentem, operą *Flis* Stanisława Moniuszki. To było pięć dni pełnych niesamowitych wrażeń i doświadczeń, które zapisały się na kartach historii bytomskiego teatru. ■



fol. Karol Tatyga



Gala Operowa – finał



Dyrektor Łukasz Goik z Prezydentem Estonii i Ambasadorem RP

